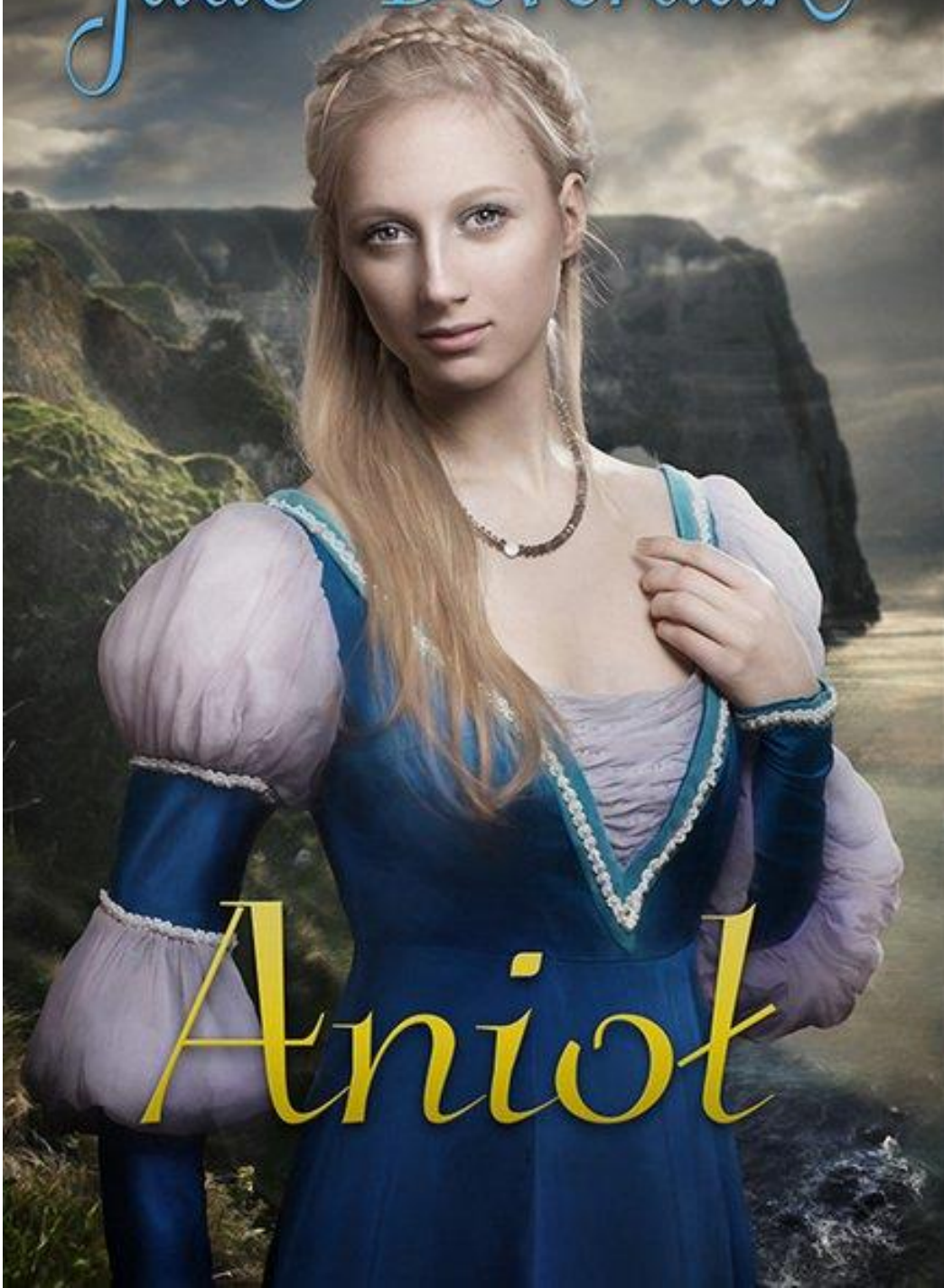


Jude Deveraux



Anriot

Jude Deveraux

*Anioł*

przełożyła  
Ewelina Kowalczyk-Kurzaj

**bis**

Warszawa 2016

Tytuł oryginału: *Velvet Angel*

Projekt okładki: Dorothea Bylica

Copyright © 1983 by Deveraux Inc.

All rights reserved including the right to reproduce this book or portions thereof in any form whatsoever. For information address Pocket Books, A Division of Simon and Schuster Inc., 1230 Avenue of the Americas, New York, NY 10020

Copyright © for the Polish edition Wydawnictwo BIS 2016

ISBN 978-83-7551-485-8

Wydawnictwo BIS

ul. Łędzka 44a

01-446 Warszawa

tel. 22 877-27-05, 22 877-40-33; fax 22 837-10-84

e-mail: [bisbis@wydawnictwobis.com.pl](mailto:bisbis@wydawnictwobis.com.pl)

[www.wydawnictwobis.com.pl](http://www.wydawnictwobis.com.pl)

Skład wersji elektronicznej: Tomasz Szymański

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

## *Spis treści*

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

*Rozdział  
pierwszy*

*Południowa Anglia*

*Sierpień 1502 r.*

Stojąc na skraju urwiska, Elizabeth Chatworth wpatrywała się w bezkresne pola zieleniejące kielkującymi źdźbłami jęczmienia. U stóp urwiska powoli przemieszczały się niedorzecznie małe figurki. Miniaturowi mężczyźni dźwigali kosa, kilku jechało konno, jeden zaś powoził wozem zaprzężonym w parę wołów.

Elizabeth ich nie dostrzegała. Uniosła głowę wysoko i tak dumnie wbijała wzrok w horyzont, że nic nie wydawało się godne jej uwagi. Ciepły podmuch wiatru chciał ją odepchnąć od skraju przepaści, lecz zacisnęła tylko pięści i nawet nie drgnęła. Zdołała jakoś przetrwać ostatnie godziny i nie załamała się, nie zamierzała więc teraz poddawać się byle podmuchom wiatru.

Zielone oczy Elizabeth nie znały łez, lecz gardło miała ściśnięte z gniewu i żalu. Bezwiednie zaciskała zęby i oddychała głęboko, starając się uspokoić rozszalałe serce.

Kolejny podmuch wiatru szarpnął splątaną masą złotych włosów dziewczyny. Ostatnia perła wysunęła się z kosmyków i potoczyła po rozdartej i ubłoconej sukni w kolorze wina. Perfekcyjna kreacja, którą wybrała na wesele przyjaciółki, była już nie do odratowania. Włosy potargały się, policzki umazały sadzą, a ręce... Ręce miała związane na plecach.

Spojrzała w górę, nie mrużąc oczu. Przez całe życie porównywano jej urodę do anioła, lecz nigdy wcześniej nie wyglądała tak krucho i delikatnie. Złote pasma fruwały wokół jej ramion jak kosztowna peleryna, a podarta suknia przypominała szaty męczenników.

Jednak w jej sercu na próżno szukaliby śladów odpuszczenia winowajcom.

– Będę walczyła do śmierci – wymamrotała, wpatrując się w niebo. Pociemniałe oczy przypominały szmaragdy. – Nie zawładnie mną żaden mężczyzna. Żaden nie nagnie mnie do swej woli.

– Wzywasz pomocy Boga? – zaśmiał się porywacz.

Elizabeth odwróciła się powoli, jak gdyby czas nie miał dla niej żadnego znaczenia. Mężczyzna cofnął się o krok, zdumiony ziejącą z jej oczu lodowatą pogardą. Starał się zachowywać dumnie, naśladowując pyszałka, któremu służył. Jednak w istocie był z niego zwykły tchórz.

John odkasznął nerwowo i brutalnie chwycił ramię Elizabeth.

– Pewnie uważasz się za wielką damę, co? Jednak w tej chwili to ja jestem

twoim panem!

Spojrzała mu w oczy, nie okazując bólu, jaki jej sprawiał. Wycierpiała w życiu tak wiele, że te kilka siniaków nie zrobi jej różnicy.

– Nigdy nie będziesz niczym panem – odparła spokojnie.

Zaskoczony John na chwilę rozluźnił chwyt, lecz zaraz się opamiętał i popchnął ją gwałtownie. Elizabeth potknęła się, ale zdołała utrzymać równowagę. Uniosła dumnie głowę i ruszyła przed siebie.

– Mężczyzna zawsze jest panem kobiety – burknął zza jej pleców John. – Paniusie takie jak ty po prostu jeszcze tego nie wiedzą. Ale wystarczy, że chłop cię przygniecie swoim ciężarem. Od razu zrozumiesz, kto tu rządzi. I jestem pewien, że Miles Montgomery ci to udowodni.

Usłyszawszy znienawidzone nazwisko, Elizabeth zachwiała się i padła na kolana.

John roześmiał się rubasznie, jak gdyby odniósł wielkie zwycięstwo. Podparł się pod boki i z uciechą patrzył, jak Elizabeth usiłuje wstać ze związanymi rękami i z nogami zaplątanymi w suknię.

– Aż tak cię podnieciła myśl o Montgomerym? – zadrwił, podrywając ją wreszcie na nogi. Bezczelnie dotknął brudnym palcem jej policzka i przesunął szorstką opuszką po porcelanowej skórze i różowych wargach. – Jak to możliwe, że taka ślicznotka jest tak uparta? Moglibyśmy być dla siebie pociechą w tej trudnej chwili, a Pagnell nie musi nic wiedzieć. Czyż to ważne, kto pierwszy, kto drugi? Montgomery i tak cię pohańbi, więc ten dzień czy dwa nie zrobią nikomu różnicy.

Elizabeth splunęła mu w twarz. John zamierzył się z rozmachem, lecz dziewczyna z wprawą uchyliła się i rzuciła do ucieczki. Związane ręce i splątana suknia niestety nie sprzyjały biegom po kamienistych ścieżkach. John z łatwością ją dogonił i chwycił za suknię. Upadła twarzą na ziemię.

– Ty zdziczała wszeteczniczo! – warknął, odwracając ją na plecy. – Zapłacisz mi za to. Chciałem być dla ciebie miły, ale zaiste zasługujesz na lanie.

Elizabeth wierzgnęła, jednak John przycisnął ją do ziemi, boleśnie zgniatając uwięzione pod plecami ręce dziewczyny. Łzy zapiekły ją pod powiekami.

– Nie możesz mnie zbić – stwierdziła stanowczym głosem. – Lord Pagnell nie puści ci tego płazem. Chcesz się przekonać?

John chwycił dłońmi piersi Elizabeth i wpił się ustami w jej wargi, lecz nie wywołał tym żadnej reakcji dziewczyny. Prychnął z rozczarowania, wstał i ruszył ze złością ku koniom, które zostawił spętane obok ścieżki.

Elizabeth usiadła i odetchnęła. Miała wprawę w ukrywaniu targających nią emocji, teraz zaś potrzebowała zachować resztkę siły i zdrowego rozsądku.

Montgomery! Miała wrażenie, że to słowo rozsądzi jej głowę. Wszystkie nieszczęścia, lęki i cierpienie wiązały się z nazwiskiem Montgomery. Przez

Montgomerych jej bratowa straciła urodę i stoczyła się w otchłań szaleństwa. Z powodu Montgomerych starszy brat Elizabeth popadł w niełaskę, a młodszy – Brian – zniknął. Teraz zaś Montgomery kazał ją porwać.

Bawiąc się na weselu przyjaciółki, Elizabeth przypadkiem podsłuchiwała przechwałki lorda Pagnella, planującego porwać śliczną śpiewaczkę umilającą czas weselnikom. Miał ją zawieźć swym zdegenerowanym krewnym na pohańbienie, a potem osądzić jako wiedźmę. Elizabeth, nie myśląc zbyt wiele, rzuciła się na pomoc dziewczynie, lecz Pagnell zdołał schwytać je obie.

Związaną i owiniętą w kawał brudnej derki Elizabeth przekazał swojemu posługaczowi i najwyraźniej nakazał mu dostarczyć ją Milesowi Montgomery'emu. Elizabeth wiedziała, że choć najmłodszy z czterech braci ma zaledwie dwadzieścia lat, to zdecydowanie jest z nich najgorszy. Nawet do klasztoru, w którym spędziła ostatnie lata osiemnastoletniego życia, docierały o nim wstrząsające historie.

Siostry szeptały, że kiedy skończył szesnaście lat, zaprzedał duszę diabłu i w zamian otrzymał nieograniczoną władzę nad kobietami. Elizabeth śmiała się w duchu z tych historyjek. Podejrzewała, że Miles jest podobny do jej zmarłego brata Edmunda, i zwyczajnie korzysta z usług kobiet lekkich obyczajów. Mówiono też, że choć tak młody, ma już setki bękartów.

Przed dwoma laty jedna z dziewcząt mieszkających z nią w klasztorze postanowiła zamieszkać i pracować w ponurej twierdzy Montgomerych. Bridget była śliczną dziewczyną o ciemnych oczach i krągłych biodrach, lecz zanim zdążyła się spakować, wyglądała już jak widmo, a oczy miała czerwone od łez. Siostrzyczki lamentowały nad nią, jakby szła pod katowski topór.

Niecały rok później wędrowny bard przekazał im wieść, że Bridget powiła silnego chłopca, którego nazwano James Montgomery. Wszyscy byli przekonani, że ojcem dziecka jest Miles.

Elizabeth słyszała, jak w kaplicy siostrzyczki modlą się za skalaną duszę Bridget i w sercu przeklinała rodzaj męski. Edmund, Miles i reszta tych łotrów najwyraźniej uważali, że kobiety nie mają serc, rozumu ani dusz. I tylko dlatego, że są mężczyznami, mogą je porywać, hańbić i zmuszać do wstrętnych praktyk.

Nie miała zbyt wiele czasu na wspominki. John złapał ją za włosy i postawił na nogi.

– Czas modlitw się skończył – burknął. – Montgomery rozbił niedaleko obóz. Czas, by rzucił okiem na... – uśmiechnął się złośliwie – matkę kolejnego bękarta.

Roześmiał się rubasznie, gdy Elizabeth szarpnęła głową. Zdała sobie sprawę, że jej upór i wola walki sprawiały mu tylko więcej przyjemności. Natychmiast przestała się szarpać i spojrzała na niego zimno.

– Wiedźma! – syknął. – Montgomery pewnie spodziewa się, że dostanie anioła. Ciekaw jestem, co zrobi, gdy się okaże, że jesteś równie zepsuta i zła jak



on.

Spoglądając na nią z uśmiechem, wyjął z kieszeni mały, ostry sztylet i przyłożył jej do szyi. Gdy nie wzdrygnęła się nawet, czując na skórze zimne ostrze, uśmiech Johna zmienił się w szyderczy grymas.

– Montgomery'owie to szaleńcy. Lubią rozmawiać z kobietami, zamiast traktować je, jak Pan Bóg przykazał. Upewnię się, że z tobą nie będzie mu się już chciało rozmawiać.

Powoli przesunął ostrze sztyletu po szyi Elizabeth aż do postrzępionego dekoltu sukni. Wstrzymała oddech, bacznie patrząc na wykrzywioną twarz mężczyzny. Nie zamierzała go prowokować, gdy miał w dłoni śmiercionośne narzędzie.

Jednak John nie chciał jej skaleczyć. Wyważonym ruchem rozciął przód sukni, a potem ciasno związany gorset. Rozchylając go na boki, spojrzał jej w oczy.

– Niezłe skarby tu skrywałaś, Elizabeth – szepnął z zaskoczeniem.

Zastygła z odrazy i odwróciła twarz. Zawsze starannie dobierała stroje, z rozmysłem ukrywając piękne ciało. Piersi miażdżyła ciasnymi gorsetami, za to poluźniała suknie w talii. Gęste włosy skrywała pod czepkami, a mimo to jej anielska twarz wciąż przyciągała uwagę zbyt wielu mężczyzn.

John nie zwracał już uwagi na jej twarz. Oniemiały z zachwytu, bezczelnie odzierał ją z resztek ubrania. W całym swym marnym życiu niewiele nagich kobiet oglądał z tak bliska, a żadna z nich nie była szlachcianką jak Elizabeth. Żadna też nie była tak piękna.

Elizabeth stała nieruchomo jak wyrzeźbiona z marmuru. Ciepły sierpniowy wiatr muskał jej nagą skórę. Choć nigdy nie zaznała zbyt wiele dobra, wiedziała, że to była najgorsza chwila w całym jej życiu. John wydał zduszony jęk.

– Niech diabli porwą Pagnella! – wychrypiał i wyciągnął do niej brudne łapska.

Elizabeth cofnęła się gwałtownie, kręcąc głową, by choć trochę okryć się włosami. Ze zgrozą dostrzegła obłęd w oczach Johna. W kącikach ust zebrała mu się piana.

– Jeśli spróbujesz mnie dotknąć, zginiesz! – wykrzyknęła stanowczo. – Jeśli zachowasz mnie przy życiu, sama powiem mu, co mi zrobiłeś, a jeśli mnie zabijesz, Pagnell zaszczuje cię psami. Zapomniałeś też o moim bracie. Czy położysz na szali własne życie dla kilku chwil z kobietą?

John przez chwilę walczył ze sobą, lecz wreszcie oprzytomniał i z nienawiścią spojrzał jej w oczy.

– Mam nadzieję, że Montgomery stanie się twoim przekleństwem na wieki – oświadczył z goryczą. Zerwał derkę z końskiego grzbietu i rozłożył ją na ziemi. – Kładź się. I ostrzegam cię, niewiasto, jeśli mi się sprzeciwisz, zapomnę o Pagnellu, Montgomerym i twoim szacownym bracie.

Elizabeth położyła się bez zbędnych dyskusji. Szorstka derka drapała jej skórę. Gdy John uklęknął nad nią, wstrzymała oddech. Brutalnie obrócił ją na brzuch i błyskawicznie rozciął więzy na nadgarstkach. Zanim zdążyła westchnąć, zwinął ciasno derkę. Nie pozostało jej nic innego, jak starać się nie udusić.

Zdawało jej się, że całą wieczność leży z odgiętą głową, szukając odrobiny powietrza. Kiedy wreszcie ją podniesiono i rzucono na koński grzbiet, bała się, że pękna jej płuca.

– Następną osobą, jaką ujrzysz, będzie Miles Montgomery – usłyszała głos Johna stłumiony przez kilka warstw derki. – Niech ta myśl ci towarzyszy w czasie drogi. On nie będzie dla ciebie tak dobry jak ja.

Groźba Johna w zasadzie wyszła jej na dobre, gdyż zaczęła oddychać gwałtownie, łapczywie chwytając hausty powietrza. Trzęsąc się bezsilnie na końskim grzbiecie, przeklinała całą rodzinę Montgomerych, ich dom, ich mienie i krewnych, i modliła się żarliwie za dusze niewinnych dzieci będących ofiarami chutliwych demonów.

\* \* \*

Namiet Milesa Montgomery'ego robił wrażenie. Ciemnozielone sukno obszyto złotą nicią i ozdobiono herbowymi lampartami. Ze spadzistego daszku powiewały barwne wstęgi. Wnętrze wyłożono jasnozielonym jedwabiem. Tu i ówdzie stały składane stoliki nakryte błękitno-złotym brokatem, na środku zaś wielki stół zdobiony rzeźbionymi lampartami, a przy nim dwie ławy pod grubymi lisimi futrami. Wokół stołu stało czterech rostrych mężczyzn. Dwóch nosiło bogate rycerskie stroje i wszyscy zwracali się ku najmłodszemu.

– Powiada, że ma dla ciebie dar, mój panie – odezwał się jeden z rycerzy. – To może być podstęp. Czyż Pagnell może posiadać coś, czego byś pragnął?

Miles Montgomery uniósł brew i to wystarczyło, by rycerz cofnął się w popłochu. Czasem nowo zaciągnięci rycerze myśleli, że z racji jego wieku mogą sobie pozwolić na poufałość.

– Czy w tej derce może się kryć jakiś człowiek? – zapytał czwarty mężczyzna.

Rycerz zerknął nerwowo na Milesa i dopiero po chwili odparł:

– Jeśli tak, to bardzo nieduży, sir Guy.

Sir Guy przez chwilę patrzył Milesowi w oczy.

– Przyślij go tutaj wraz z przyniesionym darem – zdecydował sir Guy. – Będziemy czekać w pełnej gotowości.

Rycerz wyszedł i po krótkiej chwili wrócił, popychając czubkiem miecza niewysokiego mężczyznę dźwigającego zrolowaną derkę. Z pewnym siebie uśmiechem John rzucił derkę na podłogę namiotu i popchnął ją stopą w stronę Milesa. Derka rozwinęła się z furkotem.

Czterech mężczyzn ze zdumieniem wpatrywało się w niecodzienny dar. U ich stóp leżała naga kobieta. Oczy miała zamknięte. Długie rzęsy rzucały cienie na delikatnie zaróżowione policzki, a burza złotych włosów oplatała wijącymi się kosmykami jej sylwetkę aż do bioder. Dziewczyna miała zaskakująco duże i pełne piersi, cieniutką talię i długie, długie nogi. Jej twarz zaś... Pochyleni nad zjawiskiem mężczyźni zgodnie przyznaliby, że tak delikatnych, eterycznych rysów nie widzieli dotąd na tym świecie.

Niezauważony John wysliznął się z namiotu z triumfalnym uśmiechem.

Na wóół zemdlona z wyczerpania Elizabeth powoli otworzyła oczy i ujrzała nad sobą zdumione twarze czterech mężczyzn. Pochylili się nad nią z obnażonymi mieczami, lecz nie celowali w jej ciało. W dwóch na pierwszy rzut oka rozpoznała najemników i przestała zwracać na nich uwagę. Trzeci był olbrzymem, musiał mierzyć prawie dwa metry. Miał stalowoszare włosy i paskudną bliznę biegnącą przez całą twarz. Choć jego wygląd był zarazem władczy i przerażający, Elizabeth wyczuła, że nie jest przywódcą tej gromady.

U boku giganta stał czwarty mężczyzna, odziany elegancko w skromny strój z granatowej satyny. Elizabeth była oswojona z widokiem silnych, przystojnych mężczyzn, lecz ten przykuł jej uwagę czym innym. Czuła bijącą od niego moc. Wiedziała, że w jednej chwili może zamienić się w króla, lecz w pełni panował nad sobą. Pozostali gapili się bezczelnie na jej obnażone wdzięki, lecz ten spojrzał jej prosto w twarz. I tak oto po raz pierwszy jej spojrzenie splotło się ze spojrzeniem Milesa Montgomery'ego.

Był przystojny, och, niebywale przystojny. Spod czarnych, wygiętych w idealne łuki brwi patrzyły na nią ciemnoszare oczy. Nos miał wąski, lecz wargi zmysłowe i pełne.

Niebezpieczeństwo! Elizabeth poczuła to od pierwszej chwili i odwróciła wzrok. Ten człowiek był niebezpieczny i dla mężczyzn, i dla kobiet.

Wstała z gracją i błyskawicznym ruchem chwyciła z ławy pelerynę i bojowy topór.

– Zabiję pierwszego, który się do mnie zbliży! – ostrzegła, jedną ręką trzymając przed sobą topór, a drugą narzucając pelerynę na ramię. Nie miała wyboru, drugie ramię i nogę aż do talii musiała zostawić nagie.

Gigant zrobił krok w jej stronę, zamierzyła się więc toporem, chwytając obiema dłońmi dobrze wyważony trzonek.

– Wiem, jak się tego używa – warknęła, patrząc na olbrzyma bez cienia strachu.

Dwaj rycerze podeszli z dwóch stron. Elizabeth cofnęła się, patrząc raz na jednego, raz na drugiego. Poczowała na łydkach brzeg drewnianej ławy i wiedziała, że dalej nie może się cofnąć. Jeden z rycerzy uśmiechnął się do niej szyderczo. Elizabeth parsknęła jak kot.

– Wyjdźcie.

Słowo wypowiedziano cichym, lecz stanowczym głosem. Nikt nie zaprotestował. Gigant zmierzył Elizabeth ostatnim spojrzeniem i skinął na rycerzy, wychodząc z namiotu.

Zacisnęła dłonie na trzonku topora, aż pobieleły jej kostki, i spojrzała zimno na Milesa Montgomery'ego, stojącego po drugiej stronie namiotu.

– Zabiję cię – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Choć jestem kobietą, posiekanie cię na kawałki nie sprawi mi kłopotu. Z radością ujrzę fontannę krwi Montgomerych tryskającą aż pod niebiosa!

Miles się nie poruszył. Wciąż stał przy stole, lecz nie spuścił z niej wzroku. Po chwili uniósł miecz i Elizabeth odetchnęła głęboko, gotując się do walki, lecz on tylko powoli odłożył miecz na stół. Odwrócił się, prezentując klasyczny profil, i zza paska wyjął inkrustowany sztylet. Położył go obok miecza. Dopiero wtedy ruszył w jej stronę, z beznamietnym wyrazem twarzy.

Elizabeth uniosła wyżej topór. Zamierzała walczyć do śmierci, przekonana, że śmierć jest znacznie lepsza niż gwałt i bicie, jakie z pewnością zafunduje jej ten potwór. Miles jednak usiadł niespodziewanie na krześle. Nie odezwał się ani słowem, lecz wciąż patrzył na nią z uwagą.

Ach! Zatem nie uważał jej za godnego przeciwnika! Rozbroił się i ostentacyjnie usiadł, mimo że trzymała nad nim śmiercionośne narzędzie. Elizabeth jednym skokiem znalazła się przy nim, mierząc toporem w kark mężczyzny.

Miles bez trudu chwycił trzonek topora i spojrzał jej głęboko w oczy. Na krótką chwilę zahipnotyzował ją tym spojrzeniem. Stała jak sparaliżowana, a w jego wzroku widziała setki pytań. Potrząsnęła głową i z całą mocą wyrwała topór z jego ręki. Miles nie stawiał oporu. Elizabeth zachwiała się i chwyciła krawędź stołu.

– Niech cię piekło pochłonie! – warknęła. – Niech Bóg i jego aniołowie przeklą dzień, w którym pierwszy Montgomery przyszedł na świat. Wszyscy smażcie się wiecznie w piekielnym ogniu! – krzyczała coraz głośniejszym głosem. Za cienkimi ścianami namiotu zrobił się ruch.

Miles wciąż siedział niewzruszenie, spoglądając na nią z ciekawością. Elizabeth miała wrażenie, że krew zagotuje się w jej żyłach. Ręce zaczęły jej drżeć. Wiedziała, że musi się natychmiast uspokoić. Gdzie się podział jej lodowaty spokój?

Skoro Miles Montgomery potrafi zachować spokój, tym bardziej ona powinna się wziąć w garść. Odetchnęła głęboko. Zgromadzone pod namiotem strażnicy zaczęły się rozchodzić. Może jeśli zdoła ominąć strażników, uda jej się zbiec do domu, do brata?

Wpatrując się w Milesa, zaczęła się powoli cofać, okrążając go w drodze do

wyjścia z namiotu. Miles równie powoli obracał się na stołku, podążając za nią spojrzeniem. Elizabeth słyszała nieopodal rżenie konia i modliła się, by zdołała dotrzeć do niego, zanim ktoś ją schwyta.

Choć nie spuściła z niego wzroku, nie zauważyła żadnego ruchu. Po prostu w jednej chwili siedział spokojnie na krześle, a w następnej, gdy tylko jej dłoń chwyciła za połę namiotu, stał już przy niej, oplatając ręką jej talię. Zamierzyła się toporem, lecz chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał.

Elizabeth skamieniała w jego uścisku. Choć trzymał mocno, nie sprawiał jej bólu. Stał tak blisko, że czuła na czole jego oddech. Spojrzała na niego. Zdawało się, że Miles na coś czeka. Elizabeth nie poruszyła się, tylko wpatrywała się w jego oczy.

– I co teraz? – zapytała z goryczą. – Zbijesz mnie czy zgwałcisz? Czy może jedno i drugie? Słyszałam, że pierwszy raz boli najbardziej, więc pewnie sprawi ci to jeszcze większą przyjemność.

Na krótką chwilę jego oczy otworzyły się szerzej ze zdumienia, i była to pierwsza niekontrolowana emocja, jaką Elizabeth ujrzała na jego twarzy. Spojrzał jej w oczy z taką zachłannością, że odwróciła wzrok.

– Zniosę z godnością wszystko, cokolwiek sobie wymyśliłeś – szepnęła. – Jeśli liczyłeś na błaganie o litość, zawiedziesz się.

Miles delikatnie ujął jej policzek i odwrócił ku sobie. Elizabeth zeszywniała pod jego dotykiem.

– Kim jesteś? – zapytał cicho.

– Twoim wrogiem – odparła z nienawiścią. – Jestem Elizabeth Chatworth.

Cień przebiegł po twarzy Milesa. Po długiej chwili milczenia puścił ją ostrożnie.

– Możesz zatrzymać topór, jeśli czujesz się z nim bezpieczniej, jednak nie mogę pozwolić ci odejść.

Westchnął cicho i ruszył w głąb namiotu.

W ułamku sekundy Elizabeth wyskoczyła z namiotu i równie szybko Miles był znów przy niej, otaczając ją silnym ramieniem.

– Nie mogę pozwolić ci odejść – powtórzył z naciskiem. Zerknął wymownie na jej nagie nogi. – To nie jest strój do jazdy konnej. Wracaj do namiotu. Moi ludzie znajdą dla ciebie jakieś ubranie.

Odepchnęła go. Słońce już zachodziło i w półmroku twarz Milesa zdawała się bardziej groźna.

– Nie chcę od ciebie ubrania. Nie chcę niczego od Montgomerych. Mój brat...

Spojrzał na nią tak wrogo, że słowa zamarły jej na wargach.

– Nie wspominaj przy mnie swego brata. Jest winny śmierci mojej siostry.

Wziął ją za rękę i pociągnął lekko.

– Nalegam, byś wróciła do namiotu. Moi ludzie niebawem tu będą. Nie chcę, by cię oglądali w takim stroju.

Elizabeth ani drgnęła.

– Czyżby? Przecież gdy ze mną skończysz, oddasz mnie rycerzom, żeby również mogli się nacieszyć zdobyczą.

Zdawało jej się, że Miles się uśmiechnął.

– Chodźmy do środka, Elizabeth – westchnął. – Tam porozmawiamy. – Odwrócił się w stronę ciemniejącej nieopodal linii drzew. – Guy! – krzyknął władczo.

Gigant wynurzył się z cienia. Nawet nie spojrzał na Elizabeth.

– Wyślij kogoś do wsi po odpowiednie ubranie. Nie żałujcie grosza.

Elizabeth stwierdziła, że Miles przemawia do swych ludzi zupełnie innym tonem niż do niej.

– Wyślij mnie z nim – wtrąciła nagle. – Porozmawiam z bratem. Będzie ci wdzięczny, że nie zrobiłeś mi krzywdy. Waśń między naszymi rodami będzie mogła się wreszcie zakończyć.

– Nie proś, Elizabeth – odparł Miles.

Z okrzykiem wściekłości rzuciła się na niego z toporem. Nawet nie drgnął. Wprawnym ruchem wytrącił jej topór z dłoni i przycisnął Elizabeth do siebie.

Nie zamierzała się z nim szamotać. Skamieniała w jego uścisku, drżąc z obrzydzenia. Peleryna okręciła się, obnażając połowę jej ciała.

Miles wniósł dziewczynę do namiotu i położył na ławie.

– Czemu ci tak zależy na moim ubraniu? – zadrwiła. – Nie powinieneś gustować w spółkowaniu na polu, jak to czynią wszystkie zwierzęta?

Miles podszedł do stolika i nalał wino do dwóch kieliszków.

– Elizabeth – uśmiechnął się – jeśli nie przestaniesz mnie namawiać na miłość, w końcu ulegnę twoim pokusom. – Usiadł na stołku. – Długi dzień za tobą, pewnie jesteś zmęczona i głodna. – Wyciągnął w jej stronę kieliszek z winem.

Elizabeth wytrąciła mu go z dłoni, plamiąc ciemną czerwienią kosztowny dywan. Miles wzruszył ramionami i opróżnił swój kieliszek.

– I co ja mam z tobą zrobić, Elizabeth?

*Rozdział  
drugi*

Elizabeth starannie okryła się peleryną i z uporem patrzyła na dywan. Skoro Miles nazywał jej pomysły błaganiem, nie zamierzała się do niego odzywać.

Po dłuższej chwili Miles wysunął głowę z namiotu. Słyszała, jak zażądał cebrzyka z gorącą wodą. Elizabeth nawet się nie poruszyła. Wiedziała już, że teraz nie ma szans na ucieczkę. Jednak nawet Montgomery musi czasem zasypiać. Może wtedy uda jej się wymknąć.

Miles sam przyniósł cebrzyk i ustawił go na końcu ławy.

– To dla ciebie, Elizabeth. Przypuszczam, że chciałabyś się umyć.

Oplotła się ostentacyjnie ramionami i odwróciła głowę.

– Niczego od ciebie nie chcę.

– Elizabeth – westchnął, kręcąc głową. Usiadłszy przy niej, ujął jej dłonie i cierpliwie zaczekał, aż na niego spojrzy. – Nie zamierzam cię skrzywdzić. Nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety. Po prostu nie mogę ci pozwolić na szaloną jazdę konną w samej pelerynie. Nie dojechałabyś nawet do gościńca, a ściągnęliby cię z końskiego grzbietu.

– Mam uwierzyć, że jesteś taki dobry? – Na chwilę jej spojrzenie złagodniało. – Oddasz mnie pod opiekę brata?

Miles patrzył na nią z niepokojącą uwagą.

– Rozważę to.

Wyrwała dłonie i się odwróciła.

– Czego ja się spodziewałam po Montgomerym?! Zostaw mnie w spokoju!

– Woda ci stygnie – oświadczył Miles, wstając.

– Po co mam się kąpać? Lubisz pachnące kobiety? W takim razie już nigdy się nie umyję! Zarosnę brudem jak niewolnica, a w moich włosach zalęgnie się robactwo! Kiedy mnie dotkniesz, zrujnujesz sobie te śliczne szatki.

Miles popatrzył na nią bez wyrazu.

– Namiot jest strzeżony. Nie próbuj uciekać – ostrzegł, wychodząc.

Sir Guy czekał przed wejściem. Miles skinął głową i gigant ruszył za nim w stronę drzew.

– Wysłałem dwóch po ubrania.

Miles miał dziewięć lat, gdy zmarł jego ojciec. Ostatnią wolą starego lorda sir Guy stał się opiekunem jego najmłodszego syna, delikatnego chłopca, który nawet wśród krewnych uchodził za dziwnego. Miles rozmawiał tylko z nim.

– Kim ona jest? – zapytał sir Guy, opierając się o pień olbrzymiego dębu.

– To Elizabeth Chatworth.

Sir Guy skinął głową. Światło księżyca rzucało nierówne cienie na jego

zmasakrowaną twarz.

– Tak też pomyślałem. Pagnell wykazał się doprawdy upiornym poczuciem humoru. – Spojrzał na Milesa uważnie. – O świcie oddamy ją pod opiekę brata?

Miles spojrzał w niebo.

– Co wiesz o jej starszym bracie, Edmundzie?

Sir Guy splunął na trawę.

– W porównaniu ze zmarłym Chatworthem Pagnell jest święty. Chatworth uwielbiał torturować kobiety. Związywał je i gwałcił po wiele razy. Tej nocy, gdy został zabity – niech Bóg nagrodi jego mordercę! – młoda kobieta, więziona przez wiele dni w komnacie Edmunda, podcięła sobie żyły.

Miles bezwiednie zaciskał pięści i sir Guy pożałował swych szczerych słów. Ponad wszystko na świecie Miles kochał i czcił kobiety. Guy niemal codziennie musiał go odciągać od jakiegoś nieszczęśnika, który źle potraktował niewiastę. Jeszcze jako chłopiec zaatakował rosnącego rycerza, a gdy wpadł we wściekłość, tylko olbrzym Guy był w stanie go powstrzymać. Zeszłego roku jednak nie zdołał odciągnąć Milesa od kupca, który uderzył pyskatą żonę. Król długo się wahał, zanim wybaczył mu to szaleństwo.

– Drugi jej brat, Roger, jest inny – powiedział sir Guy.

Miles odwrócił się błyskawicznie. W jego oczach rozpałił się gniew.

– Roger Chatworth zgwałcił moją siostrę! Przez niego popełniła samobójstwo! Już zapomniałeś?

Guy wiedział, że najlepiej przemilczeć napad wściekłości Milesa.

– Co planujesz zrobić z tą dziewczyną? – zapytał, odwracając jego uwagę.

Miles pogłaskał chropowatą korę dębu.

– Nasza rodzina budzi w niej wstręt. U zarania tej niezgody byliśmy całkiem niewinni, a jednak nas nienawidzi. Zwłaszcza mnie. Gdy ją dotknąłem, wzdrygnęła się, a potem wytarła to miejsce, jakbym ją skaził.

Sir Guy odkasznął, żeby się nie roześmiać. Wszystkie kobiety kochały Milesa jeszcze bardziej niż on je. Jako dziecko spędzał czas głównie z dziewczynkami, i właśnie z tego powodu sir Guy miał go pod swoją opieką. By zrobić z niego mężczyznę. Okazało się zresztą, że chłopak wcale nie potrzebuje być bardziej męski. Po prostu lubił kobiety. Można by powiedzieć, że były pasją Milesa, jak dla innych konie, polowania czy piękna broń. Chwilami ów szacunek Milesa do płci niewieściej stanowił problem, na przykład absurdalny wydawał się zakaz gwałtów po bitwie, pod groźbą natychmiastowej egzekucji. Sir Guy z czasem przyzwyczaił się do tych dziwactw, gdyż poza tym chłopak był całkiem normalny.

Jednakże nigdy dotąd nie słyszał, by jakakolwiek kobieta nie była skłonna od pierwszej chwili oddać życia za Milesa. Młódki czy staruszki, dojrzałe kobiety i małe dziewczuszki lgnęły do niego jak do plastra miodu. A Elizabeth wycierała się, gdy ją dotknął!



Sir Guy starał się zrozumieć, co przeżywa Miles. To było pewnie jak pierwsza przegrana bitwa. Poklepał go nieporadnie po ramieniu.

– Każdy z nas czasem przegrywa. To ci wcale nie ujmuje męskości. Może ta dziewczyna nienawidzi wszystkich bez wyjątku. Na czele z własnym bratem...

Miles odtrącił jego dłoń.

– Ktoś ją skrzywdził! Krzywdził przez wiele lat. Całe ciało ma w bliznach i siniakach. A w sercu przechowuje wyłącznie ból i gniew.

Sir Guy nagle zrozumiał, że stoi u progu wielkiej zmiany.

– Milesie, to wysoko urodzona szlachcianka – rzekł cicho. – Nie możesz jej przetrzymywać. Nie tak dawno król wyjął spod prawa twego brata. Nie powinieneś go prowokować. Musisz oddać lady Elizabeth pod opiekę brata.

– Zawieźć ją w miejsce, gdzie torturuje się kobiety? Tam gdzie nauczono ją tylko nienawidzić? Jeśli ją tam teraz zawiozę, to czy zmieni zdanie o Montgomerych? Czy nadal będzie uważała nas za równie niegodziwych jak jej brat?

– Chyba nie zamierzasz jej zatrzymać? – wykrzyknął wstrząśnięty sir Guy.

Miles najwyraźniej poważnie rozważał tę możliwość.

– A co z twoimi braćmi? – zapytał olbrzym. – Przecież spodziewają się ciebie w domu. Gavin od razu zorientuje się, że więzisz lady Elizabeth. – Westchnął głęboko. – Dziewczyna zrozumie, że nie jesteś taki zły, kiedy odeślesz ją do brata.

Miles uśmiechnął się łobuzersko.

– Myślę, że wolałaby opowiadać, że rozsiekla mnie toporem i zwiąła. – Zacisnął wargi. – Podjąłem decyzję. Zatrzymam ją na krótką chwilę tylko po to, by jej pokazać, że Montgomery nie jest kopia jej brata. Chodźmy! – Tym razem uśmiechnął się szeroko. – Muszę porządnie wykapać mojego więźnia. Proszę cię, Guy, nie rób takich min. Kilka dni, nie dłużej.

Sir Guy w milczeniu szedł za młodym panem do obozowiska. Wątpił, by ktokolwiek zdołał podbić serce Elizabeth Chatworth w kilka dni.

\* \* \*

Gdy tylko Miles opuścił namiot, Elizabeth podbiegła do najdalszej ściany i cichutko uniosła brzeg tkaniny. Niestety, tuż przed sobą ujrzała stopy wartownika. Sprawdziła w różnych miejscach namiotu, jednak przekonała się tylko, że wartownicy stoją dookoła tak blisko siebie, jakby lubili się trzymać za ręce. Najwyraźniej napędziła im strachu.

Drapała się właśnie po spoconej głowie, gdy Miles stanął w namiocie z dwoma wiadrami parującej wody. Natychmiast spięła się i oplotła ramionami obnażone piersi. Nawet gdy usiadł za nią na ławie, nie spojrzała w jego stronę.

Miles ujął jej dłoń i zaczął ją myć namydloną gąbką. Spojrzała na niego

zdumiona i wyrwała rękę. Delikatnie ujął jej twarz i potarł gąbką.

– Poczujesz się znacznie lepiej, kiedy będziesz czysta – odezwał się łagodnie.

Odepchnęła jego dłoń.

– Nie znoszę być dotykana. Zostaw mnie!

Miles cierpliwie wycierał jej policzki.

– Jesteś śliczną dziewczyną, Elizabeth. Powinnaś być dumna ze swej urody.

Spojrzała na niego przelotnie i doszła do wniosku, że gdyby już wcześniej nie budził w niej odrazy, w tej chwili musiałyby zacząć. Najwyraźniej kobiety setkami padały mu do stóp i był przekonany, że wystarczy dotknąć czyjegoś policzka, by zdobyć zaufanie. Owszem, był bardzo przystojny, a głos miał dźwięczny, lecz Elizabeth poznała już wielu innych równie przystojnych łajdaków i niemal każdy usiłował ją pohańbić.

Spojrzała mu w oczy z udawaną pokorą i gdy tylko ujrzała na jego twarzy spodziewany blask triumfu, wpiła się zębami w jego dłoń.

Miles był tak zaskoczony, że zareagował dopiero po dłuższej chwili. Chwycił Elizabeth za brodę i na siłę rozwarł szczęki, po czym ze zdumieniem wpatrywał się w nadbiegające czerwienią ślady jej zębów na dłoni. Gdy spojrzał jej w oczy, ujrzał w nich zaciętą dumę.

– Myślisz, że jestem głupia? – warknęła. – Myślisz, że nie znam tych głupich gier? Chcesz mnie oswoić i omamić, a gdy już będę ci jadła z ręki, znudzisz się mną i odeślesz z rosnącym brzuchem do brata! To dopiero byłoby zwycięstwo!

Miles patrzył na nią spokojnie.

– Bystra z ciebie niewiasta, Elizabeth. Bardzo bym chciał ci udowodnić, że mężczyźni nie są wyłącznie dzikimi bestiami.

– W jaki sposób chciałbyś to osiągnąć? Trzymając mnie tu wbrew mej woli? Zmuszając do znoszenia twojego dotyku? Powinieneś być już dostrzec, że nie drzę z pożądania na twój widok. Tak trudno ci to pojąć? Pagnell uwielbia przemoc i gwałt. Co ciebie podnieca? Polowanie? A kiedy już posiadasz kobietę, co się z nią dzieje? Pozbywasz się jej jak niepotrzebnej rzeczy?

Elizabeth widziała, że zadała mu pytania, na które nie potrafił odpowiedzieć. Czowała wstręt do przedstawicielek własnej płci za to, że tak łatwo ulegały woli takiego łajdaka.

– Chcesz mi udowodnić, że nie jesteś bestią? Odeślij mnie do brata!

– Nie! – krzyknął Miles i zacisnął pięść. Po chwili wyprostował palce i potarł czoło. Nigdy wcześniej kobieta nie wyprowadziła go z równowagi. – Odwróć się, Elizabeth. Spłuczę ci włosy.

– A jeśli odmówię? Zbijesz mnie?

– Zaczynam to poważnie rozważać – odparł i stanowczym ruchem odwrócił ją i położył na końcu ławy, tak że włosy spływały jej na ziemię.

Miles delikatnie umył jej włosy i spłukał starannie. Elizabeth w milczeniu zastanawiała się, czy nie rozzłościła go za bardzo. Jego nienaganne maniery zbijały ją z tropu i niepokoiły. Był tak grzeczny, tak spokojnie pewny siebie, że wciąż miała pokusę go prowokować. Widziała, że wystarczy skinienie głową, jedno ciche słowo, by rycerze go słuchali i natychmiast wykonywali jego rozkazy. Czy kobiety poddawały mu się równie łatwo?

Prawdopodobnie nie postępowała mądrze, wciąż próbując go rozzłościć. Może już dawno by ją wypuścił, gdyby udawała, że się w nim zakochała. Gdyby szłochwała na jego ramieniu i udawała bezbronną, udręczoną dziewczynę. Jednak nie licząc kwestii nienawistnego dotyku, nie chciała go prosić o nic innego.

Miles delikatnie rozczesał jej mokre włosy kosztownym grzebieniem z kości słoniowej i przyniósł piękną suknię z miękkiej czerwonej wełny, a także batystową bieliznę.

– Możesz się umyć lub nie, jak chcesz, sugerowałbym jednak zmianę stroju – oświadczył szorstko i wyszedł.

Elizabeth umyła się prędko, posykując. Nie zauważyła dotąd, że jest tak posiniaczona. Ubrała się sprawnie i sprawdziła, czy suknia jest wygodna. Nie chciała, by ciasne ubranie pokrzyżowało jej plany ucieczki.

Miles przyniósł tacę wyładowaną jedzeniem i zapalił świece.

– Wziąłem po trochu wszystkiego, bo nie wiem, co lubisz.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

– Jak twoja suknia? – zapytał, patrząc jej w oczy. Elizabeth odwróciła się ostentacyjnie.

Suknia była szykowna, z doskonałej tkaniny, ozdobiona złotym haftem. Większość kobiet oszalałaby z radości, lecz Elizabeth chyba było wszystko jedno, czy ma na sobie piękną suknię, czy łachmany.

– Jedzenie stygnie. Usiądź ze mną i zjedz.

– Nie mam zamiaru ucztować z tobą.

Miles westchnął.

– Zostawiam tu tacę, może później zgłodniejesz.

Elizabeth wyprostowała się na ławie. Wyciągnęła przed siebie nogi, ramiona skrzyżowała na piersi i wbiła wzrok w wysoki lichtarz. Jutro. Jutro na pewno uda jej się uciec. Musi tylko odzyskać siły.

Ignorując aromatyczne zapachy jedzenia, położyła się na ławie i niemal natychmiast zasnęła.

Obudziła się w środku nocy, obolała i spięta. Czuła, że jest w niebezpieczeństwie, lecz resztki snu nie pozwalały jej jasno myśleć. Dopiero po kilku minutach przypomniała sobie wszystko i rozejrzała ostrożnie po namiocie. Miles spał głęboko na ławie po drugiej stronie namiotu.

Wychowana w domu pełnym zagrożeń, nauczyła się poruszać bezszelestnie.

Powolutku, uważając, by suknia nie wydała najmniejszego dźwięku, podeszła na tyły namiotu. Z pewnością strażę stoją dookoła, lecz ci z tyłu są zawsze najmniej czujni.

Wiele minut zajęło jej ciche uniesienie ściany namiotu na tyle, by zdołała się precyzyjnie przycisnąć pod spodem. Rozpłaszczyła się na ziemi i przez chwilę turlała kawałek po kawałku do niewykarczowanych zarośli. Strażnik przeszedł obok niej, chrzęszcząc zbroją, lecz Elizabeth wtuliła twarz w kłujące chwasty i nie zauważył jej. Gdy tylko odszedł, poderwała się bezszelestnie i pobiegła ku drzewom. Przez wiele lat udawało jej się wymykać Edmundowi i jego upiornym przyjaciółom. Miała wprawę. Roger żartował zawsze, że byłaby doskonałym szpiegiem.

W lesie pozwoliła sobie odetchnąć i uspokoiła rozszalałe serce. Nocne spacerowanie nie były jej obce, więc bez lęku zanurzyła się w gęstwinie.

Po dwóch godzinach marszu zobaczyła pierwsze promienie słońca. Była już bardzo zmęczona. Nie jadła od wielu godzin, niewiele spała. Powłóczyła nogami, a gałęzie co chwila szarpały ją za włosy.

Godzinę później zaczęła dygotać. Usiadła ciężko na zwalonym pniu, usiłując wziąć się w garść, czuła jednak, że nie zdoła dalej iść. Nie zwracając uwagi na robaki wypełzające spod pnia, ułożyła się na poszyciu. To nie była jej pierwsza noc w lesie. Próbowwała jeszcze okryć się liśćmi, lecz w połowie tego zadania zwyczajnie zasnęła.

Obudził ją szturchaniec. Zwalisty mężczyzna w łachmanach szczyrzył do niej poźółkłe i niepełne uzębienie. Zza jego pleców zerkało dwóch równie obdartych brudasów.

– Mówiłem wam, że jeszcze żyje – oświadczył zwalisty i brutalnie pociągnął ją na nogi.

– Śliczna dama – zaskowyczał chudy brudas, chwytając Elizabeth za ramię. Wyrwała się gwałtownie. Rękaw sukni pękł, obnażając smukłą rękę.

– Ja pierwszy! – krzyknął trzeci łajdak.

– Prawdziwa dama! – nie dowierzał własnemu szczęściu zwalisty.

– Nazywam się Elizabeth Chatworth! Jeśli mnie ruszycie, hrabia Bayham każe was rozerwać końmi!

– Hrabia Bayham wyrzucił mnie z farmy – wtrącił chudzielec. – Moja żona i córka nie przeżyły zimy. Zamarzły w lesie. – Patrzył na nią z taką nienawiścią, że cofnęłyby się, gdyby tuż za nogami nie miała pnia.

Zwalisty chwycił ją za gardło.

– Lubię, gdy kobiety błagają mnie o litość.

– Większość mężczyzn to właśnie lubi – wycedziła zimno Elizabeth.

– To jakaś wiedźma, Bill – zarechotał ten trzeci. – Ja ją pierwszy wezmę.

Nagle otworzył szeroko oczy. Zagulgotał i runął pod stopy Elizabeth. Odsunęła się zwinnie, nie zaszczycając spojrzeniem strzały wystającej mu

z pleców. Gdy dwaj pozostali gapili się na trupa, prędko uniosła suknię i przeskoczyła nad pniem.

Z gęstwiny wynurzył się Miles. Chwycił Elizabeth za rękę. Widząc jego twarz, wstrzymała oddech. Oczy miał niemal czarne z wściekłości, brwi ściągnięte, wargi zaciśnięte w wąską kreskę.

– Nie ruszaj się stąd! – ryknął.

Elizabeth przykucnęła ze strachu i po chwili przekonała się, że legendy o męstwie Milesa na polu bitwy są uzasadnione. Zwalisty podniósł z ziemi morgensztern<sup>1</sup> i z wprawą zakręcił nim młynka, mierząc w głowę Milesa. Miles roześmiał się, uchylił zwinnie i rozplątał drugiego brudasza mieczem. Nie zmieniając nawet rytmu kroków, czubkiem miecza rozciął szyję zwalistemu. Po kilku sekundach wszyscy leżeli na mchu, a Miles nawet nie mrugnął. Nie mogła wprost uwierzyć, że ten wytrawny zabójca kilka godzin wcześniej delikatnie mył i czesał jej włosy.

Nie czekając na dalszy rozwój wypadków, Elizabeth poderwała się i czmychnęła w las. Wiedziała, że Miles jest od niej szybszy, miała jednak nadzieję, że sama okaże się sprytniejsza. Chwyciła pierwszą niską gałąź i podciągnęła się zwinnie.

Po chwili pod drzewem pojawił się Miles. Krew splamiła jego aksamitny kaftan i kapąła z miecza. Dyszał jak tropiący zdobycz pies i rozglądał się dookoła. Wreszcie zastygł i zaczął nasłuchiwać.

Elizabeth wstrzymała oddech.

Miles pokiwał głową i spojrzał do góry, wprost w jej twarz.

– Złaż – rozkazał grobowym głosem.

Elizabeth wspomniała identyczne wydarzenie z przeszłości. Miała wtedy trzynaście lat. Zeskoczyła z drzewa wprost na głowę ścigającego ją łajdaka, ogłuszyła go i uciekła. Bez chwili zastanowienia rzuciła się na Milesa.

Nie zachwiał się nawet. Chwycił ją w ramiona i przytrzymał.

– Mogli cię zabić – wycedził, nie zwracając uwagi na jej mordercze zamiary.

– Jak ci się udało ominąć strażę?

– Puść mnie! – krzyknęła, szamocząc się dziko.

– Dlaczego nie posłuchałaś, gdy kazałem ci się nie ruszać?

Nie mogła uwierzyć, że naprawdę zadał tak idiotyczne pytanie. Ze zdumienia przestała się szamotać.

– A czyż powinnam była słuchać także tych trzech? A może wszystkich poprzednich łajdaków, próbujących mnie pohańbić? Jaka jest różnica między nimi a tobą?

Twarz Milesa wykrzywiła się z gniewu.

– Do licha, Elizabeth! Porównujesz mnie do tych szumowin? Czy w jakikolwiek sposób cię skrzywdziłem?

– Ach, więc ją znalazłeś – zauważył sir Guy, wyplątując się z zarośli. Wyglądał na rozbawionego. – Jestem sir Guy Linacre, lady Elizabeth.

Elizabeth skinęła mu głową.

– Przystaniesz mnie obmacywać? – spytała Milesa.

Puścił ją tak nagle, że prawie się przewróciła. Tego było już za wiele. Zakręciło jej się w głowie, przed oczami zawirowały ciemne koła. Dramatycznym gestem wyciągnęła rękę, by się czegoś chwycić.

Sir Guy przyklęknął i złapał ją tuż nad ziemią.

– Nie dotykaj mnie – wybełkotała.

Miles podszedł powoli i wziął ją na rękę.

– Wydało się przynajmniej, że nie tylko mnie się brzydzi – powiedział. – Kiedy ostatnio jadłaś?

– Jeszcze zbyt niedawno, by przestać się ciebie brzydzić – odparła szorstko.

Miles roześmiał się nagle i zanim Elizabeth zdążyła się uchylić, cmoknął ją donośnie w usta.

– Jesteś absolutnie wyjątkowa, Elizabeth.

Wytarła wargi wierzchem dłoni, aż poczerwieniały.

– Puść mnie! Mogę iść na własnych nogach!

– Żebym znów musiał cię ganiać po lesie? Nie sądzę. Zastanawiam się, czy nie przykuć cię łańcuchem do mojego pasa.

Miles usadził ją przed sobą na siodle i ruszyli do obozowiska.

*Rozdział  
trzeci*

Namioty były już złożone i spakowane w zgrabne zawiniątka. Rycerze mocowali starannie juki i ustawiali muły w rzędzie. Elizabeth była ciekawa, dokąd się przenoszą, lecz nie odezwała się ani słowem. Siedziała sztywno w siodle, starając się odsunąć jak najdalej od Milesa, i milczała wyniośle.

Miles ominął wszystkich i wjechał w gęstwinę za polaną. Sir Guy zeskoczył z siodła i zakrzyknął się na polanie, pokrzykując na rycerzy. W lesie czekał na nich zastawiony stół, nad którym pochylał się z zatroskaniem drobny staruszek. Miles uniósł dłoń i staruszek zniknął jak zaczarowany.

Montgomery zsiadł z konia i wyciągnął ręce. Elizabeth zignorowała uprzejmy gest, zsuwając się z siodła. Zrobiła to powoli i z uwagą, by znowu nie zemdleć.

– Kucharz przyrządził dla nas posiłek – oświadczył Miles, biorąc ją za rękę.

Wyrwała mu dłoń i spojrzała na zastawiony stół.

Smakowicie przyrumienione przepiórki ułożono na zgrabnie usypanych kopczykach ryżu i polano kremowym sosem. Na tacy pyszniły się świeże ostrygi otoczone jajkami w sosie szafranowym, plastrami różowej szynki i kawiozem na grzankach. Elizabeth dostrzegła też flandrę nadziewaną cebulą i orzechami, pieczone gruszki i placek z jagodami. Spojrzała na Milesa ze zdumieniem.

– To twój zwykły posiłek w podróży?

Złapał ją za ramiona i obrócił ku sobie. Elizabeth zakręciło się w głowie.

– Siadaj i jedz. Nie pozwolę ci się dłużej głodzić. – Popchnął ją na stołek.

– A ty co zamierzasz? – zapytała, pocierając palcami skronie. – Ułożysz w tym czasie zgrabny stos na polanie? Czy masz jakiś inny wymyślny sposób naginania kobiet do własnej woli?

Miles zmarszczył brwi.

– Owszem, mam własne sposoby karania uparciuchów – oświadczył i podniósł ją za ramiona.

Nigdy jeszcze nie widziała jego oczu z tak bliska. W ciemnoszarej toni płonęły błękitne ogniki. Przytrzymał ramiona Elizabeth, pochylał się i musnął wargami jej szyję. Zastygła.

– Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo jesteś pociągająca, Elizabeth? – mruknął. Przesunął wargami w górę, ledwie dotykając jej skóry, a palcami gładził nagie ramię, powoli przesuwał się ku piersi. Leciutko przygryzł jej ucho.

– Chciałbym się z tobą kochać, Elizabeth – szepnął czule. – Chciałbym roztopić lód w twoim sercu. Pieścić każdy fragment twojego ciała, patrzeć na ciebie i okazać ci swoje pożądanie.

Elizabeth stała nieporuszona, nie czując zupełnie nic. Wprawdzie Miles nie budził w niej odrazy ani nie sprawiał jej bólu, jednak nie czuła żadnych fal gorąca ani rosnącego napięcia w brzuchu, o których szeptają dziewczęta.

– Jeśli obiecuję, że grzecznie zjem, przestaniesz się wygłupiać? – zapytała chłodno.

Miles podniósł głowę i przez chwilę badawczo wpatrywał się w jej twarz. Elizabeth skuliła się w sobie, przeczuwając nadchodzący wybuch. Kiedy mężczyźni odkrywali, że nie budzą w niej pożądania, zaczynali ją atakować i obrzucać wyzwiskami.

Miles uśmiechnął się lekko, pogłaskał jej policzek i podał rękę, by odprowadzić do stołu. Wzruszyła ramionami i sama usiadła, nie zdradzając zaskoczenia.

Miles nałożył jej na talerz najlepsze kąski i uśmiechnął się, kiedy zaczęła jeść.

– Zaraz pęknie z dumy – burknęła Elizabeth. – Choć mój brat pewnie podziękuje ci za to, że mnie podtuczyłeś.

– Nie zamierzam cię jeszcze oddawać – odparł łagodnie Miles.

Elizabeth nie dała po sobie poznać, jak bardzo ją to przeraziło.

– Roger zapłaci za mnie każdy okup, jakiego zażadasz.

– Na pewno nie wezmę pieniędzy od mordercy mojej siostry – wycedził Miles.

Elizabeth rzuciła na talerz niedojedzone udko przepiórki.

– O czym ty mówisz? Nic nie wiem o twojej siostrze!

Miles podniósł na nią oczy koloru stali.

– Roger Chatworth chciał ukraść narzeczoną mojemu bratu Stephenowi, jednak Stephen zdołał go ubiec i stanęli do walki pod jej domem. Twój brat walczył jak tchórz, atakując rywala od tyłu.

– Nie! – wykrzyknęła Elizabeth, podrywając się z miejsca.

– Stephenowi udało się jednak wygrać, ale nie chciał zabijać Rogera.

W akcie zemsty twój brat porwał moją siostrę, a parę dni później, żonę Stephena. Zgwałcił moją siostrę, która z rozpaczycy rzuciła się z okna waszej wieży.

– Nie! Nie! Nie! – powtarzała Elizabeth, zakrywając rękami uszy.

– Twój brat Brian bardzo ją kochał – ciągnął Miles, ujmując stanowczo jej dłonie. – Gdy się zabiła, uwolnił żonę Stephena i przywiózł ją do nas. Wraz ze zmasakrowanym ciałem mojej siostry.

– Kłamiesz! – wrzasnęła Elizabeth. – Jesteś kłamcą! Puść mnie!

Miles przyciągnął ją do siebie.

– Nikt nie chciałby słuchać takich rzeczy o osobach, które kocha. Jednak twój brat wyrządził wiele zła.

Elizabeth miała doświadczenie w wymykaniu się napastnikom, Miles zaś nie



miał żadnego w okiełzrywaniu wrywających się kobiet. Kopnęła go z wprawą między nogi i natychmiast ją wypuścił.

– Niech cię lichy, Elizabeth – stęknął, opierając się o stół.

– Niech ciebie lichy, Montgomery! – krzyknęła, rzucając celnie karafką z winem i podrywając się do biegu.

Miles uchylił się i chwycił jej dłoń.

– Nie uciekniesz – stwierdził spokojnie, znów zamykając ją w ramionach. – Zamierzam ci udowodnić, że Montgomery'owie są niewinni. Choćbym miał zginąć.

– Pomysł twojej śmierci jest najlepszy, o jakim słyszałam od wielu dni.

Miles zamknął oczy, jakby prosił niebiosy o cierpliwość. Gdy znów na nią spojrział, oczy miał jasne i pogodne.

– Jeśli się już najadłaś, czas w drogę. Jedziemy do Szkocji.

– Co?! – wykrzyknęła, lecz Miles położył jej palec na wargach.

– Owszem, aniele – prychnął drwiąco. – Chcę, byś spędziła parę dni z moim bratem i jego uroczą żoną. Powinnaś wreszcie poznać moją rodzinę.

– Znam twoją rodzinę wystarczająco dobrze. To banda...

Miles zamknął jej usta wargami. Nie oddała mu pocałunku, ale przynajmniej, gdy podniósł głowę, milczała.

Jechali wiele godzin wolnym stałym tempem. Woły wyładowane skrzyniami, meblami, pakunkami i jedzeniem spowalniały podróż.

Elizabeth pozwolono jechać samej na klaczy, jednak została ona starannie przywiązana do konia Milesa. Montgomery dwa razy próbował nawiązać rozmowę, lecz dziewczyna uparcie milczała. Głowę miała zaprzątniętą myśleniem o tym, co Miles jej powiedział, i jednocześnie próbami niemyślenia na ten temat.

Przez ostatnie dwa lata jedyny jej kontakt z rodziną stanowiły rzadkie listy od Rogera i plotki wędrownych bardów. Rzecz jasna, grajkowie wiedzieli, z jakiego rodu Elizabeth pochodzi, i rzadko mówili cokolwiek o jej rodzinie.

Z kolei ogromna rodzina Montgomerych była ulubionym tematem pieśni i plotek. Elizabeth знаła historię tej rodziny z własnego domu. Najstarszy z braci Montgomerych, Gavin, uwiódł i porzucił piękną Alice Valence. By się na nim zemścić, Alice wyszła za mąż za najstarszego brata Elizabeth, Edmunda. Elizabeth błagała Rogera, by nie dopuścił do tego związku. Wiedziała, że żadna kobieta nie zasługuje, by stać się ofiarą okrutnego i przebiegłego Edmunda. Roger twierdził, że nie może w żaden sposób zapobiec ślubowi. Po zaledwie kilku miesiącach Gavin Montgomery poślubił niewiarygodnie bogatą dziedziczkę Revendoune. Gdy Edmund został zamordowany, zazdrosna dziedziczka oblała Alice Chartwoth wrzącym olejem, oszpecając ją na zawsze. Elizabeth napisała do Rogera, że musi się zaopiekować owdowiałą i skrzywdzoną bratową. Na szczęście Roger nie stawiał oporu.

Wkrótce potem napisał, że piękna szkocka dama Bronwyn MacArran wysłała do niego swatów, lecz Stephen Montgomery porwał ją i zmusił do ślubu. Roger wyzwał go na pojedynek, by bronić czci Bronwyn, lecz w czasie walki Stephen sprytnie obrócił się tak, by sekundanci zarzucili Rogerowi zdradziecki cios w plecy i ogłosili jego hańbę.

Nie pamiętała, kiedy zniknął Brian, a Roger nigdy jej o tym nie opowiadał. Była jednak przekonana, że miało to wiele wspólnego z Montgomerymi. Brian był zawsze delikatnym, wrażliwym chłopcem. Pewnie nie mógł już dłużej znieść atmosfery grozy, jaka otaczała jego dom za sprawą wrogiego rodu. Chciała wierzyć, że nie miało to nic wspólnego z kłamliwą historią, którą opowiedział jej Miles. Roger zapewne nawet nie wiedział, że Montgomery'owie mieli też siostrę.

Przez całą drogę bezwiednie wpychała rozdarty rękaw pod poszarpany dekolt sukni, żeby zakryć obnażone ramię. Gdy Miles zarządził postój na spoczynek, ze zdumieniem spostrzegła, że zaczął zapadać zmrok. Niewesołe myśli zaprzętnęły ją tak, że nie zauważyła, kiedy minął dzień.

Gospoda była nieduża, jednak wyglądała na dobrze prosperującą. Gospodarz stał przed progiem z szerokim uśmiechem na czerwonej twarzy. Miles podszedł do niej.

– Elizabeth – odezwał się, wyciągając ręce – bardzo cię proszę, nie rób scen, których będziesz się potem wstydziła. – Zerknął przelotnie na jej stopę, kołysząc się niedaleko jego twarzy.

Elizabeth zawahała się na chwilę, jednak pozwoliła mu się zsadzić z siodła. Od razu odsunęła się na bok, uciekając od jego rąk. Rycerze zaczęli wchodzić do gospody i Miles ujął ją pod ramię.

– Mam coś dla ciebie – wyznał, obserwując ją uważnie. Wyjął z kieszeni piękną starą broszkę ze złota. Wyobrażała pelikana siedzącego w gniazdku z diamentów, ze smukłą głową schowaną pod skrzydłem.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

– Nie chcę jej.

Miles westchnął i spiął broszką rozdarty rękaw jej sukni.

– Chodźmy – powiedział bezbarwnym głosem.

Gospodarz najwyraźniej czekał na nich od rana. W sali kręciły się posługaczki, stoły uginały się od dymiących półmisków. Elizabeth patrzyła na to bez emocji, Miles prowadził cichą rozmowę z sir Guyem.

Gospoda okazała się przestronna, zastawiona stołami i krzesłami. W jednym kącie pysznił się ogromny kominek. Po raz pierwszy Elizabeth miała okazję przyjrzeć się drużynie Milesa. Było ich dwunastu, ale zachowywali się bardzo cicho i spokojnie. Zgranym szykiem weszli go gospody i nie czyniąc żadnego hałasu, otwierali wszystkie drzwi i zagłądali w kąty. Wyglądało to jak rycerski balet. Wyćwiczonymi układami przemieszczali się po całej gospodzie

w absolutnym milczeniu. Czyżby Miles Montgomery miał tylu wrogów czy po prostu jest ostrożny?

Śliczna młoda posługaczka dygnęła głęboko przed Milesem, który uśmiechnął się do niej lekko. Elizabeth z ciekawością przyglądała się, jak posługaczka rumieni się i spuszcza wzrok pod spojrzeniem Milesa.

– Witaj, mój panie – szepnęła nieśmiało, dygając raz po raz. – Mam nadzieję, że będzie panu smakowało to, co ugotowałam.

– Z pewnością – oświadczył Miles, jakby już próbował potraw.

Dziewczyna spłonęła rumieńcem i czmychnęła do kuchni.

– Jesteś głodna, Elizabeth? – zapytał nagle Miles.

– Przynajmniej nie tego, co reszta – prychnęła, wskazując głową oddalającą się posługaczkę.

– Jakżebym chciał, by przez twe słowa przemawiała zazdrość – roześmiał się Miles. – Na szczęście jestem cierpliwy – dodał, popychając ją lekko w stronę stołu.

Usiedli razem przy małym stoliku odsuniętym nieco od reszty stołów dla rycerzy, ale w tej samej sali. Służba wносиła danie po daniu, lecz Elizabeth ledwie próbowała.

– Zdaje mi się, że nie masz wielkiego apetytu.

– Gdybyś był więźniem, pasłbyś się u stołu ciemżyciela?

– Prawdopodobnie każdą chwilę strawiłbym na planowaniu jego śmierci – odparł szczerze.

Elizabeth spojrzała na niego w milczeniu, lecz Miles patrzył w talerz.

W połowie długiego, spożywanego w milczeniu posiłku Miles chwycił dłoń służki stawiającej na stole talerz z wędzonym łososiem. Elizabeth dostrzegła, że ręce dziewczyny są podrapane i posiniaczone.

– Co ci się stało? – zapytał łagodnie Miles.

– Zbierałam jeżyny, mój panie – odpowiedziała, struchlała z grozy.

– Gospodarz! – zawołał półgłosem Miles. – Dopilnuj, by opatrzone ręce tej dziewczyny i niech ich nie wkłada do wody do czasu, aż się zagoją.

– Ależ mój panie! – zachnął się oberżysta. – To tylko pomywaczka. Usługuje ci, bo posługaczka zległa na ospę.

Sir Guy powoli wstał z za stołu. To w zasadzie wystarczyło, by gospodarz cofnął się i odchrząknął.

– Chodź – warknął do dziewczyny.

– Dziękuję, mój panie – wyjąkała służka, dygając głęboko.

Rozzłoszczony oberżysta wyprowadził ją do kuchni.

Elizabeth odkroiła kawałek sera.

– Sir Guy bał się, że oberżysta cię pokona? – zapytała drwiąco.

Miles spojrzał na nią z rozbawieniem i chwyciwszy jej dłoń, pocałował prędko.

– Guy nie lubi awantur o służebne dziewczki.

– A ty?

Miles wzruszył ramionami.

– Ja w ogóle nie lubię awantur. Jestem pokojowo nastawiony do świata.

– Ale wdałbyś się w kłótnię z grubym oberżystą o podrapane ręce nic nieznaczącej pomywaczki – oświadczyła raczej, niż zapytała.

– Dla mnie ta pomywaczka ma znaczenie. Pewnie jesteś zmęczona – zmienił nagle temat. – Chciałabyś się już położyć?

Wstał uprzejmie i odsunął jej krzesło. Rycerze powstali z miejsc i życzyli jej dobrej nocy. Elizabeth skinęła im głową i ruszyła za Milesem schodami na stryszek do jedynej sypialni. Z jednym łóżkiem.

– Ach! Więc tak bardzo się starałeś, by teraz wreszcie zaciągnąć mnie do łóżka? Pewnie ściany namiotu to za mało, by stłumić mój płacz!

– Elizabeth, dziecko... – westchnął, ujmując jej dłoń. – Będę spał na parapecie. Nie mogę cię tu zostawić samej, bo z pewnością znajdziesz jakiś sposób, by wyjść.

– Chciałeś powiedzieć „uciec”.

– W porządku. Uciec. A teraz chodź do mnie. Chcę z tobą porozmawiać. – Pociągnął ją na wyścielony siennikiem szeroki parapet i usadził obok siebie. Kiedy przyciągnął ją do swojej piersi, zaczęła się wyrywać.

– Uspokój się, Elizabeth. Będę cię obejmował w talii, nic więcej. Chcę tylko posiedzieć i porozmawiać.

– Mogę z tobą porozmawiać, siedząc kawałek dalej.

– Wiem. Jednak nie mogę się powstrzymać od dotykania cię – wyznał cicho.

– Chciałbym cię pieścić przez cały czas. Głaskać, pocieszać, ukoić twój ból.

– Nic mnie nie boli – oświadczyła szorstko, odpychając od siebie jego ramiona. Był wysoki, tors miał rozbudowany. Pasowała do niego jak ulał.

– Jesteś bardzo skrzywdzona, Elizabeth. Bardziej, niż ci się wydaje.

– Ach, już rozumiem. Skoro nie mdleję za każdym razem, kiedy się do mnie zbliżasz, musi być ze mną coś nie w porządku.

Miles zachichotał i pocałował ją w skroń.

– W pełni na to zasłużyłem. Przestań się szarpać, bo znowu cię pocałuję – zagroził. Natychmiast znieruchomiała i Miles poczuł ucisk w sercu. – Chciałbym cię poznać, wiedzieć, jaka jesteś. Nie cieszy cię dobre jedzenie ani piękne suknie. Złoto i diamenty nie znajdują twego uznania. Mężczyźni nie zasługują na twoją uwagę. Jaką masz słabość, Elizabeth?

– Słabość? – zastanowiła się chwilę. Miles głaskał jej włosy i wbrew sobie zaczęła się uspokajać. Dwa dni strachu i gniewu odebrały jej siły. Miles wyciągnął swoje długie nogi na parapecie i usadowił ją pomiędzy nimi. – A co jest twoją słabością, Montgomery?

– Kobiety – mruknął. – Powiedz mi o sobie.

Elizabeth powoli się odprężała i coraz bardziej zapadała w jego ramionach. Wcale nie czuła się osaczona. Raczej bezpieczna w objęciach mężczyzny, który nie wrzeszczał, nie rozdzierał jej ubrania, nie krzywdził.

– Mam dwóch braci, których kocham i którzy mnie kochają. Nie brakuje nam bogactw, więc wystarczy, że wspomnę o sukni lub klejnocie, które wpadną mi w oko, i Roger je dla mnie kupuje.

– Roger... Jest dla ciebie dobry?

– Chroni mnie. – Zamknęła oczy z uśmiechem. Miles głaskał jej obolały kark. – Roger zawsze chronił mnie i Briana.

– Przed czym?

Przed Edmundem – pomyślała, lecz nie mogła tego powiedzieć na głos. Otworzyła oczy i usiadła.

– Przed mężczyznami! – rzuciła po chwili z obrzydzeniem. – Zawsze usiłowali mnie skrzywdzić, lecz Roger trzymał ich ode mnie z daleka.

Miles nie wypuszczał jej dłoni.

– Znasz setki sztuczek, wiesz, jak się wyrywać, jak uciec i jak się schować. Serce masz okute w stal. Widać, że jesteś pełna pasji i namiętności, jednak ukryłaś je głęboko. Kto cię zranił? Czyżby Roger nie zawsze potrafił cię ochronić?

Elizabeth zacięła usta i przeklinała w duchu własną głupotę. Po chwili Miles westchnął i wypuścił jej ręce. W ułamku sekundy zeskoczyła z parapetu.

– Połóż się już – poprosił, przeciągając się i odwracając plecami, by dać jej odrobinę prywatności.

Elizabeth, nie ufając mu za grosz, zdjęła tylko buty i w sukni wśliznęła się pod ogromną kołdrę. Miles zdmuchnął świecę i przez jakiś czas stał przy oknie, oświetlony mdłym blaskiem księżyca. Ułożyła się w pościeli tak, by go widzieć. Całe ciało miała spięte i wyprężone ze strachu. Zaciśnęła palce na kołdrze, gdy zaczął się rozbierać. Widząc go nagiego, wstrzymała oddech. Miles jednak wyciągnął się na parapecie pod cienkim kocem. Czy też raczej starał się wyciągnąć, klnąc cicho pod nosem.

Dopiero po jakimś czasie Elizabeth zrozumiała, że Montgomery nie zamierza się na nią rzucić. Przypuszczała jednak, że zrobi to w środku nocy. Starła się zasnąć, lecz budził ją każdy szmer. Za każdym razem, gdy Miles przewracał się na swym wąskim pościeli, podrywała się i zaciskała pięści. Słyszając jego spokojny oddech, zasypiała po chwili, aż do następnego szmeru.

*Rozdział  
czwarty*

Nie wyspałaś się? – zapytał Miles, ubierając się o poranku. Na długie umięśnione nogi wciągnął czarne obcisłe spodnie. Haftowany kubrak ledwie sięgał mu bioder.

– Nie śpiam dobrze przy wrogach – prychnęła.

Miles zaśmiał się lekko, odepchnął jej dłonie i staranie zaplótł warkocz z długich włosów Elizabeth. Związał go mocno kawałkiem wstążki i pocałował dziewczynę w szyję. Odskokczyła jak oparzona, trąc szyję do czerwoności. Miles wyciągnął do niej rękę.

– Wiem, że będziesz bardzo zawiedziona, ale muszę już zejść na dół. Kompania na mnie czeka.

Ominęła jego dłoń i wyszła pierwsza z sypialni. Było bardzo wcześnie, słońce jeszcze nie wychyliło się znad horyzontu. Miles wyjaśnił, że posiłek czeka na nich w drodze, a najpierw pojedą kilka godzin.

Stanęli w drzwiach. Sir Guy wyprężył się słuźbiście, rycerze ustawili przy karawanie mułów.

– Wszystko gotowe? – zapytał Miles. – Opłaciłeś oberżę?

Zanim sir Guy zdążył odpowiedzieć, drobna, może czteroletnia dziewczynka w łachmanach wypadła z oberży. Nie zdołała ominąć Milesa, potknęła się i spadła z dwóch schodków. Miles rzucił się na kolana i chwycił dziecko w objęcia.

Sir Guy westchnął, rycerze patrzyli na swego pana znudzonym wzrokiem, najwyraźniej oswojeni z takimi sytuacjami. Elizabeth nawet nie spojrzała na Milesa, zaniepokojona stanem dziewczynki. Podeszła blisko i położyła dłonie na plecach płaczącego dziecka.

Dziewczynka podniosła głowę i spojrzała na Elizabeth przez łzy. Wygięła usta w podkówkę i wybuchając znów płaczem, rzuciła się jej w ramiona. Trudno powiedzieć, kto był bardziej zdumiony – Miles, sir Guy czy rycerze. Miles gapił się na Elizabeth z wyrzutem, z trudem znosząc porażkę na znanym gruncie.

– Cicho, skarbie – powtarzała Elizabeth głosem tak ciepłym i miękkim, że Miles zadrżał. – Nie płacz już. Jak przestaniesz płakać, sir Guy weźmie cię na barana.

Miles zakasłał, żeby stłumić wybuch śmiechu. Swym ogromnym wzrostem i okropną blizną stary rycerz budził lęk wśród kobiet. Nie słyszał nigdy, by któraś odezwała się do niego, a tym bardziej by proponowała dziecku jazdę na jego ramionach.

– Będziesz taka wysoka – ciągnęła Elizabeth, kołysząc dziecko – że będziesz mogła sięgnąć gwiazdki z nieba.

Dziewczynka pociągnęła nosem i spojrzała na Elizabeth.

– Gwiazdkę? – westchnęła.

Elizabeth pogłaskała zroszony łzami policzek.

– Zerwiesz gwiazdkę i dasz ją lordowi Milesowi za śliczną sukienkę, którą ci kupi.

Rycerze jak zaczarowani przenieśli wzrok z Elizabeth na Milesa. Żaden nie odważył się nawet uśmiechnąć, widząc na jego twarzy zdumienie graniczące z grozą. Dziewczynka uśmiechnęła się do Milesa, lecz kiedy spojrzała na sir Guya, chwyciła rączkami szyję Elizabeth.

– Nie bój się rycerza – łagodnie powiedziała Elizabeth. – On bardzo lubi dzieci. Prawda, sir Guyu?

Sir Guy spojrzał na nią nieżyczliwie.

– W istocie, moja pani, bardzo lubię dzieci, choć one mnie znacznie mniej.

– Naprawimy to. Jedź z sir Guyem, mój skarbie. I poszukaj gwiazdki dla lorda Milesa.

Zawstydzona dziewczynka wdrapała się na ramiona starego rycerza i pisnęła.

– Jestem najwyższa na świecie! – roześmiała się nagle.

Sir Guy wznosił oczy do nieba, odchodząc w stronę ogrodu.

– Nie widziałem wcześniej, żebyś się uśmiechała – odezwał się Miles.

Uśmiech Elizabeth natychmiast zniknął.

– Odeślę ci pieniądze za jej sukienkę – odparła, odwracając twarz.

Miles wziął ją za rękę i odprowadził na bok, z dala od ciekawskich uszu rycerzy.

– To tylko córka żebraka.

– Doprawdy? – prychnęła Elizabeth. – Myślałam, że jedna z twoich.

– Moich? – warknął rozzłoszczony. – Naprawdę uważasz, że pozwoliłbym mojemu dziecku biegać w łachmanach i bez żadnej opieki?

Spojrzała na niego z pogardą.

– Skąd możesz wiedzieć, ile twoich dzieci biega w łachmanach po świecie? Masz w jukach rejestr? Wiesz, gdzie mieszkają?

Twarz Milesa wyrażała zbyt wiele emocji, by je zliczyć: złość, niedowierzanie, rozbawienie.

– Ile dzieci mam, twoim zdaniem, Elizabeth?

Zadarła nos i parsknęła.

– Nie wiem i wcale mnie to nie obchodzi.

Obrócił ją ku sobie.

– Nawet moi bracia przesadzają w tym temacie, więc czego miałbym się spodziewać po obcych. Mam trzech synów: Christophera, Philipa i Jamesa. Na dniach urodzi się czwarte i mam nadzieję, że to będzie dziewczynka.

– Masz nadzieję? – zachnęła się. – Nie masz za grosz serca? Nie obchodzi

cię, co się stanie z ich matkami? Użyłeś ich i pojechałeś sobie. A co z dziećmi? Całe życie będą nosić łatkę bękarta. Nieistotne odpadki chwili rozkoszy jednego łajdaka!

Zacisnął dłoń na jej ramieniu.

– Nie używam kobiet! – wycedził. – Matki moich dzieci same do mnie przyszły. A wszystkie dzieci mieszkają ze mną i mają zapewnioną dobrą, pełną troski opiekę niań.

– Niań?! – Elizabeth próbowała się wyrwać z jego uścisku, lecz nie zdołała. – Wyrzuciłeś ich matki na ulicę? Czy dałeś im po kilka monet, jak to zrobiłeś z Bridget, i odesłałeś?

– Bridget? – Miles zastanawiał się przez chwilę. Jego gniew opadał. – Zdaje się, że masz na myśli matkę Jamesa? – Nie czekał na odpowiedź. – Opowiem ci prawdę o Bridget. Gavin zwrócił się do zakonu Świętej Katarzyny z prośbą o przysłanie kilku skromnych, pobożnych dziewcząt, które miały zostać pokojówkami. Bardzo mu zależy, by służące nie zawracały głowy rycerzom i nie były pretekstem do bójek. Od pierwszej chwili spędzonej w naszym domu Bridget próbowała mnie uwieść.

– Kłamiesz!

– Już pierwszego wieczoru powiedziała mi, że tyle o mnie słyszała, że czuje się jak dziecko, któremu zakazano zabawy ogniem. Kolejnej nocy znalazłem ją w swoim łóżku.

– I wzięłeś ją bez wahania.

– Kochałem się z nią, to prawda. Tamtej nocy i przez kilka następnych. Kiedy okazało się, że jest w ciąży, dostałem baty od braci.

– Więc odebrałeś jej dziecko, a ją samą odrzuciłeś.

Uśmiechnął się.

– W istocie to ona mnie odrzuciła. Wyjechałem na cztery miesiące, a po powrocie dowiedziałem się, że zakochała się w ogrodniku Gavina. Spotkałem się z nimi. Powiedziałem, że chciałbym wychować dziecko na rycerza. Bridget zgodziła się z radością.

– Ile im zapłaciłeś? Musiałeś się pewnie wykosztować. Żadna matka nie oddałaby dziecka.

Miles puścił jej ramię.

– Widzę, że niezbyt dobrze znałaś Bridget. Wiedziałybyś, że o wiele bardziej pociągały ją własne rozrywki i zabawa niż opieka nad dzieckiem. Ogródnik zresztą także nie chciał dziecka. Kilka dni później przyszedł do mnie po pieniądze za to, że wziął skalaną za żonę. Nic mu nie dałem. James jest ze mną.

Elizabeth milczała krótką chwilę.

– A co z matkami innych dzieci? – zapytała cicho.

Odsunął się o krok.



– Byłem jeszcze chłopcem, kiedy zakochałem się w młodszej siostrze jednego z rycerzy Gavina. Margaret i ja mieliśmy zaledwie po szesnaście lat, kiedy urodził się Christopher. Chciałem się z nią ożenić, lecz brat odesłał ją do dalszej rodziny. Nie wiedziałem nawet, że była w ciąży, gdy zniknęła. Dowiedziałem się o synu, gdy Margaret zmarła na ospę, w miesiąc po porodzie. Kit mieszka teraz ze mną.

Miles spojrział na nią i wyszczerzył zęby.

– Matka Philipa jest egzotyczną tancerką. Spędziła w moim łóżku dwa... – westchnął – dwa bardzo interesujące tygodnie. Po dziewięciu miesiącach przysłała do mnie gońca z Philipem. Nigdy więcej o niej nie słyszałem.

Elizabeth rozchyliła wargi z zaciekawienia.

– A ostatnie?

Miles przestąpił z nogi na nogę. Gdyby był kobietą, pewnie by się zarumienił.

– Obawiam się, że z tym dzieckiem mogę mieć kłopoty. Matką jest moja daleka kuzynka. Opierałem się jej tak długo, jak potrafiłem, ale... – Wzruszył ramionami. – Jej ojciec strasznie się wściekł. Obiecał, że odeśle mi dziecko, ale... nie jestem pewny, czy to zrobi.

Elizabeth pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Na pewno masz więcej dzieci – oświadczyła bez wahania.

Zmarszczył brwi.

– Nie sędzę. Utrzymuję kontakt ze wszystkimi kobietami, w których łożu przelotnie bawiłem, i sprawdzam.

– Jakbyś wybierał kurom jajka – szepnęła ze zgrozą.

Miles spojrział na nią, przechylając głowę.

– W jednej chwili potępiasz mnie za to, że moje dzieci biegają w łachmanach po całym świecie, porzucone i niekochane, a w następnej, że o nie dbam. Nie ślubowałem celibatu i nie zamierzam żyć w czystości, ale z radością ponoszę konsekwencje swoich czynów. Kocham moje dzieci, dbam o nie i planuję dla nich dobrą przyszłość. Chętnie miałbym ich nawet pięćdziesiąt!

– Zrobiłeś już świetny start – rzuciła, wracając ku rycerzom.

Miles obserwował ją przez chwilę. Stała w oddaleniu od mężczyzn, spięta i gotowa do ucieczki. Nie zachowywała się jak żadna z jego bratowych, przyzwyczajonych do władzy nad ludźmi, chętnie przyjmujących służebne gesty. Elizabeth była zawsze spięta, zwłaszcza gdy znajdowali się przy niej mężczyźni. Poprzedniego dnia przejeżdżający obok rycerz niechcący musnął jej ramię. Zareagowała tak gwałtownie, ciągnąc za uzdę i spinając uda, że koń niemal stanął dęba. Udało jej się opanować i uspokoić zwierzę, lecz Miles nie mógł o tym zdarzeniu zapomnieć. Żadna kobieta – ani mężczyzna – nie powinni się tak bać dotyku drugiej osoby.

Sir Guy wrócił sam i już z daleka szukał wzrokiem swego pana.

– Robi się późno. Powinniśmy już ruszać. – Westchnął. – Chyba że postanowiłeś jednak oddać damę bratu.

Miles przyglądał się, jak Elizabeth rozmawia z dziewczynką i jej matką. Spojrzał z uśmiechem na starego rycerza.

– Wyślij dwóch ludzi do mojej posiadłości na północy. Niech przywiozą do mnie Kita.

– Twojego syna? – zdumiał się sir Guy.

– Owszem, mojego syna. Niech wezmą jego nianię. Nie! Zaczekaj, niech wezmą tylko Kita, pod odpowiednią strażą. Lady Elizabeth będzie się nim opiekowała.

– Jesteś pewny?

– Lady Elizabeth najwyraźniej lubi dzieci, więc przez chwilę podzielę się z nią moim synem. Skoro nie potrafię dotrzeć do jej serca jedną drogą, spróbuję inną.

– I co z nią zrobisz, gdy już ją okiełznasz? Dawno temu znałem dzikiego kota, który uznał za swój szalas pod lasem. Za każdym razem, gdy ktoś próbował tam podejść, kot drapał i gryzł. Wziąłem sobie za punkt honoru oswoić to zwierzę. Zajęło mi to wiele tygodni, lecz w końcu kot zaczął jeść mi z ręki. Prawie pękałem z dumy. Jednak od tej chwili łąził za mną krok w krok. Ciągłe się o niego potykałem i w końcu stał się moim utrapieniem. Po kilku dniach odpędzałem go kopniakami i nienawidziłem za to, że nie jest już tym dzikim stworzeniem, które pokochałem, lecz zwykłym kotem jak wszystkie inne.

Miles wpatrywał się w Elizabeth.

– Może to rzeczywiście jest polowanie – odparł cicho. – A może jestem jak mój brat Raine, który nie może znieść nieposłuszeństwa. Wiem tylko, że Elizabeth Chatworth mnie fascynuje. Może i chciałbym, by jadła mi z ręki. Lecz gdy to się stanie, to pewnie dlatego, że będę już jej niewolnikiem. – Spojrzał na sir Guya. – Elizabeth polubi Kita, a on może tylko skorzystać na tej znajomości. Ja także chętnie spędzę z nim kilka dni. Wyślij ludzi.

Sir Guy skinął głową i się oddalił.

Niebawem siedzieli już w siodłach, gotowi do drogi. Miles nie starał się nawiązać rozmowy, jechał obok Elizabeth w milczeniu. Była bardzo blada, a przed południem zaczęła się chwiać w siodle i Miles poważnie zastanawiał się nad odwiezieniem jej do Rogera.

Pół godziny później nagle nabrała rumieńców. W czasie gdy Miles się nad nią użalał, zdołała niepostrzeżenie rozsypać linę łączącą ich konie. Spięta klacz, strzeliła końcem wodzy zady dwóch koni jadących przed nimi i wykorzystując zamieszanie, puściła się galopem. Odjechała dobry kawał drogi, zanim Miles zaprowadził porządek w konwoju i zwołał ludzi do pogoni.

– Złapię ją! – krzyknął przed ramię do sir Guya.

Miles wiedział, że klacz Elizabeth nie jest zbyt rącza, lecz dziewczyna wyciskała z niej wszystko co najlepsze. Prawie ją doganiał, gdy nagle puściła sprzączka i jego siodło zaczęło się zsuwać na bok.

– Niech ją cholera! – zaklął, doskonale wiedząc, kto poluzował sprzączkę. Zaśmiał się złowieszczo pod nosem.

Elizabeth Chartworth najwyraźniej nie miała dotąd do czynienia z najmłodszym z czterech braci. Miles potrafił sobie poradzić z poluzowanym siodłem. Przeskoczył nad łąką i usadowił się tuż pod końskim karkiem, zostawiając obsuwające się siodło za plecami.

Koń zwolnił nieco, bocząc się na dziwną pozycję, lecz Miles nad nim zapanował. Elizabeth chciała skryć się w polu kukurydzy, jednak dróżka, którą pędziła, skończyła się nagle, a Miles był tuż za nią.

Dopał ją przed polem i chwycił w pasie. Szarpała się wściekle i Miles zaczął się zsuwać z końskiego grzbietu. Spadł, wciąż trzymając ją w pół i obracając się w locie, by się nie potłukła. Spłoszone konie odbiegły kilka kroków i stanęły, dysząc ciężko.

– Puszczaj! – krzyknęła Elizabeth, rozciągnięta na torsie Milesa. Trzymał ją mocno.

– Kiedy udało ci się poluzować sprzączki? – Nie odpowiadała, więc ścisnął ją z całej siły.

– W czasie obiadu – stęknęła.

Na siłę przycisnął jej głowę do swego ramienia.

– Jesteś niebywale sprytna, Elizabeth. Jak ci się udało ominąć strażników? Jak zniknęłaś mi z oczu?

Szyję miał spoconą, a serce waliło mu mocno tuż przy jej policzku. Goniłwa ożywiła także Elizabeth. Była z niej bardzo zadowolona, mimo że nie zdołała uciec.

– Dzięki za tę przejażdżkę – roześmiał się Miles. – Ubawiłem się setnie, choć gdyby bracia nie robili mi już wcześniej takich żartów, pewnie nie wiedziałbym, jak sobie poradzić z siodłem. Oczywiście oni zwracali uwagę, na jakim koniu jadę, żebym nie złamał sobie karku. – Uniósł głowę, by spojrzeć jej w twarz. – Byłabyś pewnie szczęśliwa, gdybym się zabił?

– Ogromnie – uśmiechnęła się, czując na wargach jego oddech.

Miles roześmiał się głośno, pocałował ją przelotnie i podniósł się, marszcząc brwi na widok Elizabeth ocierającej usta wierzchem dłoni.

– Wstawaj – ponaglił, nie wyciągając ręki. – Niedaleko stąd jest gospoda, zatrzymamy się tam na noc.

Gdy wrócili, sir Guy obrzucił ją spojrzeniem pełnym podziwu. Zrozumiała, że będzie teraz bardziej uważny i raczej nie uda jej się więcej przechytrzyć jego

ludzi.

Zanim oporzędzono im konie, Elizabeth dostrzegła, że Miles skaleczył się w rękę. Nawet wiedziała, kiedy się to stało. Spadając z konia, podłożył dłoń, by nie uderzyła się o metalowe zapinki przy siodle. Sir Guy opatrzył mu rękę i mogli ruszać. Czują się dziwnie, wiedząc, że Montgomery ochronił ją przed bólem. Miles pochwycił jej wzrok.

– Jeden twój uśmiech, Elizabeth, i na pewno zagoi się szybciej.

– Mam nadzieję, że dostaniesz zakażenia i utną ci rękę – prychnęła i ruszyła w drogę.

Nie rozmawiali, dopóki nie dotarli do gospody. Tym razem stół dla Milesa i Elizabeth ustawiono w oddzielnej izbie.

– Opowiedz mi więcej o swojej rodzinie – poprosił.

– Nie – odparła po prostu, sięgając po ślimaki w czosnkowym sosie.

– W takim razie ja opowiem ci o swojej. Mam trzech starszych braci i...

– Wiem. Słyszałam o was aż nazbyt wiele.

Miles uniósł brew.

– Opowiesz mi, co słyszałaś?

– Z przyjemnością. – Odkroiła kawałek zapiekanki. – Najstarszy jest Gavin. Miał się ożenić z Alice Valence, ale porzucił ją dla bogatej Judith Revendoune, zawistnej wiedźmy. Wspólnymi siłami doprowadzili Alice, obecnie Chatworth, do szaleństwa.

– Znasz swoją bratową?

Elizabeth przez chwilę wpatrywała się w swój talerz.

– Na pewno nie zawsze była taka jak teraz.

– Urodziła się szalona i z wiekiem jest tylko coraz gorzej. To ona porzuciła Gavina. A co powiesz o Stephenie?

– Porwał i przymusił do ślubu kobietę, która chciała wyjść za mojego brata.

– A Raine?

– Niewiele o nim wiem, prócz tego, że jest dzielnym wojownikiem.

Oczy Milesa płonęły złowieszczo.

– Gdy twój brat zgwałcił moją siostrę i Mary rzuciła się z wieży, Raine poprowadził kilku rycerzy i chciał się zemścić na Rogerze. Król ogłosił go zdrajcą i wyjął spod prawa. Od tamtej pory mój brat mieszka w lesie z jakąś bandą. – Westchnął. – A ja?

– Ty jesteś lubieżnikiem i uwodzisz setki niewinnych dziewcząt.

– Pochlebiasz mi, Elizabeth. Pozwól, że powiem ci prawdę. Po śmierci rodziców szesnastoletni Gavin musiał wychować trzech krnąbrnych chłopaków i utrzymać wszystkie posiadłości. Nie miał czasu biegać za kobietami. Zakochał się w Alice Valence i wiele razy wysyłał do niej swatów, ale go odrzuciła. Ożenił się więc z Judith Revendoune i po jakimś czasie pokochał ją całym sercem. Alice

napadła na Judith i chciała ją oblać wrzącym olejem, ale niechcący oblała sama siebie.

– Kłamiesz bez przerwy – stwierdziła spokojnie Elizabeth.

– Nie kłamię. Stephen to nasz rodzinny rozjemca i są bardzo blisko z Gavinem. – Raine... – Miles uśmiechnął się. – Raine jest przekonany, że dźwiga na barkach cały świat. To dobry chłopak, ale okrutnie uparty.

– A ty? – zapytała cicho.

Zastanawiał się długo.

– Ja jestem samotny. Moi bracia doskonale wiedzą, czego chcą. Gavin kocha ziemię, Stephen chce nawracać Szkotów, Raine chce zmienić świat, ale ja...

Spojrzała mu w oczy. Przez chwilę porozumiewali się bez słów. Ona także czuła się samotna. Edmund był potworem, Roger wiecznie wściekły, ona zaś żyła w ciągłym strachu, uciekając przed Edmundem i jego znajomymi i starając się ochronić Briana. Miles wziął ją za rękę. Nie wyrwała się.

– Oboje musieliśmy za szybko dorosnąć. Pamiętasz w ogóle, jak to jest być dzieckiem?

– Aż za dobrze – odparła beznamiętnie i zabrała dłoń.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

– Twój dom rodzinny... – zaczęła Elizabeth, patrząc w bok. – Byliście szczęśliwą rodziną?

– Bardzo. – Uśmiechnął się. – Mieszkaliśmy z dala od siebie, lecz mimo to spędzaliśmy razem mnóstwo czasu. Niełatwo jest być najmłodszym synem. Zawsze traktują cię jak dziecko. A ty? Byłaś szczęśliwa?

– Nie. Myślałam tylko o tym, jak się ukryć przed wzrokiem Edmunda. Nie miałam czasu na takie głupoty. Położę się już.

Miles zaprowadził ją do sypialni. Obok łóżka, pod ścianą, ułożono siennik.

– Ach, jakże bosko! Nigdy więcej spania na parapecie! – wykrzyknął Miles, lecz Elizabeth nawet się nie uśmiechnęła. Ujął ją za rękę. – Kiedy wreszcie mi zaufasz? Nie jestem taki jak Edmund czy Pagnell, czy którykolwiek z odrażających typów, jakich miałaś nieszczęście poznać.

– Więzisz mnie. Czy tak wspaniali i dobrzy mężczyźni jak ty uważają, że porywanie kobiet to czyn godny pieśni?

Pocałował jej dłoń.

– Co byś zrobiła, gdybym cię oddał bratu? Czekałabyś grzecznie, aż Roger znajdzie ci męża i wyszłabyś za niego, roniąc łzy szczęścia?

Elizabeth wyrwała mu dłoń.

– Roger obiecał mi, że nigdy nie będę musiała wyjść za mąż. Rozważam wstąpienie do klasztoru.

Miles spojrzał na nią ze zgrozą. Zanim zdążyła zaprotestować, chwycił ją w ramiona i zaczął kołysać jak dziecko.

– Masz serce pełne miłości, Elizabeth! Jak możesz chcieć to ukryć przed światem? Nie chciałybyś mieć dzieci, tulić ich, patrzeć, jak rosną? Nie ma nic piękniejszego niż dziecko patrzące na ciebie z uwielbieniem i zaufaniem.

Podniosła głowę. Zaczynała się powoli przyzwyczajać do jego uścisków.

– Nigdy wcześniej nie poznałam mężczyzny, który kochałby dzieci. Wszyscy, których znałam, chcieli tylko bić się, pić i gwałcić.

– Muszę przyznać, że ja również lubię stanąć do uczciwej walki i zdarzało mi się wypić więcej, niż powinienem, ale w łóżku lubię chętnie kobiety. Pomogę ci zdjąć suknię.

Odskoczyła od niego ze zgrozą.

– Będę spał samotnie na twardym, zimnym sienniku, więc możesz się przestać wygłupiać. Na pewno masz już dość tej sukni. Będzie ci wygodniej bez niej.

– Będzie mi wygodniej w niej, dziękuję bardzo.

– W porządku – ustąpił nagle, odwrócił się i zaczął rozbierać. Elizabeth wskoczyła pod kołdrę i zakryła się razem z głową.

Świeca powoli się dopalała. Miles w samej koszuli pochylił się nad Elizabeth i zdjął kołdrę z jej twarzy. Usiadł na brzegu łóżka i przez długą chwilę głaskał włosy dziewczyny.

– Dobranoc, Elizabeth – szepnął i złożył delikatny pocałunek na jej wargach.

Wyjęła dłoń spod kołdry, żeby się wytrzeć, lecz Miles chwycił ją za nadgarstek.

– Co musiałyby się wydarzyć, byś pokochała mężczyznę? – zapytał cicho.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek będę potrafiła – odparła szczerze. – Przynajmniej w taki sposób, o jakim myślisz.

– Mam wielką pokusę, by się o tym przekonać. Dobranoc, mój aniele.

Nie zdążyła zaprotestować. Pocałował ją znowu i wstał z łóżka. Przynajmniej tym razem mogła wytrzeć usta.

## Rozdział piąty

Po dwóch dniach podróży dotarli do szkockiej granicy. Jednej nocy Elizabeth ponownie próbowała uciec, lecz Miles schwycił ją, zanim dotarła do drzwi, i zaprowadził z powrotem do łóżka.

Leżała jeszcze długo w nocy, rozmyślając o tym, że jest jego więźniem, lecz wcale nie czuje się uwięziona. Nigdy wcześniej nikt nie traktował jej tak dobrze. Choć dotykał jej przy każdej okazji, zaczynała się nawet do tego przyzwyczajać. Nie była to żadna przyjemność, lecz z drugiej strony nie czuła już takiej odrazy jak na początku. Przy jednej gospodzie jakiś pijany łajdak ruszył na nią z rechetem i Elizabeth odruchowo przytuliła się do Milesa, szukając obrony. Prawie pękł z dumy i samouwielbienia.

Tego dnia o poranku oznajmił z uśmiechem, że w Szkocji nie ma tylu oberży, więc w dalszej podróży będą sypiali w namiotach. Ostrzegł też, że kiedy przejadą przez góry, będą musieli zachować ostrożność. Szkoci nie pałali wielką miłością do Anglików.

W czasie kolacji Miles kilka razy szeptał z sir Guyem i zdawał się czymś bardzo zaabsorbowany.

– Czy Szkoci rzeczywiście są tak krwiożerczy? – zapytała Elizabeth, gdy po raz kolejny wstał od stołu.

Miles popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Jestem tu z kimś umówiony, ale się spóźnia. Nie wiem dlaczego.

– Czy to jeden z twoich braci? A może kobieta?

– Ani jedno, ani drugie – odparł prędko.

Elizabeth nie pytała więcej. Wśliznęła się do łóżka wciąż w tej samej sukni i położyła na boku, by widzieć kątem oka siennik Milesa. Bez ustanku kręcił się i przewracał z boku na bok. Gdy ktoś głośno zastukał do drzwi, oboje błyskawicznie wyskoczyli z pościeli. Sir Guy wprowadził małego chłopca.

– Kit! – wykrzyknął Miles, chwytając syna w objęcia. Chłopiec przywarł do niego, ściskając rączkami umięśniony kark ojca. – Dlaczego jechali tak długo? – Miles zwrócił się do starego rycerza.

– Złapała ich potężna burza. Stracili trzy konie.

– Żadnych strat w ludziach?

– Wszyscy przeżyli, jednak potrzebowali czasu, by znaleźć konie. Panicz Kit bez trudu utrzymał się w siodle, a dwóch moich rycerzy nie dało rady – zauważył z dumą sir Guy.

– Naprawdę? – zapytał Miles, obracając chłopca dookoła.

Elizabeth dostrzegła, że jest on wierną kopią Milesa, z wyjątkiem oczu, które

miał ciemnobrązowe. Śliczny chłopczyk.

– Tak, tato – odparł Kit. – Wujek Gavin powiada, że rycerz zawsze zostaje na koniu. Potem pomagałem im wyciągać bagaże z wody.

– Grzeczny z ciebie chłopiec. – Miles wyszczerzył się w uśmiechu, chwytając go znów w objęcia. Spojrzał na sir Guya. – Proszę, dopilnuj, by ludzie porządnie się najedli. Wyruszamy o świcie.

Kit uśmiechnął się do rycerza i zwrócił oczy na Elizabeth.

– Kto to, tato? – zapytał głośnym szeptem.

Miles postawił go na podłodze.

– Lady Elizabeth – rzekł uroczyście – pozwól, że przedstawię ci mego syna. Oto Christopher Gavin Montgomery.

– Jak się masz? – zapytała z uśmiechem, ściskając drobną rączkę. – Jestem lady Elizabeth Chatworth.

– Jesteś bardzo piękna! – westchnął chłopiec. – Tata lubi piękne kobiety.

– Kit... – zaczął Miles, lecz Elizabeth mu przerwała:

– Ty także lubisz piękne kobiety? – zapytała.

– Och, tak! Moja niania jest bardzo, bardzo piękna.

– Bez wątpienia taka jest, skoro twój tata ją zatrudniał. Jesteś głodny? Zmęczony?

– Zjadłem pełną sakiewkę suszonych śliwek – oświadczył z dumą chłopiec.

– Och, tato! Mam dla ciebie wiadomość! Od jakiegoś Simona.

Grymas przebiegł twarz Milesa, lecz w miarę czytania liściku uśmiech rozjaśnił mu oczy.

– Dobre wieści? – zapytała Elizabeth, nie kryjąc ciekawości.

Miles spoważniał, rzucając liścik na skotłowaną pościel.

– Tak i nie. Kuzynka urodziła mi córkę, a wujek Simon grozi, że mnie zabije.

Elizabeth nie wiedziała, czy się śmiać, czy z niesmakiem potrząsać głową.

– Masz siostrzyczkę, Kit – powiedziała w końcu.

– Mam już dwóch braci. Nie chcę siostry.

– Obawiam się, że twój tata o tym decyduje. Już późno. Czas spać.

– Kit może spać na sienniku, a ja... – zaczął Miles z uśmiechem.

– Kit będzie spał ze mną – ucięła Elizabeth, biorąc chłopca za rękę.

Skwapliwie ruszył za nią, ziewając rozdzierająco. Miles uśmiechnął się pod nosem, obserwując, jak dziewczyna rozbiera delikatnie śpiące dziecko i kładzie w pościeli. Sama od razu położyła się obok Kita i przyciągnęła go do siebie. Miles napawał się tym widokiem przez długą chwilę. Wreszcie pochylił się i ucałował oba gładkie czoła.

– Dobranoc, aniele – szepnęła.

\* \* \*



Następnego dnia Elizabeth i Kit byli już nierozłączni. Chłopiec Ignął do niej, jak gdyby znał ją od urodzenia, a Elizabeth skupiła na nim całą uwagę.

– Zawsze uwielbiałam dzieci – oświadczyła zdumionemu Milesowi – a one to czują.

Kit nie odstępował jej na krok. Po obiedzie jechał z nią na koniu i zasnął w jej ramionach. Gdy Miles chciał zabrać chłopca, by nie było jej zbyt ciężko, prychnęła tylko.

Wieczorem zwinęli się razem na wąskiej ławie i zasnęli z uśmiechami na twarzach. Patrząc na nich, Miles czuł się jak odludek.

Podróżowali kolejne trzy dni i Elizabeth domyślała się, że muszą być już blisko ziemi MacArranów. Miles jechał głęboko zadumany i dwa razy dostrzegła, jak kłócił się z sir Guyem. Twarz starego rycerza wykrzywiła się w grymasie. Najwyraźniej Miles planował coś wyjątkowo szalonego. Niestety, nie udało jej się niczego podsłuchać.

W południe Miles zatrzymał konwój i zaprosił Elizabeth z Kitem na obiad. Zwykle jadali wszyscy razem.

– Wydajesz się niezwykle z siebie zadowolony – zauważyła Elizabeth.

– Jeszcze tylko jeden dzień jazdy i znajdziemy się na ziemi mego brata i jego żony – odparł radośnie Miles, zdejmując Kita z siodła Elizabeth.

– Wujek Stephen chodzi w spódnicy, a lady Bronwyn jeździ konno prędko jak wiatr – poinformował Kit.

– Stephen nosi kilt – poprawił Miles, zdejmując Elizabeth z konia. Przestał już zwracać uwagę na jej próby odpychania jego rąk. – Kucharz przygotował dla nas stół w lesie.

Kit wziął ich oboje za ręce i ruszyli w stronę lasu.

– Jak ci się podoba w Szkocji? – zapytał Miles, pomagając Elizabeth przeskoczyć zwalony pień.

– Niesamowity kraj. Jak gdyby niedotknięty stopą człowieka. Surowy i... nieokrzesany.

– Zupełnie jak jego mieszkańcy – roześmiał się Miles. – Mój brat ma włosy do ramion, a jego strój... Nie, nic nie powiem. Sama zobaczysz.

– Nie oddalamy się nazbyt od twojej kompanii? – Dziewiczy las zamknął się wokół nich jak namiot. Poszycie było tak gęste, że utrudniało spacer.

Miles zdjął z pleców bojowy topór i zaczął wycinać im ścieżkę w gąszczu. Elizabeth spojrzała na niego ze zdumieniem. Dopiero w tej chwili zauważyła, że ma na sobie ciemnozielone ubranie i brązową pelerynę z kapturem oraz jest w pełni uzbrojony. Na ramieniu miał kołczan pełen strzał i długi łuk, na plecach topór, a przy biodrze miecz i sztylet.

– Coś nam grozi, prawda?

– Owszem – odparł, rozglądając się dyskretnie. – Prawdę mówiąc, Elizabeth, otrzymałem wezwanie, by się tu z kimś spotkać, ale chyba zaszliśmy za daleko w gąszcz.

Uniosła brew.

– Ryzykujesz życiem syna dla sekretnej spotkania?

Wsunął topór w pętlę.

– Moi ludzie nas strzegą, są tuż obok. Wołałem, żebyście byli ze mną niż z kimkolwiek innym.

– Tato, patrz! – odezwał się Kit. – Jeleń!

– Chodźmy go obejrzyć – powiedziała łagodnie Elizabeth. – Idź przodem, dogonimy cię. – Patrząc wciąż na Kita, zwróciła się do Milesa: – Zostanę z nim, a ty idź po rycerzy. Czuję, że to zasadzka. Ktoś celowo nas rozdzielił.

Miles spojrzał na nią zaskoczony. Nigdy dotąd nie rozkazywała mu kobieta. Jednak po chwili zniknął w zaroślach, a Elizabeth pobiegła za chłopcem. Zdawało jej się, że minęły wieki, odkąd Miles się od nich odłączył. Nerwowo gniotła brzeg sukni w dłoniach.

– Coś się stało, Elizabeth? – zapytał Kit, chwytając ją za rękę.

Uklękła i spojrzała mu w oczy.

– Zastanawiam się tylko, gdzie twój tata.

– Zaraz wróci – pocieszył ją chłopiec. – Tata nas przed wszystkim obroni.

Elizabeth obdarzyła go wymuszonym uśmiechem.

– Na pewno masz rację. Słyszę szemrzenie strumienia. Spróbujemy go znaleźć?

Walcząc z zaroślami, zdołali dotrzeć do strumienia. Była to dzika, spieniona struga, pluszcząca głośno na kamieniach i pryskająca wodą.

– Zimna! – pisnął Kit, odskakując gwałtownie. – Myślisz, że są tu ryby?

– Pstrągi mogą być – stwierdził Miles, podchodząc bezszelestnie. Elizabeth podskoczyła i chwyciła się za serce. Miles położył jej dłonie na ramionach. – Nie chciałem cię przestraszyć.

Odsunęła się.

– Gdzie rycerze?

Miles rzucił okiem na Kita. Chłopiec wrzucał do wody patyczki i z zainteresowaniem obserwował, jak odpływają.

– Zniknęli. Nie ma po nich śladu. Nie wpadniesz w panikę, prawda?

Spojrzała mu w oczy. Była w dziewiczym lesie, w nieznanym kraju, z dzieckiem i mężczyzną, któremu nie ufała. Przez chwilę myślała, że zemdleje z przerażenia.

– Nie – odparła wreszcie z całą mocą, na jaką była w stanie się zdobyć. – Nie chcę przestraszyć Kita.

– To świetnie. – Miles z uśmiechem ucisnął jej dłonie. – Jesteśmy przy

południowych krańcach ziemi MacArranów. Jeśli będziemy się kierowali na północ, jutro wieczorem powinniśmy dotrzeć do jakiejś wioski.

– Ale ktoś pewnie zaatakował twoich ludzi...

– Teraz martwię się tylko o ciebie i syna. Jeśli zostaniemy w lesie, być może nikt nas nie zauważy. Nie mam nic przeciwko walce, lecz nie chcę, by ktoś was skrzywdził. Pomożesz mi? Mogę na ciebie liczyć?

Nie zabrała ręki.

– Tak – odpowiedziała miękko. – Pomogę ci.

Pocałował jej dłoń.

– W tych górach jest chłodno nawet latem. Owiń się tym. – Wręczył jej spory wełniany pled w zielono-niebieską kratę.

– Skąd to masz?

– Jedynie to zostało po posiłku, jaki przygotował mój kucharz. Jedzenie zniknęło, ale pled Bronwyn został na trawie. Przyda nam się w nocy.

Elizabeth narzuciła tkaninę na ramiona. Trzymając się za ręce, podeszli do Kita.

– Synu, powędrujesz z nami do domu wujka Stephena? – zapytał Miles.

Kit spojrział na niego z przyganą.

– A gdzie sir Guy? Rycerze nie chodzą piechotą.

– Rycerze robią wszystko, by chronić swoje damy.

Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Kit miał dopiero cztery lata, lecz od urodzenia wychowywany był w rycerskim duchu. Na drugie urodziny dostał drewniany miecz i całymi dniami słuchał opowieści o dzielnych, prawych, szlachetnych rycerzach. Wziął Elizabeth za drugą rękę.

– Staniemy w twojej obronie, lady Elizabeth – oświadczył z powagą i pocałował ją w rękę.

Miles z dumą poklepał go po ramieniu.

– A teraz ruszaj! Trzeba coś przekąsić.

– Dobrze, tato. – Chłopiec błysnął zębami w uśmiechu i pomknął jak strzała wzdłuż potoku.

– Nie powinniśmy go lepiej pilnować?

– Kit ma doskonały instynkt. Upilnuje się sam.

– Nie wyglądasz na zmartwionego stratą ludzi. Znalazłeś ślady walki?

– Żadnych. – Najwyraźniej nie chciał o tym myśleć. Zerwał żółty kwiatek i wsunął jej za ucho. – Wyglądasz, jakbyś mieszkała w tej głuszy. Z tymi rozpuszczonymi włosami i podartą suknią spiętą diamentami. Chętnie obsypałbym cię diamentami, Elizabeth.

– Wolalabym wolność.

Odsunął się o krok.

– Nie jesteś już moim więźniem, Elizabeth Chatworth – oznajmił. – Możesz

teraz odejść z mojego życia na zawsze.

Rozejrzała się po kniei.

– Bardzo śmieszne, Montgomery.

– Rozumiem, że postanowiłaś jednak zostać ze mną – uznał, patrząc na nią roziskrzonym wzrokiem. Nagle porwał ją w ramiona, obrócił dwa razy i pocałował w policzek.

– Puszczaj – pisnęła, lecz w kącikach jej ust igrał uśmiech.

Połaskotał ją w ucho.

– Gdybyś tylko zechciała, leżałbym z pokorą u twych stóp – szepnął.

– Związany i zakneblowany! – westchnęła z udawaną tęsknotą i szybko go odepchnęła. – Planujesz coś upolować czy nosisz ten łuk tylko dla ozdoby?

– Tato! – krzyknął Kit. – Królik!

– Nadchodzi jego zagłada – roześmiał się Miles, chwytając chłopca w ramiona.

Elizabeth zachichotała wesoło. Miles spojrział na nią ze zgrozą. Odwróciła się plecami.

– Gdzież ten królik, Kit? Twój dzielny ojciec stawi mu czoło i będziemy mieli kolację, a może nawet obiad!

Przez kolejne godziny nie dostrzegli więcej królików, a Miles zdawał się zajęty wyłącznie głaskaniem palców Elizabeth. Słońce zaczęło już zachodzić albo las stał się tak gęsty, że nie przepuszczał już światła.

– Zatrzymamy się tu na noc. Kit, idź i nazbieraj chrustu. – Dzieciak zniknął w krzakach, a Miles spojrział Elizabeth w oczy. – Nie pozwól mu się za bardzo oddalić, dobrze? Upoluję coś na kolację.

Gdy tylko zniknął im z oczu, Elizabeth miała wrażenie, że las zacieśnia się wokół niej groźnie. Znalazłszy Kita, zaczęła z nim zbierać suche gałązki. Wcześniej tego nie zauważyła, lecz teraz nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że ktoś ich cały czas obserwuje. W domu rodzinnym wypracowała sobie rodzaj szóstego zmysłu, pozwalający jej uciekać latami przed lubieżnymi zakusami znajomych jej braci.

– Boisz się, Elizabeth? – zapytał Kit.

– Ani trochę. – Uśmiechnęła się na siłę. Jej pamięć zaczęła przywracać wszystkie straszliwe historie o krwiożerczych Szkotach torturujących małeńkie dzieci.

– Tatusz cię ochroni – stwierdził Kit. – Został pasowany, gdy był jeszcze chłopcem. Wujek Raine mówi, że tatuś jest jednym z najlepszych rycerzy w całej Anglii. Nie pozwoli cię nikomu skrzywdzić.

Elizabeth przytuliła chłopca.

– Twój tatuś to w istocie wspaniały wojownik. Kilka dni temu napadło na mnie trzech drabów. Twój tata rozsiekał ich w kilka minut, a sam nawet nie został

draśnięty. – Kit wyprężył się dumnie, lecz w jego oczach widziała lęk. – Myślę, że umiałby pokonać wszystkich szkockich najeźdźców. Nie ma nikogo, kto jest równie silny i dzielny jak on.

Usłyszała cichy śmiech. Miles stał nieopodal, trzymając za uszy dwa króliki.

– Dziękuję za uznanie, lady Elizabeth.

– Elizabeth się bała – doniósł z miejsca Kit.

– Na szczęście dodałeś jej otuchy. Musimy dbać o nasze kobiety. Pocięsz je, chronić i kochać. Czy umie pani oprawiać króliki, lady Elizabeth?

Podniosła się z klęczek i zadarła nos.

– Przekona się pan, lordzie Montgomery, że kobiety Chatworthów nie są paniusiami siedzącymi na satynowych poduszczykach i czekającymi, aż służba poda im posiłek.

– Doskonale opisałaś żony Stephena i Gavina – roześmiał się Miles. – Chodź tu, Kit. Zobaczmy, czy mężczyźni Montgomerych mogą się na coś przydać.

W niedługim czasie Miles i Kit rozpalili ognisko, a Elizabeth oprawiła i poćwiartowała królika. Miles nadział kawałki mięsa na patyki, które Kit obracał z wielką zręcznością.

– Jak możesz być taki spokojny? – dziwiła się Elizabeth. – Jesteśmy sami, bezbronni w obcym kraju, a ty rozpalasz ogień? Widać nas teraz z daleka.

Pociągnął ją za spódnice, żeby usiadła.

– Ta ziemia należy do mego brata i jego żony. Jeśli znajdą nas ludzie z klanu MacArranów, pewnie rozpoznają lamparty na mojej pelerynie. Szkoci nie zabijają kobiet i dzieci bez powodu. Odwiożą was do Stephena i będziesz musiała wyjaśnić mu, kim jesteś.

– Ale co się stało z twoimi ludźmi?

– Zniknęli bez śladów walki. Zakładam, że zostali odeskortowani do Larenston, rodzinnego zamku Bronwyn. Teraz martwię się wyłącznie o bezpieczeństwo twoje i Kita. Kiedy dotrzemy do Larenston i sir Guya tam nie będzie, zacznę się o niego martwić. Kit! Królik się przypala!

Miles przysunął się do niej.

– Nie zadręczaj się, Elizabeth. Przeczesałem całą okolicę i nikogo nie spotkałem. Zmarzłaś – zauważył, gdy zadrzała. Podniósł z ziemi pled i siadając tuż przy Elizabeth, okrył oboje. – Nie szarp się. To tylko dla rozgrzania.

– Już kiedyś to słyszałam! – warknęła. – Rozgrzani mężczyźni nie wróżą nic dobrego. Podoba ci się takie powolne przymuszanie mnie?

– Nie podobają mi się twoje sugestie, że niczym nie różnię się od obleśnych przyjaciół twoich braci – odwarknął.

Elizabeth przestała się szamotać.

– Być może życie z Edmundem rzeczywiście trochę mnie spaczyło. Nie znoszę obmacywania.

– Zdążyłem to sobie przyswoić. Jeśli jednak mamy przeżyć tę noc, będziemy musieli ogrzewać się nawzajem. – Kit, poproszę udka. Wygląda na dopieczone.

W środku mięso było niemal surowe, a z wierzchu przypalone, ale byli tak głodni, że nie zwracali uwagi na szczegóły.

– Pyszne, tato – uśmiechnął się Kit. – Podobają mi się w lesie.

– Zrobiło się okropnie zimno – zaszczękała zębami Elizabeth. – Skoro tak wygląda tu lato, to co się dzieje zimą?

– Bronwyn uważa Anglię za ciepłe kraje. Zimą owija się takim pledem i śpi w śniegu.

– Nie! – Elizabeth wzdrygnęła się z zimna. – Barbarzyństwo!

Miles z uśmiechem spojrział na Kita. Chłopcu zaczęły się zamykać oczy.

– Chodź, przytul się do mnie – powiedziała Elizabeth i Kit posłusznie wpełzł pod pled.

Miles rozścielił na poszyciu pelerynę, położył na niej Kita i Elizabeth i przykrył ich starannie. Dorzucił drewno do ogniska, rozejrzał się uważnie i odchyliwszy brzeg pledu, ułożył się obok Kita.

– Chyba nie uważasz... – zaczęła Elizabeth, lecz urwała. Naprawdę nie miałyby gdzie spać. Ciepłe ciało śpiącego Kita rozgrzało ich oboje. Elizabeth wiedziała, że Miles leży niebezpiecznie blisko niej, jednak tej nocy jego obecność nie była zagrożeniem. Uspokajała się.

Elizabeth wsparła się na łokciu i zapatrzyła w ogień.

– Opowiesz mi o mamie Kita? – zapytała cicho. – Zakochała się w tobie od pierwszego wejrzenia?

Miles wybuchnął śmiechem.

– Gdy nas sobie przedstawiono, Margaret Sidney zadarła swój śliczny nos i nie odezwała się do mnie ani słowem. Ze wszystkich sił starałem się jej zaimponować. Pewnego dnia, gdy przyniosła ojcu wodę na plac, tak się na nią zagapiłem, że Raine dźgnął mnie lancą pod zebro. Wciąż mam bliznę.

– Wydawało mi się...

– Wydawało ci się, że zaprzedałem duszę diabłu w zamian za władzę nad kobietami.

– Słyszałam takie plotki – odparła cicho, odwracając wzrok.

Miles ujął jej dłoń i pocałował smukłe palce.

– Diabeł nie składał mi żadnych propozycji. Jeśli się pofatyguję, przemyślę to.

– Ty bluźnierco! – zachłysnęła się Elizabeth, wyszarpując dłoń. – Wreszcie jednak Margaret Sidney zmieniła zdanie – stwierdziła po chwili.

– Miała szesnaście lat, była niewyobrażalnie piękna i zakochana w Gavinie. Nie chciała mieć ze mną do czynienia.

– Więc jak to się stało?

– Cierpliwie nalegałem. – Miles wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.  
– I co zrobiłeś, kiedy już ją dostałeś? – zapytała Elizabeth ponurym głosem.  
– Oświadczyłem się – odparł sucho. – Już ci mówiłem, że ją kochałem.  
– Nie podchodzisz poważnie do miłości, Montgomery. Dlaczego nie ożeniłeś się z Bridget albo z tą kuzynką, która powiła ci córeczkę?

Milczał przez chwilę.

– Kochałem dotąd tylko jedną kobietę. Kochałem się z wieloma. Tylko matkę Kita poprosiłem o rękę i jeśli zrobię to kiedyś ponownie, to tylko z miłości.

– Naprawdę żal mi tej dziewczyny – westchnęła Elizabeth. – Będzie musiała się opiekować wszystkimi twoimi bękartami. Dwójką czy trójką każdego roku.

– Nie widzę, byś brzydziła się leżącym tu dzieckiem, a brudną i obszarpaną dziewczynkę z gospody też wzięłaś na ręce.

– Jednak, na szczęście, ja nie jestem twoją żoną.

Miles mruknął.

– Gdybyś była moją żoną, nie chciałabyś, bym co kilka miesięcy zwoził do domu kolejne dzieci?

– Nie winiłabym cię za dzieci, które już masz. Jednak gdybym wyszła za mąż, czego bynajmniej nie planuję, a mąż upokarzałby mnie, zapładniając każdą napotkaną dziewczynkę służebną, nie pożyłby długo.

– Uczciwie powiedziane – uznał Miles z rozbawieniem.

Wyciągnął ramiona i zagarnął ku sobie Kita i Elizabeth.

– Dobranoc, aniele – szepnął i zasnął.

*Rozdział  
szósty*

Milesa obudziła pięta Kita boleśnie wbijająca się pomiędzy żebra, gdy chłopiec gramolił się nad ojcem.

– Ciiiicho, tato – szepnął głośno dzieciak Milesowi do ucha. – Nie obudź Elizabeth.

Wypełzył spod narzuty i pobiegł w las. Miles patrzył za synem, rozcierając żebra.

– Boli? – roześmiała się Elizabeth.

Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Włosy miała w nieładzie, a twarz wygładzoną od snu. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo kontrolowała każdy gest, każdą minę. Ostrożnie, z uśmiechem, pogłaskał ją po policzku.

Nie odsunęła się. Serce Milesa na chwilę przestało bić. Miał wrażenie, że dziewczyna jest dzikim zwierzęciem, które zamierzał oswoić. Musiał postępować bardzo ostrożnie, żeby jej nie przestraszyć.

Elizabeth patrzyła na niego spod wpół przymkniętych powiek. Czowała delikatny dotyk, lecz nie budziło w niej to odrazy. Oczy miał łagodne, a wargi pełne i miękkie. Nigdy wcześniej nie pozwoliła się dotykać ani nie zastanawiała, jak smakują pieszczoty. Teraz jednak, leżąc na leśnym poszyciu, tuż przy jego ciele i patrząc mu w oczy, zastanawiała się, jak by to było, dotknąć Milesa Montgomery'ego. Policzki zaczynały mu ciemnieć od zarostu, podkreślając ostre kontury twarzy. Ciemny pukiel włosów muskał mu ucho.

Jakby czytając w jej myślach, Miles ujął jej dłoń i położył na swoim policzku. Nie ruszała się przez chwilę, choć serce trzepotało się w jej piersi niczym uwięziony ptak. Jakby robiła coś zakazanego. Po długiej chwili przesunęła palce, by dotknąć jego włosów. Były lśniące i miękkie. Przez moment miała absurdalną chęć sprawdzić, jak pachną.

Spojrzała w oczy Milesa i wyczuła, że chce ją pocałować. Wiedziała, że powinna go odepchnąć, ale nawet nie drgnęła.

Pochylał się ku niej powoli, dając jej do zrozumienia, że może się wycofać, że ma czas go powstrzymać. Gdy dotknął wargami jej ust, nie zamknęła oczu. Miles nie napierał na nią, nie starał się na siłę rozchyłać jej warg, trzymał ręce przy sobie i nie zgniatał jej swoim ciałem, jak to czynili inni. Nie wiedziała, że może istnieć tak delikatny, przyjemny pocałunek.

Odsunął się pierwszy, a jego oczy płonęły takim blaskiem, że Elizabeth aż się skurczyła. Teraz! Teraz ją zaatakuj.

– Ciiiicho – szepnął. – Nikt cię nigdy więcej nie skrzywdzi, moja Elizabeth.

– Tato! – wrzasnął Kit, i czar przysł.



– Tym razem chyba zobaczył jednorożca – westchnął Miles i wstał z ociąganiem. Elizabeth nagrodziła go uśmiechem.

Podnosząc się, syknęła i chwyciła się za ramię. Nie była przyzwyczajona do spania na ziemi. Miles szybko rozmasował jej ramiona, jakby był to najbardziej naturalny w świecie gest.

– Co tam masz, Kit?! – zawołał ponad jej głową.

– Ścieżkę! Mogę nią pójść?

– Zaczekaj na nas! Już lepiej? – zapytał Elizabeth. Pokiwała głową. Miles pocałował ją w szyję i zaczął prędko zbierać ich rzeczy.

– Zawsze jesteś taki swobodny wobec kobiet? – zapytała z ciekawością. – Gdy kogoś odwiedzasz, całujesz wszystkie dookoła?

Miles dokładnie zasypał żar wczorajszego ogniska.

– Potrafię się zachowywać kulturalnie, kiedy trzeba, i zwykle ograniczam się do całowania rąbek. A przynajmniej w towarzystwie. – Spojrzał na nią z uśmiechem. – Lecz przy tobie, słodka Elizabeth, już od pierwszego... spotkania zapominam o dobrych manierach. Mam głębokie przekonanie, że jesteś darem niebios. Darem niebywale cennym i zesłanym specjalnie dla mnie na wieki wieków.

Elizabeth była zbyt zaskoczona, by cokolwiek odpowiedzieć. Miles bezceremonialnie chwycił ją za rękę i pociągnął ku Kitowi. Dzieciak podskakiwał niecierpliwie w miejscu.

– Zobaczmy, dokąd zawiedzie nas ta ścieżka.

Kit ruszył przodem.

– Jak ci się podoba mój syn?

Elizabeth się uśmiechnęła. Kit kucnął, by się przyjrzeć dziwnemu grzybowi, po chwili wyprostował się i pomknął jak strzała.

– Jest bardzo niezależny, mądry i dojrzały nad swój wiek. Musisz być z niego bardzo dumny.

Miles wyprężył pierś.

– W domu mam jeszcze dwóch takich. Philip Stephen odziedziczył po matce egzotyczną urodę, a charakterek ma taki, że jego niania wciąż drży z trwogi. Ma dopiero rok.

– A trzeci? Syn Bridget?

– James Raine to przeciwieństwo Philipa. Spędzają razem całe dnie i wydaje mi się, że tak już zostanie. James oddaje Philipowi wszystkie zabawki, a Philip domaga się kolejnych – zachichotał. – James nie dzieli się tylko swoją nianią. Wrzeszczy, kiedy próbuję jej dotknąć.

– Biedak, ileż musi się nawrzeszczać – prychnęła Elizabeth.

– W dzień jest cichutki jak myszka – roześmiał się Miles. Objął ją ramieniem. – Na szczęście wcześniej chodzi spać.

Odepchnęła go ze śmiechem.

– Tato! – Kit podbiegł do nich w podskokach. – Zobacz! Spalony dom!

Na polance stały zwęglone szczątki chaty. Dach całkiem się zapadł, tylko jeden narożnik domu jakoś się trzymał. Ciężkie, osmalone belki zwieszały się ku ziemi.

– Stój, Kit. Sam to sprawdzę.

Elizabeth i Kit stali, trzymając się za ręce, podczas gdy Miles chwycił jedną belkę za drugą i uwiesił się na nich całym ciężarem. Poza kilkoma płatomy sadzy nic nie spadło. Belki wciąż trzymały się mocno.

– Wygląda na bezpieczny – stwierdził Miles, i Kit jak strzała pomknął do wnętrza.

Miles wziął Elizabeth za rękę.

– Wejźmy na ten pagórek. Jeśli mnie oczy nie mylą, rosną tam jabłonie.

Na szczycie znaleźli niewielki sad. Poskręcane i uschłe jabłunki nie rodziły już owoców, jednak na największej dostrzegli kilka niewielkich, pomarszczonych jabłek. Elizabeth wyciągnęła dłoń, a Miles chwycił ją w tali i podsadził wyżej. Złapała jabłko. Miles powoli opuszczał ją w dół, napawając się gibkością jej ciała. Jej wargi znalazły się właśnie na wysokości jego ust, gdy rozległ się głośny okrzyk Kita.

– Tato! Zobacz, co znalazłem!

– Co takiego? – Elizabeth odwróciła głowę z uśmiechem.

Miles westchnął teatralnie i postawił ją na ziemi.

– Huśtawkę! – wrzasnął Kit.

– Oczywiście – jęknął Miles. Ujął dłoń Elizabeth i kilka razy pociągnął za linę. – Zobaczymy, jak wysoko potrafisz się bujać.

Odsunęli się kilka kroków. Kit z całych sił machał nogami, bujając się tak mocno, aż stopami trącał gałęzie.

– Zaraz spadnie – szepnęła Elizabeth z trwogą, lecz Miles przytrzymał ją za ramię.

– Pokaż Elizabeth, co potrafisz, Kit.

Elizabeth wstrzymała oddech. Kit zręcznie wstał i bujał się wciąż bardzo wysoko na stojąco.

– Teraz! – krzyknął Miles i rozpostarł ramiona.

Chwyciła się za serce, gdy chłopiec zeskoczył z huśtawki i poleciał prosto w ramiona ojca. Pisał radośnie, chwytając go za szyję. Elizabeth poczuła, że uginają jej się kolana. Miles postawił Kita na ziemi i podtrzymał ją.

– Elizabeth, wszystko w porządku? To tylko nasza rodzinna zabawa. Ja też tak skakałem w jego wieku.

– Ale gdybyś się odsunął... – zaczęła.

– Odsunął?! – zachnął się Miles. – I pozwolił mu spaść? – Pokręcił głową ze

zdumieniem, po chwili jednak wziął ją w ramiona i mocno przytulił. – Nikt się z tobą nie bawił, gdy byłaś dzieckiem?

– Moi rodzice zmarli krótko po moim urodzeniu. Edmund był moim opiekunem.

To wiele wyjaśniało. Miles odsunął się i spojrzał jej w oczy.

– Nadrobimy stracone lata, Elizabeth. Siadaj, pohośćam cię.

Z radością odsunęła od siebie wspomnienia i wskoczyła na huśtawkę.

– Ja chcę! – wykrzyknął Kit i pociągnął za linę. Przez chwilę siłował się z nią, wreszcie szepnął głośno: – Elizabeth jest za ciężka!

– Nie dla mnie – roześmiał się Miles. Pocałował ją w ucho i popchnął deskę.

– Lecisz, Elizabeth!

– Lecę! – odkrzyknęła przez ramię.

Miles uśmiechnął się szelmowsko. Za każdym razem, gdy wracała, popychał jej jędrne pośladki, a Elizabeth się śmiała. Suknia zadarła się jej do kolan. W locie zrzuciła trzewiki i wyprostowała nogi.

– Skacz! – krzyknął Miles, przechodząc na drugą stronę.

– Jestem za ciężka, pamiętasz? – roześmiała się.

Miles wpatrywał się w nią zachłannie. Z godziny na godzinę wydawała mu się piękniejsza. Odrzuciła do tyłu głowę i śmiała się, jakby powstrzymywała śmiech przez całe życie.

– Tata cię złapie! – przekonywał ją Kit.

– Owszem. Tata z wielką przyjemnością złapie lady Elizabeth. – Miles wyszczerzył zęby. Twarz Elizabeth wyrażała zwątpienie. – Zaufaj mi. – Choć śmiał się razem z nią, mówił z głębi serca. – Nie odstąpię od ciebie. Nie pozwolę ci upaść. Złapię cię.

Elizabeth nawet nie próbowała stawać na huśtawce jak Kit, jednak w pewnej chwili nagle puściła liny i poleciała w ramiona Milesa. Chwytał ją i skrzywił się ostentacyjnie.

– Naprawdę jesteś za ciężka, Elizabeth – oświadczył i upadł, wydając z siebie jęki udawanego bólu. Elizabeth z chichotem przywarła do niego, padając na ziemię. Z piskiem zaczęli się staczać ze stromego pagórka.

Za każdym obrotem Miles trzymał ją tak, by nie uderzyła się o żadną przeszkodę, na wpół unosząc ją nad ziemię. Elizabeth dusiła się ze śmiechu, nawet nie starając się odpychać mężczyzny. Turlali się aż do stóp pagórka, gdzie Miles padł na plecy. Rozłożył szeroko ramiona.

– Jestem zmiażdżony, Elizabeth – powiedział z bólem.

Roześmiany Kit zbiegł z pagórka jak błyskawica i skoczył na brzuch ojca. Tym razem Miles jęknął zupełnie szczerze, a Elizabeth wybuchnęła jeszcze głośniejszym śmiechem.

Miles skulił się, otrząsnął i spojrzał jej w oczy.

– Lubisz mnie oglądać w mękach, nieprawdaż? – zapytał grobowym głosem, lecz w oczach lśniły mu iskierki rozbawienia. – Kit, łap ją. Pokażemy lady Elizabeth, że nie należy dworować sobie z rycerzy w opresji.

Elizabeth poderwała się z ziemi, lecz Miles i Kit byli szybsi. Ojciec chwycił ją za ramiona, syn za nogi i popchnęli z całych sił. Elizabeth potknęła się o suknię, Miles o Kita i runęli wszyscy troje na trawę wśród wybuchów śmiechu.

– Wystarczy? – wychrypiał Miles, gdy twarz Elizabeth była już mokra od łez. – Przyznasz wreszcie, że jesteśmy najdzielniejszymi wśród rycerzy?

– Nigdy... nigdy nie twierdziłam inaczej.

Miles pochylił nad nią twarz.

– Powiedz. Powiedz, kim jesteśmy – mruknął, poważniejąc.

– Najdzielniejszymi, najpiękniejszymi rycerzami w Anglii i na całym świecie.

Objął dłońmi jej talię. Jego kciuki znalazły się tuż pod jej piersiami.

– Jak się nazywam? – szepnął.

– Miles – odszepnęła, patrząc mu w oczy. – Miles Montgomery.

Jej dłonie spoczywały na jego ramionach, powolutku przesuwając się w stronę karku. Miles pocałował delikatnie jej wargi i po raz pierwszy poczuł, że Elizabeth drży.

Kit wskoczył mu na plecy, obalając ojca w piach.

– Pokuśnij mnie, tato!

– I pomyśleć, że kiedyś go kochałem – szepnął Miles i wstał z Kitem uczeponym jego barków.

Dopiero wtedy zauważyli, że niebo zdążyło pociemnieć, a w liściach szeleściły już pierwsze krople deszczu. Niebo nagle pękło i zalało ich strugami wody.

– Szybko do chaty! – zarządził Miles, chwytając Elizabeth za rękę. W kilka sekund dobiegli pod resztki dachu. – Zmokłaś? – zapytał, zsadzając Kita na klepisko.

– Nie, nie za bardzo – wydyszała Elizabeth, uśmiechając się przelotnie.

Miles poklepał ją po ramieniu.

– Rozpalcie ogień, a ja znajdę coś do jedzenia.

Kit bez słowa skoczył pod resztki ścian w poszukiwaniu drewna. Elizabeth z powątpiewaniem spojrzała na strugi deszczu.

– Nie powinieneś zaczekać, aż się przejaśni?

Miles uśmiechnął się radośnie.

– Nic mi nie będzie. Zostańcie tutaj, nie odejdę daleko.

Wyrzwał za osmalone belki i już go nie było.

Elizabeth w milczeniu wpatrywała się w ścianę deszczu. Była przekonana, że Miles Montgomery nie ma pojęcia, jak zdumiewające jest dla niej jego zachowanie.

Spędziła z nim cały poranek i nie doświadczyła żadnej przemocy. I śmiała się! Uwielbiała się śmiać, lecz jej bracia zawsze byli tak poważni. Każdy, kto mieszkał z Edmundem Chatworthem, prędko stawał się poważny. Dziś jednak śmiała się wraz z mężczyzną, a on nie starał się zedrzeć z niej ubrania. Wcześniej wystarczył jeden uśmiech i mężczyzna chwycił ją, próbując skrzywdzić.

Nie chodziło nawet o to, że niespotykana uroda Elizabeth skłaniała mężczyzn do szalonych zachowań. Owszem, wiedziała, że jest ładna, słyszała jednak, że nie mogłaby się równać z dziedziczką Revendoune. To Edmund zawsze robił z niej ofiarę. Zachęcał gości i znajomych do wyścigów. Zakładał się z nimi, kto pierwszy zaciągnie Elizabeth do łóżka. Nienawidził jej za to, że się go nie bała. Kiedy jeszcze była dzieckiem, przywoził ją z klasztoru do domu i bił, poniżał, strącał ze schodów. Tylko cudem uniknęła poważnych obrażeń.

Gdy skończyła dwanaście lat, zaczęła się bronić. Kiedyś odparła ataki Edmunda za pomocą zapalanej pochodni. Od tamtej chwili stał się jeszcze bardziej okrutny, a Elizabeth jeszcze bardziej ostrożna. Uciekała napastnikom, chowała się i znikła na całe dni. I noce. Nauczyła się, jak z nimi walczyć, gdy już ją złapali. Zmusiła Rogera, by nauczył ją władać toporem, mieczem, sztyletem. Potrafiła też bronić się ciętym językiem.

Po kilku wypełnionych grozą tygodniach w towarzystwie Edmunda Elizabeth z pomocą Rogera uciekała do klasztoru, gdzie spędzała kolejne kilka tygodni w spokoju. Potem znów zjawiał się Edmund...

– Ogień już się pali, lady Elizabeth – odezwał się Kit.

Uśmiechnęła się ciepło. Uwielbiała dzieci. Nie starały się jej oszukać ani skrzywdzić. Ofiarowały swe serca, nie oczekując niczego w zamian.

– Zrobiłeś wszystko sam! – Odsunęła się od osmalonych belek. – Opowiedzieć ci historię?

Usiadła, opierając się o resztki ściany i wyciągając stopy w stronę ogniska. Usadowiła Kita na kolanach, okryła go peleryną Milesa i zaczęła opowiadać o Mojżeszu. Zanim dotarła do rozstępującego się Morza Czerwonego, Kit spał smacznie, wtulony w jej ramiona.

Deszcz wciąż padał i dach zaczął przeciekać. Miles wsunął się do chaty bezszelestnie, uśmiechnął się do dziewczyny i dorzucił do ognia. W milczeniu sprawił i poćwiartował drobnego warchlaka, nadziewając kawałki mięsa na patyki.

Jakże dziwnym był mężczyzną. A może to znajomi Edmunda byli spaczeni? Roger zawsze jej powtarzał, że dostrzega tylko złe strony świata i ludzi. Biorąc pod uwagę wypełnione uwielbieniem opowieści panien z klasztoru, Elizabeth zaczynała podejrzewać, że może mężczyźni nie wszyscy są tacy źli.

Miles klęczał przy ogniu, obracając mięso. Łuk i strzały leżały w zasięgu jego ręki, do bioder miał przypasany miecz. Miał go nawet wtedy, gdy staczali się ze śmiechem z pagórka. Jakież mężczyzna bawi się z kobietą, będąc wciąż gotowym

do walki?

– O czym myślisz? – zapytał Miles, patrząc na nią uważnie.

Otrząsnęła się.

– Jesteś tak mokry, że zaraz zgasisz ognisko.

Wstał i się przeciągnął.

– Zimny kraj, prawda? – oświadczył i zaczął zdejmować z siebie ubranie, rozkładając je przy ogniu.

Elizabeth obserwowała go z umiarkowanym zainteresowaniem. Nadzy mężczyźni nie byli dla niej nowością. Miała przecież braci, a oni swoje załogi. Wątpiła jednak, by kiedykolwiek zwróciła uwagę na któregoś z nich.

Miles był szczupły i umięśniony. Kiedy się do niej odwrócił, dostrzegła, że tors ma oprószony ciemnymi włosami, które zaznaczają się też ciemną kreską na brzuchu. Uda miał rozbudowane, a biodra wąskie.

– Elizabeth – szepnął Miles. – Nie patrz tak, bo się zarumienię.

Splonęła rumieńcem i odwróciła wzrok. Miles zachichotał.

– Tato – mruknął Kit, podnosząc się z jej kolan. – Jestem głodny.

Elizabeth z ociąganiem wypuściła chłopca. Choć uwielbiała dzieci, nie spotkała wielu na swej drodze. A nie było nic równie wspaniałego jak dziecko w jej ramionach. Ufające jej, potrzebujące jej.

– Mamy wieprzowinę i jabłka – odparł Miles.

– Nie zimno ci, tato?

– Grzeje mnie ciepły wzrok pięknej damy – roześmiał się Miles. – Zjedzmy coś, lady Elizabeth.

Wciąż zaróżowiona Elizabeth przysiadła się do ogniska. Kit ubłagał Milesa, by opowiedział im kilka historii z dzieciństwa. W każdej z nich Miles był bohaterem, ratującym swych braci. Oczy Kita lśniły jak gwiazdy.

– Pamiętasz dzień pasowania na rycerza? – wtrąciła Elizabeth. – Nie przysięgałeś przypadkiem nie kłamać?

– Ten ślub chyba nie obejmuje robienia dobrego wrażenia na synu i... – zdawał się szukać odpowiedniego słowa.

– Więźniu? – podsunęła.

– Ach, Elizabeth – jęknął Miles. – Tak źle myślisz o biedaku, któremu starsi bracia zniszczyli dzieciństwo?

– Zniszczyli? – wzdrygnęła się nagle.

– Nie, żartowałem – wyciągnął do niej rękę. – Zostaliśmy sami zdecydowanie za szybko i niektóre nasze psoty były dość ryzykowne, ale wszyscy żyjemy.

– Długo i szczęśliwie – dodała grobowym głosem.

– A jak się spędzało dzieciństwo z Edmundem Chatworthem? – zapytał na pozór obojętnie.

Elizabeth zacisnęła pięści.

– Edmund też bardzo lubił... psoty – zamknęła temat.

– Najadłeś się, Kit? – Miles wyciągnął rękę po kolejny kawałek mięsa i Elizabeth ze zgrozą spostrzegła na jego nadgarstku otwartą, krwawiącą ranę. – Od cięciwy. Możesz opatrzeć, jeśli masz ochotę – dodał z taką nadzieją, że się roześmiała.

Uniosła spódnicę, oderwała długi kawałek halki i namoczyła go w strugach deszczu. Miles usiadł po turecku, wyciągając rękę, żeby mogła wytrzeć krew.

– Uwielbiam twój śmiech – westchnął. – Kit! Złaź stamtąd. Wyjmij szmatkę z sakwy i wypoleruj mój miecz. Uważaj, żebyś nie wyszczerbił ostrza. – Spojrzał na Elizabeth. – Twój śmiech to dla mnie zaszczyt. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że nie uśmiechałaś się do wielu mężczyzn.

– Do kilku – przyznała.

Pocałował ją w dłoń.

– Zaczynam podejrzewać, że twoje serce dorównuje twej urodzie. Kit cię ubóstwia.

– Wydaje mi się, że Kit ubóstwia wszystkich i wszystko.

– Ja nie. – Ponownie pocałował jej dłoń.

– Przestań! – Wyrwała mu dłoń. – Za dużo tych pocałunków.

– Ograniczam je do niezbędnego minimum. Bardzo chciałbym się z tobą kochać. Kit! – ryknął na syna kręcącego młynki mieczem. – Dostaniesz baty!

Elizabeth roześmiała się wbrew sobie i odepchnęła od siebie zabandażowaną rękę Milesa.

– Nie zabieraj syna na schadzki.

– Przeciwnie – uśmiechnął się Miles. – Kit w dwie chwile osiągnął więcej, niż ja byłbym zdolny w ciągu miesięcy.

Poderwał się i ruszył na ratunek swemu bezcennemu mieczowi.

## *Rozdział siódmy*

Tej nocy znów spali razem, skuleni pod peleryną. Elizabeth przez długi czas wsłuchiwała się w oddechy Milesa i Kita. Ostatnie dwa dni nie przypominały niczego, co jej się dotąd przytrafiło. Czuła się jak we śnie. Jakby po wielu dniach deszczu wreszcie zobaczyła słońce.

Gdy się obudziła, była już sama. Ktoś ją szczelnie otulił. Uśmiechnęła się sennie, przeciągnęła i schowała twarz pod pelerynę. Przez chwilę marzyła, by już na zawsze zostać w tym miejscu. By każdy dzień jej życia wypełniony był śmiechem.

Odwróciła się na plecy i rozejrzała. Chata była pusta. W ostatnich dniach jej zmysły naprawdę się stępiły. Zawsze spała bardzo lekko, niemal z otwartymi oczami, a jednak Miles i Kit zdołali wstać i wyjść, nie budząc jej. Wsłuchiwała się w nadbiegające z zewnątrz odgłosy, z uśmiechem rozróżniając ciche kroki zbliżające się do chaty.

Bezszelstnie wymknęła się do lasu i skryła w krzakach. Po chwili usłyszała głęboki głos Milesa i śmiech Kita po swojej lewej stronie. Kto zatem skradał się przez zarośla po prawej? Czerpiąc z lat doświadczeń, przekradła się jak duch przez las i po chwili ujrzała długie ciało sir Guya rozciągnięte na ziemi. Rycerz czujnie rozglądał się po okolicy, nasłuchując głosów Milesa i Kita.

Elizabeth podkrađła się do niego, podnosząc po drodze spory kamień i zaciskając go w pięści. Roger nauczył ją, że nawet tak delikatna i słaba dłoń może zadać poważne rany, jeśli zaopatrzy ją w coś twardego. Pochyliwszy się nad rycerzem, wyciągnęła sztylet z pochwy przymocowanej do jego pasa.

Gigant wstał w mgnieniu oka.

– Lady Elizabeth! – wykrzyknął ze zdumieniem.

Elizabeth odsunęła się na krok.

– Dlaczego nas śledzisz? Czyżbyś zdradził swego pana i wróciłeś, by nas zabić?

Twarz starego rycerza pobieliała, lecz nic nie odpowiedział. Odwrócił się i gwizdnął przejmująco. Elizabeth domyśliła się, że to ich sygnał i że Miles przybędzie na wezwanie. Skoro sir Guy tak swobodnie przyzywał swego pana, Miles musiał mieć coś wspólnego z jego dziwnym zachowaniem. W ułamku chwili Miles przybiegł ku nim z obnażonym mieczem.

– Lady Elizabeth zapytała mnie, czy planuję was zabić – oświadczył sir Guy z wyrzutem.

Miles patrzył na nich z niedowierzaniem.

– Jak cię znalazła?



Sir Guy patrzył jej w oczy z zakłopotaniem.

– Nie słyszałem jej.

Miles parsknął śmiechem.

– Oddaj mu sztylet, Elizabeth. Nigdy nie podawaj w wątpliwość lojalności sir Guya.

Elizabeth na te słowa nawet nie drgnęła. Ścisnęła mocniej kamień, ukrywając dłoń w fałdach spódnicy. Jednocześnie zauważyła, że sir Guy stoi na kawałku skały wystającym z poszycia. Mężczyźni również mają wrażliwe stopy.

– Gdzie twoja drużyna? – zapytała Milesa, nie spuszczać oczu z sir Guya.

– Cóż, Elizabeth... – zaciął się Miles. – Może powinniśmy...

Skurcz przebiegł przez twarz sir Guya i Elizabeth domyśliła się, że cokolwiek się stało, był to w całości pomysł Milesa.

– Odpowiedz! – rozkazała.

– Jesteśmy na ziemi MacArranów, więc nic nam nie grozi. Postanowiłem iść z tobą i Kitem na piechotę.

Odwróciła się ku niemu, wciąż kątem oka obserwując sir Guya.

– To była tylko tania sztuczka – stwierdziła bez emocji. – Okłamałeś mnie. Kłamałeś, że rycerze zniknęli, kłamałeś, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Zrobiłeś to wszystko, bym znalazła się z tobą zupełnie sama, na odludziu.

– Elizabeth – westchnął Miles. – Cały czas byliśmy otoczeni moimi ludźmi. Pomyślałem, że jeśli spędzimy sami trochę czasu, zdołasz lepiej poznać mnie i Kita.

– Nie mieszaj w to dziecka! Wykorzystałeś go niecznie w tej intrydze!

– To nie była żadna intryga – bronił się Miles, patrząc na nią błagalnie.

– Czyżby? A co z prawdziwym niebezpieczeństwem? Dla głupiej igraszki naraziłeś życie moje i własnego syna! Te lasy są pełne dzikusów, dobrze o tym wiesz!

Miles uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Zgadza się, lecz te dzikusy to moja rodzina. Jestem pewien, że także teraz jesteśmy przez nich otoczeni.

– Nie słyszałam nikogo, nie licząc tego sapiącego niedźwiedzia.

Sir Guy spuścił głowę.

– Przecież nic nam się nie stało – odparł Miles. – Oddaj sztylet, Elizabeth.

– Nic się nie stało. Poza tym, że nakarmiłeś mnie wielkim stekiem kłamstw – wycodziła.

Potem wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Rzuciła się na Milesa ze sztyletem. Sir Guy wytrącił jej go z dłoni. Kiedy rycerz patrzył, dokąd leci nóż, Elizabeth wycelowała obcas trzewika w dwa małe palce jego stopy. Sir Guy ryknął z bólu. Miles spojrział na niego z zaskoczeniem i nie zauważył lecącej ku niemu pięści Elizabeth. Huknęła go jeszcze nogą w żołądek, aż zwinął się na trawie.

Potem odsunęła się i z satysfakcją patrzyła, jak sir Guy miota się na wszystkie strony, usiłując zdjąć but. Miles wyglądał, jakby był bliski konwulsji.

– Świetna robota!

Usłyszawszy za plecami głos, Elizabeth odwróciła się błyskawicznie i stanęła oko w oko z uderzająco piękną kobietą o czarnych włosach i błękitnych oczach. Intruzka była równie wysoka jak Elizabeth. U jej boku stał wielki pies.

– Powinieneś wyciągnąć z tego wnioski, Milesie – ciągnęła. – Nie wszystkie kobiety lubią być wykorzystywane przez mężczyzn.

Elizabeth patrzyła ze zdumieniem, jak z drzew zaczęli zeskakiwać uzbrojeni mężczyźni, a od strony chaty Kit prowadził za rękę starszego człowieka.

– Lady Elizabeth Chatworth – odezwała się do niej kobieta. – Jestem Bronwyn MacArran, pani klanu MacArranów i bratowa tego wijącego się młodzieńca.

– Dobrze cię znów widzieć, Bronwyn – wystękał Miles.

– Tam. – Bronwyn wskazała starszemu mężczyźnie sir Guya. – Obejrzyj stopę rycerza. Połamałaś mu palce?

– Nie wykluczam – odparła Elizabeth. – Dotychczas zwykle udawało mi się złamać najmniejszy palec napastnika.

Bronwyn spojrzała na nią z uznaniem.

– To moi rycerze – wskazała. – Douglas, Alex, Jarl i Francis.

Wezwani rycerze występowali do przodu i kłaniali się nisko. Elizabeth odpowiadała im mocnym spojrzeniem. Nie lubiła być otoczona przez mężczyzn i przesunęła się nieznacznie, by sir Guy nie był za jej plecami. Czuła się wśród nich jak zamknięta w kamiennej celi.

Miles zauważył jej zakłopotanie i rozcierając brzuch, podszedł bliżej i stanął u jej boku. Kiedy Tam zwrócił się w ich stronę, Miles powstrzymał go wyciągniętym ramieniem i ostrzegawczym wzrokiem. Starszy mężczyzna puścił dłoń Kita i się odsunął. Zauważył, że Elizabeth nie spuszczała z niego czujnych oczu.

– Gdzież mój wspaniały brat? – zapytał Miles.

Bronwyn z uwagą obserwowała Elizabeth i Milesa.

– Patroluje północne rubieże, ale spodziewam się, że wróci, zanim dotrzemy do Larenston.

Miles wziął Elizabeth pod ramię i ścisnął ją mocno, gdy próbowała się wyrwać.

– Bronwyn ma małe dziecko – powiedział głośno, a potem szepnął: – Nic ci nie grozi. Trzymaj się blisko mnie.

Elizabeth spojrzała na niego z powątpiewaniem, dając mu do zrozumienia, że nie czuje się przy nim bezpieczniej niż przy jakimkolwiek innym mężczyźnie, lecz nie odsunęła się.

Drużyna Bronwyn wyglądała przerażająco. Mężczyźni mieli poszarpane stroje, gołe stopy, potargane włosy do ramion i ogromne miecze przy pasach.

Bronwyn czuła, że Elizabeth wycierpiała znacznie więcej niż tę w istocie niewinną intrygę, którą uknuł Miles, ale nie wiedziała, co o tym myśleć. Może w domu zrozumie, dlaczego dziewczyna jest taka spięta.

– Pojedziemy?

Elizabeth nie ruszyła się z miejsca, dopóki drużyna Bronwyn nie wysforowała się do przodu. Sir Guy kuśtykał, sapiąc ciężko. Konie ukryto w sporej odległości.

– Chcę jechać na końcu – szepnęła Elizabeth przez zaciśnięte zęby.

Miles chciał zaprotestować, ale powstrzymał się i powiedział do Bronwyn kilka słów. Dosiedli koni. Bronwyn, Szkoci i sir Guy ruszyli przodem, zabierając Kita.

– Elizabeth... – zaczął Miles. – Ludzie Bronwyn nie zrobią ci krzywdy. Nie musisz się ich obawiać.

– Czy mam ci wierzyć na słowo? – zapytała szyderczo. – Okłamałeś mnie tysiąc razy. Twój ród żyje z moim w ciągłej waśni.

Miles wzniosł oczy ku niebu.

– Popełniłem błąd, oszukując cię. Gdybym jednak cię poprosił, byś spędziła ze mną i Kitem kilka dni w lesie, to co byś odpowiedziała?

Odwróciła wzrok.

– Elizabeth, musisz przyznać, że dobrze ci było w naszym towarzystwie. Przez te dni nie bałaś się mężczyzn.

– Nigdy nie boję się mężczyzn – prychnęła. – Nauczyłam się ostrożności.

– Ostrożność przejęła władzę nad twoim życiem – oświadczył surowo. – Popatrz tylko na nas. Łykamy kurz wzbity przez zastęp Bronwyn, bo boisz się, że któryś z nich cię zaatakuje, jeśli spuścisz go z pola widzenia.

– Nauczyłam się... – zaczęła.

– Nauczyłaś się tylko złych stron życia! Większość mężczyzn nie jest taka jak Edmund czy lord Pagnell. Tutaj, w Szkocji, nauczysz się, że pewnym mężczyznom można jednak ufać. Nie! – zaciętrzewił się nagle. – Nauczysz się, że m n i e można ufać! – wykrzyknął i zaciął konia, zostawiając Elizabeth samą.

Bronwyn spojrzała przez ramię. Po chwili zatrzymała się i zaczęła na Elizabeth. Ciekawa była z nich para. Blondynka o anielskich rysach i wyrazista brunetka.

– Klótnia kochanków? – zagadnęła Bronwyn.

– Nie jesteśmy kochankami – odparła zimno Elizabeth.

Bronwyn uniosła brew. Nie przypominała sobie, by Miles spędzał czas z kobietą, nie korzystając z jej wdzięków.

– Jakże więc się stało, że Chatworthówna podróżuje z Montgomerym? –

zapytała równie zimno.

Elizabeth spojrzała na nią wyniośle.

– Jeśli masz zamiar wylewać przede mną żale na Rogera, możesz sobie darować.

Spojrzały sobie twardo w oczy. Po chwili Bronwyn skinęła głową.

– Zapytaj brata o jego szkockich krewnych – rzuciła lodowatym tonem i odjechała.

– Rozzłościłaś nawet Bronwyn? – zapytał Miles, podjeżdżając znów do jej boku.

– Czy doprawdy wszyscy oczekują, że będę z pokorą wysłuchiwać niegodziwości na temat własnego brata? Ta kobieta obiecała rękę Rogerowi, ale nie dotrzymała słowa, wskutek czego...

– ...Wskutek czego Roger pchnął mojego brata w plecy – przerwał Miles i wziął ją za rękę. – Daj nam szansę, Elizabeth – poprosił cicho. – Tylko o to cię proszę. Daj nam czas, byśmy udowodnili, że możesz nam zaufać.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, głośny okrzyk spłoszył konie. W ułamku sekundy drużyna Bronwyn otoczyła ciasnym pierścieniem dwie kobiety. Miles podjechał bliżej Elizabeth.

– To mój dumny mąż – oświadczyła Bronwyn. Rozradowany ton jej głosu zadawał kłam tej ocenie.

Pięciu jeźdźców wypadło zza zakrętu i zatrzymało się gwałtownie. Dowodził nimi wysoki, niebywale przystojny rycerz z długimi jasnymi włosami. Uśmiechnął się na widok żony.

– Strasznie się zestarzałeś, Tam – oświadczył ze śmiechem.

Starszy rycerz burknął coś w odpowiedzi.

– Niech cię licho porwie, Stephen – syknęła Bronwyn. – Dlaczego jeździsz jak szalony po klifach? I czemu nie dałeś znać, że wracasz?

Stephen zsiadł z konia, rzucił wodze giermkowi i chwyciwszy żonę za kostkę, wsunął rękę pod jej spódnicę.

Bronwyn wierzgnęła.

– Zostaw mnie! Mam ważniejsze sprawy niż zabawy z tobą.

Stephen błyskawicznym ruchem ściągnął ją z siodła i wtulił twarz w jej włosy.

– Martwiłaś się o mnie? – mruknął.

– Tam! – pisnęła Bronwyn, odpychając męża.

– Chłopak nie potrzebuje mojej pomocy – odparł Tam.

– Za to ja nią nie wzgardzę – odezwał się Miles.

Stephen gwałtownie wypuścił żonę z ramion.

– Miles! – ryknął i chwycił brata w ramiona. – Kiedy przyjechałeś? Co porabiasz w Szkocji? Myślałem, że jesteś u wuja Simona. A skoro o nim mowa,

doszły mnie pogłoski, że zamierza cię skrócić o głowę.

Miles z uśmiechem wzruszył ramionami.

Stephen wykrzywił usta. Najwyraźniej wiedział, że nie wyciągnie żadnej informacji z młodszego brata. Miles lubił mieć swoje tajemnice.

– Miles przywiózł Elizabeth Chatworth – wtrąciła obojętnym tonem Bronwyn.

Stephen odwrócił się i spojrzał na dziewczynę. Choć jej rysy były delikatne, wyglądała odpychająco, siedząc w siodle sztywno, z zadartym nosem. Ruszył ku niej, lecz Miles przytrzymał go za ramię.

– Nie dotykaj jej – szepnął ostrzegawczo.

Stephen przez chwilę patrzył na niego w kompletnym zdumieniu, wreszcie się uśmiechnął. Dobrze rozumiał zazdrość, choć nigdy wcześniej u Milesa jej nie spostrzegł.

Miles wyciągnął ręce ku Elizabeth. Nie drgnęła nawet.

– Stephen nie zrobi ci krzywdy – zapewnił. – I będzie wdzięczny za rewanż – dodał z porozumiewawczym mrugnięciem.

Elizabeth uśmiechnęła się i zerknęła przelotnie na sir Guya. W czasie drogi stary rycerz kilka razy rzucił jej pełne niedowierzania spojrzenie, jakby była na wpół obłąkaną wiedźmą. Prezentacja musiała jednak chwilę poczekać, gdyż Kit obudził się właśnie z drzemki i z wrzaskiem rzucił w ramiona ukochanego wuja. Stephen wziął go na barana i wyciągnął dłoń ku Elizabeth. Nie przyjęła jej.

Miles posłał bratu ostrzegawcze spojrzenie i Stephen splótł dłonie za plecami.

– Witaj – oświadczył. – Jesteś miłym gościem w naszym domu.

– Jestem Elizabeth Chatworth.

– A ja jestem Stephen Montgomery i powtarzam, że jesteś miłym gościem. Przejedziemy się po klifie? Jest stromy i czasami może być przerażający.

– Umiem jeździć konno.

Miles wziął ją za rękę i ucałował palce.

– Oczywiście, że umiesz. Mój niezdarny brat próbuje znaleźć jakiś neutralny temat do rozmowy.

– Wujku! – nie wytrzymał Kit, choć bardzo się starał nie przerywać dorosłym. – Lady Elizabeth zbiła tatę i powaliła sir Guya, i spaliśmy w lesie bez namiotu, i w ogóle. – Uśmiechnął się do Elizabeth.

– Powaliła sir Guya? – Stephen roześmiał się gromko. – Jakoś w to wątpię.

– Lady Elizabeth Chatworth połamała mu palce u stopy – wycedziła Bronwyn.

Stephen zmrużył oczy.

– Nie podoba mi się twój ton, żono.

– Jak się ma sprawa z MacGregorami? – zapytał prędko Miles, by zmienić

temat.

Na wpół kłócąc się, na wpół śmiejąc, Bronwyn i Stephen opowiedzieli o ślubie brata Bronwyn, Davy'ego, z dziewczyną z klanu MacGregorów, który przez wieki był największym wrogiem MacArranów.

Rozmawiając swobodnie, szli stromym klifem, po jednej stronie mając skalną ścianę, po drugiej przepaść. Elizabeth przywarła do boku Milesa, idąc ostrożnie tuż za plecami Stephena i z fascynacją wsłuchiwała się w ciągłe sprzeczki MacArranów. Stephen i Bronwyn kłócili się zajadle, lecz bez cienia wrogości. Za ich plecami drużyna rozmawiała cicho o swoich sprawach, więc można się było domyślić, że te sceny nie są niczym niezwykłym. Bronwyn co chwilę wymierzała Stephenowi kuksańca albo wyzywała go od najgorszych, a Stephen tylko się uśmiechał. Elizabeth wiedziała doskonale, że wśród wszystkich znanych jej małżeństw taka scena skończyłaby się porządnym laniem żony.

Zerknęła na Milesa. Uśmiechał się z rozrzewnieniem. Kit włączył się do sprzeczki, biorąc stronę Bronwyn i biegnąc ku niej nad przepaścią, by ją chwycić za rękę.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – parsknął Stephen.

Odwrocił się, by mrugnąć do brata, i dostrzegł spadające ku nim ze zbocza kamienie. Instynktownie chwycił Elizabeth, obrócił się i przygwoździł ją do ściany, osłaniając własnym ciałem przed gradem kamieni. Elizabeth również zareagowała instynktownie. Nie zauważyła, dlaczego Stephen ją chwycił, widziała tylko, że znowu mężczyzna jej zagraża.

Wpadła w panikę. Krzyknęła tak głośno, że spłoszone konie zaczęły rzeć, po czym zaczęła kopać i gryźć jak schwyte w klatkę dzikie zwierzę.

Zdumiony jej reakcją Stephen usiłował chwycić ją za ramiona.

– Elizabeth! – krzyknął jej prosto w twarz.

Miles nie zdążył odskoczyć i grad kamieni powalił go na kolana. Słyszając krzyk Elizabeth, poderwał się od razu i pobiegł ku niej.

– Zostaw ją, do licha! – krzyknął na brata – Mówiłem ci, żebyś jej nie dotykał! – Odepchnął Stephena na bok i złapał ją za nadgarstki.

– Cicho! – syknął.

Elizabeth była wciąż w amoku. Szarpnął ją za rękę.

– Elizabeth – powiedział cierpliwie. – Jesteś bezpieczna. Słyszysz mnie? Bezpieczna. – Musiał ją szarpnąć jeszcze raz, by zwróciła na niego oczy. Oczy, jakich nigdy wcześniej nie widział: przerażone, udręczone i bezbronne. Przez długą chwilę patrzyli na siebie. – Jesteś bezpieczna, ukochana. Zawsze będziesz już bezpieczna – powtarzał Miles.

Elizabeth zaczęła się trząść. Miles ogarnął ją ramionami i głaskał długie włosy. Zerkając na Stephena, szepnął:

– Zostawcie jednego konia. Dogonimy was później.

Elizabeth szlochała cicho, nie dostrzegając mijających ich w grobowym milczeniu ludzi Bronwyn. Osłabła z przerażenia i mogła jedynie wtulać się w Milesa, podczas gdy on gładził ją po twarzy, po głowie i plecach. Upłynęło parę minut, nim odsunęła się od niego.

– Zrobiłam z siebie kompletną idiotkę – stwierdziła z taką rozpaczą, że Miles się uśmiechnął.

– Stephen nie zrozumiał, gdy prosiłem go, by cię nie dotykał. Pewnie myślał, że to z zazdrości.

– A nie jesteś zazdrosny? – zapytała nieśmiało.

– Być może. Jednak twoje lęki są dla mnie ważniejsze niż zazdrość.

– Moje lęki to nie twoja sprawa – oświadczyła i odepchnęła go.

– Elizabeth – jęknął Miles. – Nie duś tego w sobie. Już ci mówiłem, że potrafię świetnie słuchać. Opowiedz mi wszystko. Dlaczego wciąż jesteś taka przerażona?

Elizabeth położyła dłonie na skale za plecami. Dotyk twardego gładu przywracał jej siły.

– Dlaczego odesłałeś wszystkich?

Gniew zapłonął w oczach Milesa.

– Żeby nie miał świadków gwałtu, po cóż by innego? – wycodził. Widząc, że Elizabeth nie jest pewna, czy żartuje, czy mówi serio, wznosił ramiona ku niebu i odetchnął głęboko. – Jedźmy do Larenston. – Chwycił ją za ramię, aż pisnęła. – Wiesz, czego ci trzeba, Elizabeth? Kogoś, kto zechce się z tobą kochać i pokaże ci, że nie taki diabeł straszny.

– Zgłaszało się do mnie już wielu ochotników – prychnęła Elizabeth.

– Z tego, co widzę, nie spotkałaś dotąd ani jednego kochanka.

Miles dosłownie wrzucił ją na siodło i sam wskoczył zwinnie za jej plecy.

*Rozdział  
ósmym*

Elizabeth powoli otworzyła oczy. Komnata, którą dla niej przygotowano, była pusta i ciemna. Minęło wiele godzin, odkąd przyjechali do fortecy MacArranów. Wiekowa twierdza przycupnęła na szczycie klifu jak wielki orzeł.

Kobieta równie stara jak zamek, o wdzięcznym imieniu Morag, wręczyła Elizabeth kubek z gorącym naparem z ziół. Gdy tylko się odwróciła, Elizabeth wylała napar za ławkę. Znała się na ziołach i potrafiła rozpoznać, co jest w kubku.

Staruszka obserwowała ją drapieżnym wzrokiem, więc Elizabeth odczekała stosowną chwilę, po czym udając senność, ułożyła się w łóżku i zamknęła oczy.

– Potrzebuje odpoczynku – stwierdziła Bronwyn. – Nigdy nie widziałam człowieka w takim ataku szału. Wyglądała, jakby wstąpiło w nią stado demonów.

Morag prychnęła.

– Tyś także długo i wściekle walczyła ze Stephenem.

– To nie to samo – sprzeciwiła się Bronwyn. – Miles jakoś ją uspokoił, ale musiał nią strasznie mocno potrząsać. Słyszałaś, że połamała sir Guyowi palce u stopy?

– Słyszałam, żeście się pokłócili – ucięła Morag.

Bronwyn wyprostowała się dumnie.

– Śmiała bronić przede mną Rogera Chatwortha! Po tym wszystkim, co zrobił...

– To jej brat! – przerwała Morag. – Niby ma być uczciwa i lojalna, ale chcesz, by od razu wzięła twoją stronę. Bronwyn, moje dziecko, świat nie jest czarno-biały. – Morag okryła Elizabeth ciepłym kocem. – Zostawmy ją w spokoju. Przybył posłaniec od najstarszego brata Stephena.

– Co? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – zaperzyła się Bronwyn, rozszłoszczona wymówkami i świadomością, że w pełni na nie zasłużyła.

Elizabeth leżała w bezruchu, nasłuchując trzaśnięcia zamykanych drzwi. Przez długą chwilę czuwała, nie poruszając się. Niektórzy mężczyźni tylko udawali, że opuszczają pokój, by ukrywać się w ciemnym kącie, czekając odpowiedniej chwili. Gdy upewniła się, że jest sama, ostrożnie otworzyła oczy.

Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do okna. Właśnie zapadł zmierzch i mlecze światło księżyca posrebrzyło strome ściany fortecy. Doskonały czas na ucieczkę. Zanim podwoją strażę na noc i zanim cały klan MacArranów dowie się, że Elizabeth jest tylko więźniem.

Rozglądając się po okolicy, dostrzegła czterech mężczyzn w kiltach, przecinających mroczny podwórzec. W jej głowie zaświtał plan. Prędko przeszukała pokój i odnalazła skrzynię z męskimi strojami. Podwinęła jedwabną



spódnicę i umocowała ją w pasie. Narzuciła na to wielką koszulę, a na nogi wciągnęła wełniane skarpety. Przez chwilę wpatrywała się w gołe kolana. Wyjdzie do ludzi niemal naga! W skrzyni nie było butów, musiała się więc wbić we własne trzewiki. Z trudem owinęła się kraciastym pledem, formując spódniczkę i koniec przerzucając przez ramię. W talii przewiązała się długim skórzanym pasem.

Wstrzymując oddech, otworzyła drzwi. Miała nadzieję, że jeszcze nie ustawiono przy nich strażnika. Nie dostrzegła nikogo, wysliznęła się więc bezszelestnie z komnaty i ruszyła mrocznym korytarzem. Idąc z Milesem do pokoju, zapamiętała dokładnie drogę, czuła się więc pewnie, wracając. Zatrzymała się na chwilę i nasłuchiwała.

Daleko przed sobą słyszała głosy. Powoli, ostrożnie stawiając stopy i trzymając się cieni, zeszła ze schodów do głównego holu. Mijając komnatę, w której kilka osób prowadziło rozmowę, usłyszała własne nazwisko. Zerknęła tęsknie w stronę drzwi prowadzących na dziedziniec, lecz jednocześnie pragnęła informacji. Przyłgnęła do drzwi, nie robiąc najmniejszego szmeru, i zajrzała przez szparę.

– Niech was lichy porwie, Miles! Obydwu! Gavin nie ma więcej rozumu niż ty – zżymał się Stephen. – Pomagacie Chatworthowi osiągnąć jego cel. Jest coraz bliżej zniszczenia naszej rodziny.

Miles się nie odezwał.

Bronwyn położyła dłoń na jego ramieniu.

– Proszę, uwolnij ją. Wyprawimy ją do Anglii ze zbrojną eskortą i wyślemy posłańca do Gavina. Kiedy się dowie, że Elizabeth jest wolna, wypuści Rogera.

Miles wciąż milczał.

– Cholera jasna, odezwij się! – ryknął Stephen.

Oczy Milesa zamigotały gniewem.

– Nie uwolnię Elizabeth. To nie moja sprawa, co Gavin zrobi z jej bratem. Elizabeth jest moja.

– Gdybyś nie był moim bratem...

– Gdybym nie był twoim bratem, miałbyś w nosie, co robię, a czego nie – odparł spokojnie Miles.

Stephen z rozpaczny chwycił się za włosy.

– Ty z nim rozmawiaj – rzucił do Bronwyn. – Mam tylu braci, a jeden głupszy od drugiego.

Bronwyn usiadła mężowi na kolanach.

– Kiedyś ty także walczyłeś z Rogerem Chatworthem o to, co uważałeś za swoje. Miles robi dokładnie to samo, a ty się wściekasz.

– To było zupełnie co innego – mruknął Stephen. – Dostałem cię od króla.

– A ja dostałem Elizabeth! – zirytował się Miles. – Bronwyn, jestem tu mile widziany czy nie? Jeśli nie, mogę wyjechać od razu. Z lady Elizabeth.

– Wiesz, że jesteś mile widziany – miękko odparła Bronwyn. – Jeśli Chatworth nie jest gotowy na wielką wojnę, nie zaatakuje MacArranów. – Spojrzała na Stephena. – A skoro mowa o Gavinie, przyznaję, że cieszę się, iż Gavin go uwięził. Zapomniałeś już, co zrobił twojej siostrze? Zapomniałeś, że na miesiąc zamknął mnie w wieży?

Elizabeth uznała, że słyszała już dość. Przekonają się niebawem, że nie jest bezwolnym więźniem, za jakiego ją mają.

Na dziedziniec wdzierała się mgła od morza. Elizabeth w duchu podziękowała Bogu za pomoc. Przede wszystkim musiała zdobyć konia. Nie będzie przecież szła całą drogę ze Szkocji. Zastygła na chwilę, nasłuchując, skąd dobiega rzenie.

Potrafiła znakomicie kraść konie. Miała w tym doświadczenie. Konie przypominały dzieci. Trzeba było do nich cicho i łagodnie przemawiać, a poruszać się powoli. Na drugim końcu stajni siedziało dwóch mężczyzn. Śmiali się głośno i wspominali kobiety, z którymi niedawno spali.

Elizabeth bardzo ostrożnie wyprowadziła klacz z najdalszego boksu. Zdjęła siodło z wieszaka i wyszła na dziedziniec, by tam osiodłać wierzchowca. Cieszyła się, że w zamku panuje taki hałas. Na niewielkiej powierzchni mieszkało tu bardzo wiele osób. Po dziedzińcu przetoczył się z turkotem wóz mleczarza, jakiś rycerz przywiązał cztery parskające rumaki do kółka nieopodal. Stajenni zaczęli kląć. Żadna z kręcących się wokół osób nawet nie spojrzała w jej stronę.

Elizabeth wskoczyła na siodło i powolutku ruszyła za wozem w stronę bramy. Mijając strażnicę, uniosła dłoń w niemym pozdrowieniu. Zadaniem strażników było powstrzymywanie intruzów. Ludzie opuszczający zamek w ogóle ich nie interesowali.

Droga do Larenston prowadziła po niewiarygodnie wąskiej półce skalnej. Elizabeth patrzyła na jadący przed nią wóz i serce co chwilę podchodziło jej do gardła. Wąski pojazd podskakiwał na kamieniach i zdawało się, że runie w przepaść.

Gdy dotarli wreszcie do końca ścieżki, Elizabeth odetchnęła z ulgą. Wóz jednak nie spadł. Nie słyszała też alarmu w zamku. Woźnica odwrócił się do niej z uśmiechem.

– Zawsze dziękuję Bogu, kiedy zjadę z tej cholernej ścieżki. Jedziesz przez farmy?

Droga przez farmy wiła się przed nimi malowniczo wśród chałup. Jeśli zaczną jej szukać, wieśniacy na pewno pokażą im drogę. Po prawej stronie dróżka pięła się na klif.

– Nie – odparła stłumionym głosem. Gdyby ruszyła z woźnicą, na pewno chciałby rozmawiać i w końcu zorientowałby się, że jest kobietą. Wskazała dłonią klif.

– Młodzieńcza brawura – zarechotał woźnica. – Powodzenia zatem. Księżyc świeci jasno, ale uważaj mimo to – ostrzegł. Pogroził jej palcem i odjechał.

Elizabeth nie traciła czasu na uspokajanie własnych nerwów i ponagliła klacz. W ciemnościach ścieżka wyglądała jeszcze groźniej niż za dnia. Koń zarżał nerwowo. Po chwili wahania Elizabeth zeskoczyła z siodła, chwyciła uzdę i zaczęła się wspinać ścieżką pod szczyt.

– Przeklęty Miles Montgomery! – mamrotała pod nosem.

Dlaczego wywiózł ją na to pustkowie? Nie mógł jej więzić w bardziej cywilizowanych warunkach?

Tuż nad głową usłyszała wycie i przestała złorzeczyć. Na szczycie skalnej ściany dostrzegła trzy wilki. Zwierzęta opuściły nisko łby, obserwując ją. Klacz zatańczyła na wąskiej ścieżce. Elizabeth mocniej chwyciła uzdę i ruszyła przed siebie. Wilki poszły w trop. Czwarty dołączył do stada.

Zdawało jej się, że wędruje godzinami, a wciąż nie widziała końca ścieżki. Na chwilę oparła się o skałę, by uspokoić rozszalałe serce.

Wilki najwyraźniej uznały to za dobry sygnał i zaczęły warczeć. Wierzchowiec wizgnął przeraźliwie, wyrwijąc wodze z ręki Elizabeth. Rzuciła się za nim i potknęła w ciemności, zsuwając się połową ciała ze ścieżki. Klacz zarżała dziko i pobiegła z powrotem do zamku.

Elizabeth leżała nieruchomo. Musiała jakoś wdrapać się na ścieżkę. Z całej siły przyłgnęła do skały i podciągnęła jedną nogę na skraj urwiska. Palcami wczepiła się w szczeliny, brodą oparła o skalny występ.

Przesunęła lewą rękę, by się podciągnąć, i nagle kamień usunął się spod jej stopy. Straciła oparcie i krzyknęła z przerażenia. Wisiała na rękach, majtając bezradnie nogami. Kolejny kamień oderwał się od skalnej półki i poleciał w przepaść.

Elizabeth uspokoiła się, znieruchomiała, a po chwili zaczęła się podciągać. Boleśnie powoli, centymetr po centymetrze, wciągała się na ścieżkę. Wczołgała się na płaską skałę, podpełzła do skalnej ściany i się rozpląkała. Dłonie miała pokrwawione, a kolana podrapane i posiniaczone od ostrych odłamków. Nad głową słyszała ujadanie i wycie. Podniosła głowę i zobaczyła, że jakieś ogromne zwierzę atakuje stado wilków.

– To pies Bronwyn – szepnęła, oddychając z ulgą.

Musiała uciekać. Niedługo zorientują się, że jej nie ma, i ruszą w pościg. Wstała, krzywiąc się boleśnie. Była znacznie bardziej poobijana, niż jej się zdawało. Lewa noga nie chciała się zginać, a kostka pulsowała wściekłym bólem. Otarła łzy z twarzy, zostawiając krwawe smugi na policzkach. Przesuwając dłońmi po skalnej ścianie, ruszyła ścieżką. Nie widziała dalej niż na dwa kroki, postanowiła więc zaufać solidnej skale.

Zanim dotarła do końca ścieżki, księżyc zaszedł. Elizabeth jednak cieszyła

się z gęstej ciemności otulającej przestronną dolinę. Owinęła się pledem i ruszyła przed siebie, sycząc z bólu.

Kiedy nagle ujrzała świecące w mroku oczy, prawie stanęło jej serce. Znieruchomiała i wstrzymała oddech. Po chwili zwierzę ruszyło w jej stronę. Gdy zorientowała się, że to pies Bronwyn, prawie roześmiała się z ulgi.

Pies przechylił łeb w niemym pytaniu.

– Zabiłeś te wilki, prawda? – powiedziała cicho. – Dobry pies. – Powoli wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń. Pies polizał ją ciepłym jęzorem. Pogłaskała go za uszami. Pies pisnął i popchnął ją z powrotem w stronę ścieżki.

– Nic z tego – szepnęła. Przystąpiła z nogi na nogę, sycząc z bólu. Wydawało jej się, że nie spała od tygodni. – Chcę iść do lasu, nie do Bronwyn.

Pies szczeknął krótko.

– Nie! – powtórzyła stanowczo.

Pies patrzył na nią przez chwilę, jakby rozważał jej słowa. Wreszcie odwrócił się w stronę lasu.

– Dobry pies – uśmiechnęła się. – Może wyprowadziłbyś mnie stąd? Zaprowadzisz mnie do innego klanu, który odda mnie bratu?

Elizabeth ruszyła przed siebie, potykając się co chwila. Pies podszedł do niej. Podsunął się pod jej rękę, nalegając, by się na nim oparła.

– Jak się wabisz, psie? – zapytała znużonym głosem. – George czy Oliver? Czy może nadali ci jakieś dziwaczne szkockie imię, którego nigdy w życiu nie słyszałam?

Pies przysunął się jeszcze bliżej.

– A może Charlie? – westchnęła. – Podoba mi się imię Charlie.

Stwierdziwszy to, zemdlała. Pies trącił ją pyskiem i polizał po zakrwawionej twarzy. Elizabeth nie drgnęła. Pies sapnął, ułożył się obok niej i zasnął.

Słońce stało już wysoko, gdy Elizabeth otworzyła oczy i ujrzała wielki kudłaty łeb. Pies wpatrywał się w nią z troską. Pod jednym okiem miał wielki strup zaschniętej krwi.

– Wilk cię tak urządził? – zapytała, drapiąc go za uchem. Wstając, zachwiała się i chwyciła zwierzę za szyję. – Jak dobrze, że jesteś taki silny, Charlie.

Wstała z trudem, spojrziała na siebie i jęknęła. Spódnicę miała w strzępach. Z potłuczonych kolan wciąż sączyła się krew. Rozwinęła pled i okręciła się nim jak peleryną, nawet nie patrząc na poharatane ręce. Dotknęła włosów, ale czując na nich zaschnięte plamy krwi, zabrała dłoń.

– Znajdziesz wodę, Charlie? – zapytała psa. – Woda?

Pies pomachał wielkim ogonem i ruszył przez równinę, wracając co chwila. Elizabeth wlokła się ślimaczym tempem, jęcząc z bólu. Rany na jej ciele pootwieraly się i czuła ciepłe strużki krwi. Pies zaprowadził ją do strumienia, w którym obmyła się najlepiej, jak potrafiła. Nie chciała wyglądać jak obdarta

dzikuska, gdy spotka wybawców.

Wędrowali godzinami. Słyszając w oddali rżenie i tętent koni, instynktownie ukryła się za stertą głązów i pociągnęła za sobą psa. Nie byłaby w stanie utrzymać zwierzęcia, jednak pies sam zdecydował się zostać u jej boku.

Pod wieczór Elizabeth straciła resztę sił i nawet nie była w stanie zareagować, gdy pies zaczął szczekać na coś, czego ona nie mogła jeszcze dostrzec.

– To pewnie Miles albo twoja pani – wyjąkała z trudem i osunęła się na ziemię, zamykając oczy. Kiedy je otworzyła, ujrzała nieznanego mężczyznę stojącego nad nią na szeroko rozstawionych nogach. Zachodzące słońce rzucało krwawe blaski na jego siwe włosy i mocno zarysowaną szczękę.

– Witaj, Rab – odezwał się do psa głębokim głosem. – Co tym razem przyniosłeś?

– Nie dotykaj mnie – szepnęła Elizabeth, gdy mężczyzna pochylił się nad nią z zaciekawieniem.

– Nie martw się, pani, nie skrzywdzę cię. Nazywam się MacGregor i jesteś na mojej ziemi. Dlaczego jest z tobą pies Bronwyn? – zapytał, obrzucając spojrzeniem jej angielski strój.

Elizabeth była głodna, zmęczona i obolała, ale nie martwa. Mężczyzna powiedział imię Bronwyn tonem, który zdradzał zażyłość. Łzy popłynęły Elizabeth po policzkach. Nigdy nie dotrze do domu. Przyjaciel MacArranów nie odwiezie jej do Anglii. Uwięzienie Rogera może stać się początkiem długiej wojny.

– Nie rozpaczaj, dziecino – powiedział łagodnie MacGregor. – Zawiozę cię w miłe, bezpieczne miejsce. Ktoś cię opatrzy i nakarmi, a potem... Co, do licha?!

Korzystając z chwili nieuwagi mężczyzny, Elizabeth wyszarpnęła mu sztylet i pchnęła, mierząc w serce. Nie trafiła.

Lachlan MacGregor odskoczył, wytrącił sztylet z jej ręki i bez ceregieli zarzucił sobie dziewczynę na ramię.

– Nie rób scen, dziecko – burknął, gdy zaczęła się szamotać. – W Szkocji nie dźga się ludzi, gdy próbują być dla ciebie mili.

Wrzucił Elizabeth na siodło, zagwizdał na Raba i pognali w szaleńczym tempie.

*Rozdział  
dziewiąty*

Naburmuszona Elizabeth siedziała sama w olbrzymiej komnacie w zamku MacGregorów. Komnata była niemal pusta, nie licząc ogromnego łoża, skrzyni i trzech krzeseł. Na jednej ścianie pysznił się wielki kominek wypełniony drewnem, lecz nikt nie rozpałił w nim ognia.

Zwinęła się na jednym z krzeseł i opatulila narzutą, podkulając nogi. Odkąd MacGregor wepchnął ją do zimnej komnaty, minęło kilka godzin, a wciąż nie dostała jedzenia, wody do mycia ani nikt nie opatrzył jej ran. Była sama. Pies uciekł na widok posępnego zamku. Elizabeth była zbyt zmęczona, by zasnąć. W głowie kłębiły jej się tysiące myśli.

Usłyszawszy przez drzwi znajomy głos, w pierwszej chwili poczuła ulgę. Jednak prędko przywołała się do porządku. Miles Montgomery był takim samym wrogiem jak wszyscy inni. Zanim otworzył drzwi, była już gotowa. Wszedł dumnie jak do własnej sypialni i bez trudu złapał lecącą ku niemu srebrną urnę, którą Elizabeth chwyciła z kominka. Rzuciła małą okrągłą tarczę, lecz tę także złapał, nie zwalniając kroku. Z uśmiechem triumfu chwyciła hełm i zamachnęła się nim. Miles nie miał go jak złapać. Jednak zanim zdołała rzucić, stał już przy niej i upuściwszy wszystko na kamienną podłogę, chwycił ją w ramiona.

– Tak strasznie się o ciebie bałem – szepnął jej prosto do ucha. – Dlaczego uciekłaś? Szkocja to nie Anglia. To zdradziecki kraj.

Nie trzymał jej zbyt mocno, by nie próbowała się wyrwać. Elizabeth przez chwilę czuła żal, że nie przytulił jej mocniej. Musiała stać nieruchomo, inaczej bez trudu wyswobodziłaby się z jego objęć, czego wcale nie chciała. Słyszając jednak jego idiotyczne wymówki, cofnęła się.

– Zaatakowały mnie wilki, prawie spadłam z urwiska, jakiś diabeł rzuca mną jak workiem ziemniaków, a ty mi mówisz, że to zdradziecki kraj?

Miles dotknął jej skroni. Nie odsunęła się. W jego oczach płonął dziwny blask.

– Elizabeth, sama pakujesz się w te kłopoty.

– Nie prosiłam nikogo, by mnie porwał i oddał w ręce wroga. Ani ciebie, byś mnie przywoził w tę dzicz. Ani...

Miles uniósł dłoń.

– MacGregor jest wściekły, że podniosłaś na niego nóż. Kilka miesięcy temu Bronwyn niemal zadźgała go na śmierć.

– Mówił o niej, jakby się przyjaźnili.

Miles przewrócił oczami.

Drzwi do komnaty otworzyły się nagle i dwóch rosyjskich Szkotów wniosło

dębową balię. Za nimi wmaszerowały pokojówki z wiadrami pełnymi parującej wody. Ostatnia niosła tacę z mydłem, dzbankiem i tajemniczymi fiolkami.

– Wiedząc, że bez umiaru uwielbiasz kąpiel, pozwoliłem sobie ją dla ciebie zorganizować – uśmiechnął się Miles.

Elizabeth zacisnęła wargi i ostentacyjnie odwróciła się do kominka. Służba opuściła komnatę w milczeniu. Miles położył ręce na jej ramionach.

– Wykap się, zanim woda wystygnie, Elizabeth.

Odwróciła się gwałtownie.

– Dlaczego uważasz, że zrobię dla ciebie to, czego nie zrobiłam dotąd dla innych? Uciekłam z Larenston, ale najwyraźniej jesteś przekonany, że rzucę się w twoje ramiona tylko dlatego, że przyjechałeś. Cóż to za różnica, czy jestem więźniem MacGregora, czy Montgomerych? Jeśli mam być szczerą, wolę MacGregora!

Miles zacisnął zęby.

– Chyba już czas, byśmy wyjaśnili sobie parę spraw. Byłem dla ciebie uprzedzająco miły i niepospolicie cierpliwy. Nie powiedziałem słowa, gdy bez powodu skrzywdziłaś sir Guya. Dzielilem się z tobą własnym synem. Nie ingerowałem, gdy siałaś zamęt w klanie MacArranów. Załagodziłem urazę MacGregora. Pokój między klanami jest wciąż kruchy, a ty bezmyślnie naraziłaś na szwank to, co Stephen budował przez długi czas. Popatrz na siebie, Elizabeth! Cała jesteś we krwi, ubranie masz w strzępach i strasznie schudłaś. Myślę, że najwyższy już czas, by przestać ci ulegać, bo...

– Przestać mi ulegać?! – krzyknęła. – Nie chcę być więźniem, nie dociera to do ciebie? Jesteś głuchy czy ograniczony? Chcę wrócić do domu, do brata, i zrobię wszystko, by tego dokonać!

– Do domu! – wycedził Miles. – Czy w ogóle znasz znaczenie tego słowa? Gdzie nauczyłaś się miażdżyć ludziom stopy? Gdzie nauczyłaś się władać nożem? Gdzie przekonałaś się, że wszyscy mężczyźni są potworami? Gdzie cię nauczono uciekać przed każdym szelestem lub cieniem?

Elizabeth przez chwilę patrzyła na niego z trwogą.

– Edmund nie żyje – odparła wreszcie.

– Czy zawsze będziesz już żyła pod kloszem, Elizabeth? – wyszeptał, patrząc na nią czule. – Czy już zawsze będziesz widziała tylko to, co chcesz widzieć? – Westchnął ciężko ze smutkiem i wyciągnął do niej rękę. – Woda stygnie.

– Nie – powiedziała cicho. – Nie chcę się kąpać.

Powinna była się już oswoić z niewiarygodnym refleksem Milesa, lecz po raz kolejny nie była na to gotowa.

– Mam tego dość, Elizabeth – oświadczył i zdarł z niej mokry pled. – Byłem cierpliwy i miły, ale nadeszła pora nauki. Musisz się nauczyć ufności i posłuszeństwa. Nie zrobię ci krzywdy. Nigdy nie skrzywdziłem kobiety i nie

zamierzam beczynnie patrzeć, jak krzywdzisz sama siebie.

Rozerwał jej suknię, obnażając piersi. Elizabeth jęknęła i odskoczyła, krzyżując ręce na piersiach. Miles złapał ją bez trudu i odarł z resztek sukni. Nie zwracając najmniejszej uwagi na jej ciało, wziął ją na ręce i zaniósł do balii. Ostrożnie i powoli włożył pokaleczoną Elizabeth do wody. Namydlił myjkę i zaczął myć twarz Elizabeth.

– Tylko nie szarp się, bo mydło dostanie ci się do oczu – ostrzegł.

Milczała zawzięcie, gdy namydlał ją do talii, ciesząc się, że mydło choć częściowo zasłania rumieniec.

– Gdzie się tak potłukłaś? – zapytał, jakby nigdy nic, omijając myjką pokaleczone kolana Elizabeth.

Gorąca woda przyniosła jej ulgę i rozluźniła. Oparła się o balię, zamknęła oczy i opowiedziała mu o minionej nocy spędzonej na klifie. W połowie opowieści kielich z winem dotknął jej dłoni. Osuszyła go chciwie. Alkohol natychmiast uderzył jej do głowy. Sennym głosem dokończyła historię.

– Rab był przy mnie – dodała, dopijając drugi kielich. – Rozumiał, że nie chcę wracać do Bronwyn, ale nie wiedział przecież, że równie mocno nie chcę iść do jej przyjaciół.

Wino rozluźniło ją tak bardzo, że nawet nie czuła żalu do psa, MacGregora czy kogokolwiek innego.

– Miles? – zapytała z zaciekawieniem, nie zdając sobie nawet sprawy, że mówi do niego po imieniu. – Dlaczego nie krzywdzisz kobiet? Nigdy jeszcze nie spotkałam mężczyzny, który nie używałby przemocy, by postawić na swoim.

Miles delikatnie mył jej stopy.

– Wydaje mi się, że używam perswazji innego rodzaju.

Przez dłuższą chwilę milczeli. Elizabeth nie zdawała sobie sprawy, że Miles wciąż dolewał jej wina. Wypiła prawie cały dzbanek.

– Dlaczego zatem nie udało ci się rano przekonać własnego brata? A może to było wczoraj rano?

Miles zamrugał. Nigdy dotąd nie zadała mu tak osobistego pytania.

– Moi trzej starsi bracia to zakute łby. Gavin uważa się za Boga i nigdy nie słuchał nikogo. Raine wyobraża sobie, że jest męczennikiem za grzechy nas wszystkich.

– A Stephen? – zapytała, obserwując go spod rzęs. Czuła na sobie jego dłonie. Prawdę mówiąc, było to fantastyczne uczucie.

– Stephen udaje spolegliwego i skłonnego do kompromisu, ale w istocie zależy mu tylko na naginaniu wszystkich do własnej woli. Tylko dla Bronwyn od czasu do czasu zmienia zdanie. Biedaczka zawsze musi z nim walczyć, o najdrobniejsze sprawy. A on stroi sobie żarty z tego, co dla niej jest sprawą życia i śmierci.



Elizabeth zastanawiała się przez chwilę.

– A ty jesteś ich malutkim bratem. Na pewno zawsze cię pouczają i uważają za ofiarę losu.

– Ciebie bracia traktują tak samo? – szepnął Miles.

Wino i gorąca woda rozwiązały jej język.

– Roger uważa, że mam tylko ćwierć mózgu. Połowy brakuje, gdyż jestem kobietą, a ćwierci nie potrafi mi przyznać, bo pamięta mnie w pieluchach. Kiedy opowiedziałam mu, co mi robił Edmund, nie był pewny, czy mi wierzyć. A może po prostu nie mógł się pogodzić z tym, co wyprawiał jego własny brat.

– Do licha! – wykrzyknęła nagle, podrywając się na równe nogi. Celnym rzutem roztrzaskała kielich o ścianę. – Nie potrafię nawet być kobietą! Nawet nie wiesz, jak ciężko mi patrzeć na Bronwyn i twojego brata. Wciąż się razem śmieją i dotykają ukradkiem. Kiedy mnie ktoś dotyka...

Urwała z szeroko otwartymi oczami, jakby zrozumiała, gdzie tkwi problem.

– Kochaj mnie, Milesie Montgomery – zażądała żarliwie. – Odegnaj mój strach.

– Taki miałem zamiar – odparł chrapliwie, biorąc ją w ramiona.

Wargi Milesa dotknęły jej ust. Oddała mu pocałunek z furją, którą gromadziła w sobie przez lata. Czuła się oszukana. Okradziona z normalnego życia. Gdy inne dziewczęta uczyły się flirtować z chłopcami, jej brat urządzał wyścigi do jej łóżka i musiała się nauczyć używać noża, topora i pałki. Broniła zaciekle dziewictwa, i po co to wszystko? Żeby się zamknąć w klasztorze i tam dalej pielęgnować żal i lęk? W końcu stałaby się starą, zgorzkniałą i straszliwie samotną kobietą z kamiennym sercem.

Miles delikatnie odsunął się od niej. W zapamiętaniu kaleczyła sobie wargi o jego zęby, a nie mógł dopuścić, by robiła sobie krzywdę. Głaskał powoli jej mokre plecy, pieszcząc gładką skórę. Musnął czubkiem języka kącik jej ust i całował policzek, przesuwając się w stronę ucha. Elizabeth odchyliła głowę. Miles delikatnie przygryzał jej szyję i obojczyk. Być może właśnie dlatego nigdy nie pozwalała mężczyźnie się zbliżyć. Może w głębi serca zawsze wiedziała, że podda się od razu, bez walki, z rozkoszą.

– Miles – szepnęła. – Miles...

– Co tylko chcesz – mruknął, całując jej ucho.

Wyciągnął ją z balii i zaniósł na łóżko. Była mokra, oblepiona ociekającymi wodą włosami. Miles zaczął ją wycierać ręcznikiem. Ciało Elizabeth się zaróżowiło. Fale ciepła ogarniały ją od głowy do czubków palców. Chciała wciąż więcej i więcej. Miała całe lata dotykania do nadrobienia.

Nie zauważyła, kiedy Miles się rozebrał, ale nagle był przy niej nagi, smagły, pociągający.

– Jesteś moja, Elizabeth – powiedział, kładąc jej dłonie na swoim torsie. –

A ja jestem twój.

– Ależ jesteś kudłaty – zachichotała Elizabeth. – Jak niedźwiedź! – Wsunęła palce we włosy na jego piersi i pociągnęła ku sobie.

Miles położył się i przyciągnął jej różowomleczne ciało.

– Jak to będzie? – zapytała z niepokojem.

– Przez jakiś czas po prostu przyjemnie – uśmiechnął się. – A gdy staniemy się jednym ciałem, już nigdy nie będziesz się bała.

– Jednym ciałem... – szepnęła.

Miles zaczął całować jej szyję. Całował ją długo, zanim zaczął się przesuwając do smukłego ramienia. Zataczał językiem malutkie kółka po wewnętrznej stronie łokcia Elizabeth, budząc iskierki w czubkach jej palców.

Leżała bez ruchu, z rozrzuconymi rękami i nogami, poddając się jego palcom. Jego smukłe dłonie, które potrafiły dzierżyć miecz, chronić dziecko, prowadzić spłoszonego konia, teraz powoli, delikatnie rozpałały ogień w jej ciele.

Pogłaskał jej policzek. Złapała go za rękę i zaczęła całować dłoń, pieszcząc językiem każdy palec, lekko przygryzając skórę. Miles jęknął głucho.

– Elizabeth... Tak długo na ciebie czekałem.

Elizabeth doszła do wniosku, że ma już dość ciągłego oczekiwania. Instynktownie próbowała się wsunąć pod ciało Milesa, ale on się odsunął. Kiedy dotknął językiem jej piersi, prawie spadła z łóżka. Miles zachichotał. Czula jego śmiech w każdym zakamarku ciała. Miłość i śmiech, pomyślała. To właśnie Miles wniósł w jej życie.

I była to jej ostatnia myśl.

Miles uklęknął między jej nogami, objął dłońmi biodra i ścisnął je delikatnie, powoli wprowadzając ją w rytm. Złapała go w lot. Jej oddech przyspieszył, zacisnęła palce na ramionach Milesa. Otaczał ją cała, szczupły, muskularny, ciepły. Elizabeth czuła tylko jego ciało i poruszała się przy nim zmysłowo.

– Miles – szepnęła, wsuwając palce w jego włosy. Niezbyt delikatnie przyciągnęła go do siebie i zatopiła się w pocałunku, o jakim nigdy nawet nie śniła. Podciągnęła kolana i oplotła Milesa nogami. Wtedy wszedł w nią powoli, nieubłaganie, docierając do samego końca.

Nie czuła bólu. Była wilgotna, rozgrzana, tętniła pożądaniem. Miles zadrżał. Po chwili zaczął powoli poruszać się w rytmie, którego nauczył ją przed chwilą.

Kochali się nieśpiesznie, delikatnie i powoli. Elizabeth straciła kontrolę nad własnym ciałem, pogrążając się w oceanie żądy, jakiej się nie spodziewała. Miles wreszcie przyspieszył i w jednym oślepiającym błysku Elizabeth zadygotała, krzycząc.

– Ciiicho – szepnął Miles, głaszcząc jej skroń. – Cicho, mój aniele. Jesteś bezpieczna.

Wysunął się z niej i wziął ją w ramiona.

– Mój przyobiecany aniele – szeptał. – Aniele deszczu i burz.

Elizabeth nie miała pojęcia, o czym Miles bredzi, jednak rzeczywiście, być może po raz pierwszy w życiu, czuła się bezpieczna. Natychmiast zapadła w sen, wtulona w jego ciało tak ciasno, że prawie nie mogła oddychać.

\* \* \*

Obudziła się i przeciągnęła rozkosznie, piszcząc cicho, gdy naciągnęła obtarte kolana. Pierwsze, co ujrzała, to był suto zastawiony stół. W życiu nie była jeszcze tak głodna. Owinęła się pledem Bronwyn i podeszła do stołu.

Miała usta wypchane wędzonym łososiem, gdy do komnaty wszedł Miles. Elizabeth zastygła z dłonią w połowie drogi do ust, gdy zaczęła sobie przypominać szczegóły minionej nocy. Miles patrzył na nią z denerwującą pewnością siebie. Gniew zaczął kipieć w jej żyłach. Zanim jednak zdążyła przełknąć, Miles zaczął się bez słowa rozbierać.

Co on sobie wyobraża? Zakrztusiła się i zaczęła kaszleć. Doszła jednak do wniosku, że Miles ma pełne prawo wyobrażać sobie wszystko, czego tylko zapragnie. Po tym, jak się zachowywała w nocy, może myśleć o niej jak najgorzej. Wciąż jednak miała ochotę go spoliczkować.

Bez namysłu wyciągnęła dłoń ku stercie ciepłych drożdżówek z owocami. Uśmiechając się do Milesa, wzięła jedną i rzuciła celnie.

Miles nie spodziewał się takiego przywitania. Drożdżówka trafiła go w obojczyk, owoce rozbryznęły się i spłynęły po twarzy i torsie. Elizabeth wiedziała, że cokolwiek nastąpi za chwilę, widok twarzy Milesa był tego wart. Był absolutnie zszokowany. Zachichotała, zakrywając dłonią usta i rzuciła jeszcze dwie drożdżówki. Jedna trafiła Milesa w biodro, druga w krzesło. Miles spojrzał na nią beznamietnie, zrzucił resztę ubrania i ruszył w jej stronę.

Elizabeth poderwała się na równe nogi. Pled spadł na podłogę, gdy zaczęła energicznie ciskać w Milesa pozostałymi drożdżówkami. Nie miała pewności, ale zdawało jej się, że w szarych oczach Montgomery'ego dostrzegła żądze mordu.

Miles podchodził krok po kroku, uchylając się przed pociskami. Ciało miał umazane mieszaniną ciasta, brzoskwiń, wiśni, jabłek i śliwek. Wyglądał wspaniale. Smakował zapewne równie dobrze.

Stał przy stole, przesywając ją spojrzeniem. Nie śmiała drgnąć. Wyciągnął ku niej rękę. Wstrzymała oddech i w tym momencie soczysta wiśnia zsunęła się z jego włosów, potoczyła po twarzy i z pluskiem spadła na podłogę. Elizabeth zachichotała.

Miles z czułością wziął ją w ramiona.

– Ach, Elizabeth – szepnął. – Jesteś moją radością.

Pocałował ją w policzek. Zamknęła oczy i wróciła do niej fala wspomnień. Miles pochylił ją do tyłu i poddała mu się bez walki, ufając jego sile. Miał ją

w swej mocy. Wystarczył jeden dotyk i zaczynała drżeć.

Zamiast oczekiwanego pocałunku na twarz Elizabeth spadła nagle drożdżówka z brzoskwiniami. Słodki syrop spłynął jej do uszu. Krztusząc się, otworzyła oczy i spojrzała na Milesa. Zanim zdążyła się otrząsnąć, chwycił ją i posadził z impetem na talerzu pełnym ciasta. Sok owocowy zabulgotał między jej udami i rozprysnął się po plecach. Kawałki brzoskwiń spływały po policzkach, mokre od soku włosy oblepiły ramiona.

Elizabeth otarła dłonie z grymasem obrzydzenia. Niestety, nie osiągnęła wiele. Zjadła dwa plasterki jabłka przyklejone do nadgarstka.

– Stanowczo za słodkie – stwierdziła, patrząc na Milesa. – Powinniśmy wezwać kucharkę.

Nagie ciało Milesa zdradzało, że nie w głowie mu teraz sprzeczki z kucharką. Elizabeth otworzyła szeroko oczy w udawanym przerażeniu. Nie było łatwo zachować godność, siedząc na stosie ciasta. Rozpostarła szeroko ramiona i z uśmiechem objęła lepkiego kochanka. Całując jego szyję, zakrztusiła się pestką i zaczęli się śmiać. Miles z głośnym mlaskaniem pożerał kawałki jabłek z jej czoła i skubał śliwki przyklejone do jej talii. Chwycił ją, rozrzucając naczynia obrócił się na plecy i posadził Elizabeth na swej wyprężonej męskości. Już się nie śmiali. Z zapamiętaniem oddali się miłości, zmieniając kilka razy pozycje i kończąc z Milesem na plecach.

Przez dłuższą chwilę Elizabeth leżała na nim nieruchomo, wyczerpana tak bardzo, że miała wrażenie, iż umrze. Na szczęście Miles znalazł w sobie siłę. Z jękiem podniósł się ze stołu, odkleił od pleców miszkę, w której wcześniej był sos, i rzucił naczynie na podłogę.

Elizabeth podrapała się po udzie.

– Wyglądasz jak siedem nieszczęść, Milesie Montgomery – powiedziała z uśmiechem, strzepując kawałki jajka z jego włosów.

– Ty też się nie nadajesz do sali balowej – jęknął, rozcierając ślady po widelcu na biodrze.

– Co o tym wszystkim pomyśli MacGregor – zatroskała się Elizabeth. Usiadła po turecku na stole, rozglądając się po komnacie. Ściany, meble i podłogi pokryte były resztkami jedzenia, stół wyglądał, jakby przetoczył się po nim oddział ciężkiej jazdy, nie licząc kilku nietkniętych naczyń na samym krańcu. Elizabeth na czworakach podpełzła do nich, piszcząc dziko, gdy Miles trzepnął ją po pośladkach. Nałożyła do miseczki trochę kurczaka z migdałami i znalazła kawałek w miarę czystego chleba.

– Wciąż jesteś głodna? – uśmiechnął się Miles.

– Jak wilk. – Odkleiła łyżkę z łopatką Milesa i zaczęła ze smakiem jeść potrawkę. Miles spojrzał na nią błagalnie, więc nakarmiła także jego. – Nie przyzwyczajaj się do tego – burknęła, wkładając kolejną łyżkę potrawki do jego

ust.

Miles uśmiechnął się lekko i pocałował Elizabeth w rękę.

Na szczęście znaleźli na stole sporo niezmiądzzonego jedzenia. Zaglądając pod obrus, Elizabeth znalazła nawet całą pieczoną perliczkę. Miles odmawiał samodzielnego jedzenia, karmiła go więc z poświęceniem, odrywając kawałki mięsa od kości.

– Jesteś bezużyteczny – oświadczyła, drapiąc się po plecach. Sok zasechł na jej ciele, włosy zaczynały przypominać skorupę.

– Wiem, czego ci trzeba – mruknął Miles, całując jej ramię.

– Nie zamierzam słuchać twoich rad, Milesie Montgomery! – ostrzegła. – Wczoraj upiłeś mnie, moczyłeś godzinami w balii, a teraz to! – Nie potrafiła znaleźć słów, by opisać panujący wokół bałagan. – Do diabła! Czy nie potrafisz zachowywać się normalnie?

– Nie – potwierdził łagodnie. Wstał powoli i zaczął się ubierać. – Niedaleko jest jezioro. Popływamy?

– Nie umiem pływać.

Podniósł ją ze stołu.

– Nauczę cię – powiedział tak kuszącym tonem, że Elizabeth roześmiała się głośno.

– Pod wodą? – zapytała zaczepnie, zakładając prędko tartanową spódnicę, za dużą koszulę i owijając się pledem Bronwyn. Każda część jej ubrania była w innym kolorze.

– Wyglądam tak samo źle jak ty? – zapytała, wytrząsając jedzenie z włosów.

– Gorzej. Ale nikt nas nie zobaczy.

Podszedł do gobelinu, odsunął go i pokazał jej wąskie schodki wykute w grubej ścianie. Mrugnął do Elizabeth, wziął ją za rękę i poprowadził do wyjścia.

*Rozdział  
dziesiąty*

Dwie godziny później byli już wykąpani i Miles suszył Elizabeth pledem.

– Całkiem przydatny kawał koca, nie sądzisz? – mruknęła, owijając się szczelnie. Szkockie lato nie nastrajało do biegania na golasa.

– Szkoci mają wiele zalet. Przekonasz się, jeśli tylko dasz im szansę.

Elizabeth wykręciła włosy.

– Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, co myślę o Szkotach? Rozumiem twoją potrzebę zaciągnięcia mnie do łóżka, ale nie pojmuję, dlaczego wciąż próbujesz mnie... nawracać.

– Elizabeth, gdybym chciał tylko się z tobą przespać, wziąłbym cię już pierwszego dnia.

– Miałam topór – odszczeknęła.

Miles spojrzał na nią zaskoczony i wybuchnął śmiechem.

– Ty i twój topór! Och, Elizabeth, nie zdajesz sobie sprawy, jak rozkosznie wyglądałaś z jedną nogą wystającą spod peleryny i rozpuszczonymi włosami. Byłaś...

– Nie śmiej się ze mnie – wtrąciła. – Dla mnie to wcale nie było śmieszne. Zresztą nadal mogę ci uciec.

Miles spoważniał i pociągnął ją ku sobie.

– Nie chcę nigdy więcej przeżyć takiej nocy. Rab zaginął, znaleźliśmy martwe wilki, a klacz, na której uciekłaś, wróciła, rżąc wściekle. Bałem się, że spadłaś z urwiska.

Trzymał ją tak mocno, że zaczęła się dusić. Odepchnęła go i spojrzała ze zmarszczonymi brwiami. Zawsze sądziła, że znienawidzi mężczyznę, który odbierze jej dziewictwo, lecz nie potrafiła nienawidzić Milesa. Czuła rosnące między nimi czułość i bliskość. Jak gdyby od zawsze byli razem i na zawsze mieli już razem pozostać.

– Czy to zawsze tak wygląda? – zapytała, patrząc na drzewa.

Miles nie odpowiedział od razu.

– Nie – szepnął tak cicho, że ledwie go usłyszała.

Wiedziała, że zrozumiał jej pytanie. Być może kłamał, być może jutro znów będzie jej wrogiem, lecz nie w tej chwili.

– Nie znałam takich dni, dopóki żył mój brat – zaczęła i nie mogła się dłużej powstrzymać. Choć walczyła z Milesem od pierwszej chwili, wiedziała już, że w rzeczywistości nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. A już zwłaszcza nie takie, z jakim się zżyła w rodzinnym domu. Dopiero w ostatnich dniach poznała, czym jest życzliwość. Miłość między małżonkami. Miłość ojca do syna. Prawdziwa

miłość, która nie oczekuje niczego w zamian.

Nie mogła w takiej chwili przerażać Milesa opowieściami o Edmundzie. Opowiedziała mu więc o więzi z Rogerem i Brianem. Roger był bardzo młody, gdy odeszli rodzice, i z trudem oparł się roli, jaką narzucał mu Edmund. Robił wszystko, by chronić młodsze rodzeństwo, jednak chciał także żyć własnym życiem. Za każdym razem, gdy tracił czujność, Edmund odbierał Elizabeth z klasztoru i zwoływał znajomych. Roger śpieszył z pomocą i w udrękach poczucia winy ponownie składał śluby, że będzie chronił Elizabeth i Briana. Lecz Edmund za każdym razem potrafił go przechytrzyć.

– Roger nigdy nie miał w życiu nikogo bliskiego, tylko nas – westchnęła Elizabeth. – Ma dwadzieścia siedem lat, a nigdy nie był zakochany, nie starał się o dziewczynę. Był stary, zanim skończył dwanaście lat.

– A ty? – zapytał Miles. – Nie zasłużyłaś na odrobinę śmiechu?

– Śmiechu – westchnęła. – Nie pamiętam, bym śmiała się kiedykolwiek w życiu, dopóki pewien młodzieniec nie stoczył się ze mną z pagórka.

– Kit to fantastyczny dzieciak – stwierdził z dumą Miles.

– Kit? To był ktoś nieco starszy. Nawet staczając się z pagórka, miał przypasany miecz.

– Zauważyłaś? – uśmiechnął się, zakładając jej kosmyk włosów za ucho.

Milczeli przez chwilę. Elizabeth patrzyła na niego z zakłopotaniem.

– Nie jesteś porywaczem, Milesie – stwierdziła w końcu. – Widziałam cię już w towarzystwie kobiet i mężczyzn i wiem, że jesteś dobrym człowiekiem. Dlaczego nie chcesz mnie wypuścić? Czy to dlatego że mam tyle... lęków? – zapytała z ociąganiem.

Miles zastanawiał się długo.

– Od urodzenia uwielbiałem towarzystwo kobiet. Najbardziej na świecie lubiłem leżeć z piękną kobietą w ramionach. Moi bracia uważają, że to mi ujmuje męskości, ale ja uważam, że nie mają racji. W tobie, Elizabeth, dostrzegłem coś, czego nie widziałem nigdy wcześniej. Nienawiść do mężczyzn i gniew. Moja bratowa Judith mogłaby pewnie rządzić całą Anglią, ale potrzebuje miłości i wsparcia mojego brata. Bronwyn kocha ludzi i pewnie nagięłaby każdego do swojej woli, ale nie wierzy we własne siły i potrzebuje upartej wiary Stephena.

Milczał przez chwilę.

– Ty, Elizabeth, jesteś inna. Prawdopodobnie mogłabyś żyć zupełnie sama i nie wiedziałabyś nawet, że coś cię omija.

– Dlaczego więc... – zacięła się. – Po co mnie trzymać? Pewnie jakaś łagodna, posłuszna kobieta bardziej by do ciebie pasowała.

Uśmiechnął się.

– To wina namiętności, Elizabeth. Jestem pewny, że jesteś najbardziej zmysłową kobietą na świecie. Nienawidzisz z pasją i pewnie z taką samą pasją

mogłabyś kochać.

Chciała się odsunąć, ale przygwoździł ją do ziemi.

– Kocha się tylko raz w życiu – powiedział. – Możesz tę miłość w sobie więzić, ale gdy już się poddasz, żadna siła na ziemi i w niebie nie zdoła jej zetrzeć.

Leżała w bezruchu, wpatrując się w jego oczy.

– Chcę być tym mężczyzną – wyznał cicho. – Chcę znacznie więcej niż twego ciała, Elizabeth Chatworth. Chcę twej miłości, duszy i życia.

Pochylił się, by ją pocałować, lecz odwróciła głowę.

– Nie żądasz zbyt wiele, Montgomery? Dostałeś już więcej, niż dałam komukolwiek. Nie sądzę, bym miała jeszcze cokolwiek do oddania. Moja dusza należy do Boga. Życie należy do mnie. A miłość do mojej rodziny.

Wstał i zaczął się ubierać.

– Zapytałaś, dlaczego cię trzymam, a ja ci odpowiedziałem. Teraz wrócimy do zamku i spotkasz się z MacGregorami. MacGregor jest na ciebie wściekły i będziesz musiała go przeprosić.

Nie podobał jej się ton Milesa.

– Jest także przyjacielem MacArranów, krewnych moich wrogów, Montgomerych – uśmiechnęła się słodko. – Miałam pełne prawo próbować się bronić.

– Prawda – zgodził się, rzucając jej ubranie. – Ale jeśli nie uspokoisz MacGregora, między klanami może nastąpić kolejny rozłam.

Elizabeth ubierała się starannie.

– Nie podoba mi się to – mruknęła. – Nie wejdę do sali pełnej mężczyzn bez żadnej broni.

– Elizabeth – cierpliwie tłumaczył Miles. – Nie możesz wszędzie chodzić z toporem. Poza tym Szkoci mają kilka własnych pięknych kobiet. Być może nie będą aż tak porażeni twą urodą, by całym zastępem rzucać się na ciebie w miejscu publicznym.

– Nie o to mi chodziło! – krzyknęła, odwracając się plecami. – Musisz się ze mnie wyśmiewać?

Miles położył czoło na jej ramieniu.

– Nie śmieję się z ciebie. Powinnaś jednak zacząć zdawać sobie sprawę z tego, co jest normalne, a co nie. Będę cały czas przy tobie, by cię chronić.

– A kto ochroni mnie przed tobą?

Miles pogłaskał owal jej piersi.

– Będziesz zachwycona tym, że nikt cię już przede mną nie ochroni.

Elizabeth odepchnęła go i ubrała się w milczeniu.

\* \* \*

Plan Milesa był dla niej koszmarem. Montgomery zacisnął palce na jej



łokciu, aż syknęła z bólu, i praktycznie zmusił, by uścisnęła dłoń każdemu MacGregorowi w wielkiej sali. Gdy skończyli powitanie, opadła na krzesło i roztrzęsioną dłonią uniosła do ust kielich wina. Pochwalił ją, jakby była psem, który świetnie wykonał sztuczkę. Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi. Miles roześmiał się i ucałował koniuszki jej palców.

– Teraz będzie już tylko lepiej – powiedział z uśmiechem.

Miał rację. Z czasem było jej coraz łatwiej, ale to zajęło wiele dni. Miles nie opuszczał jej na krok. Nie pozwalał zostać w tyle, by mogła mieć wszystkich na oku, i ciągnął ją zawsze w sam środek tłumu. Jeździli na polowania i pewnego razu Elizabeth oddzieliła się od pogoni. Gdy Miles ją odnalazł, stała jak skamieniała w otoczeniu kilku MacGregorów żartujących z niej dość rubasznie. Miles usadowił ją na swoim siodle, tulił i kołysał, a kiedy to nie pomogło, kochał się z nią pod młodą brzošką.

Był tylko jeden mężczyzna w zamku MacGregorów, przed którym Miles musiał ją przestrzec: Davy MacArran, brat Bronwyn. Montgomery pałał do niego gorącą nienawiścią, twierdząc, że o mało nie zamordował własnej siostry.

– Pomijając wszelkie wady moich braci, wiem, że oddaliby własne życie, by mnie ratować. Nie rozumiem, jak można występować przeciwko własnej rodzinie.

– Przecież tego właśnie ode mnie oczekujesz – prychnęła Elizabeth. – Chcesz, bym zdradziła braci i oddała ci duszę i ciało.

Miles spojrzał na nią z rozdrażnieniem i bez słowa opuścił komnatę.

Elizabeth podeszła do okna, żeby popatrzeć na kręcących się po dziedzińcu rycerzy. Czuła się bardzo dziwnie, wiedząc, że mogłaby zejść do nich i nikt nie próbowałby jej atakować, a nawet dokuczać. Nie musiała się więcej bać, że będzie musiała walczyć o własne życie. Nie miała potrzeby sprawdzać tej wiedzy w praktyce. Sama świadomość sprawiała jej ogromną przyjemność.

MacGregor przeciął dziedziniec pewnym krokiem, wysoko unosząc głowę, i Elizabeth uśmiechnęła się pod nosem. Nie zdążył wyleczyć jeszcze ran po walce z Bronwyn, gdy nieomal dostał cięgi od kolejnej dziewczyny. Kiedy stanęła przed nim po raz pierwszy, odwrócił głowę i nie chciał nawet na nią spojrzeć. Nigdy wcześniej nie doświadczyła tak kompletnego braku zainteresowania i wzgardy. Zanim zorientowała się, co robi, miłymi słówkami i uśmiechami owinęła go sobie wokół palca. MacGregor kochał piękne kobiety i był wystarczająco dojrzały, by zacząć wątpić w swoje powodzenie u płci niewieściej. Elizabeth udowodniła mu, że wciąż może odnaleźć radość w rozmowie z młodą dziewczyną.

Miles patrzył na nią z rozdrażnieniem.

– Prędko zmieniłaś się z zastraszonego króliczka w kuszącą uwodzicielkę.

– Naprawdę dobrze mi poszło? – zapytała, trzepocząc rzęsami. – Lachlan MacGregor jest wdowcem, może mogłabym...

Nie dokończyła. Miles zamknął jej usta pocałunkiem tak gwałtownym, że

prawie popękały jej wargi. Przyciskając palce do ust, patrzyła w uśmiechem, jak Miles odchodzi do głębi urażony. Zaczynała wierzyć, że ma władzę nad Milesem Montgomerym, jednak nie wiedziała jeszcze, jak może ją wykorzystać.

Na dziedziniec wpadł znieczeka jeździec w barwach MacArranów. Rycerze MacGregora ukradkiem podnieśli dłonie do mieczy. Miles wyłonił się zza kamiennej strażnicy i rozmawiał chwilę z jeźdźcem.

Elizabeth westchnęła i zaczęła zbierać rzeczy. Czuła, że muszą jechać.

Po chwili Miles wrócił do komnaty. Spostrzegł, co robi Elizabeth, i zaczął jej pomagać.

– Gavin przyjechał do Larenston.

– Z Rogerem? – zastygła z aksamitną peleryną w dłoniach.

– Nie. Twój brat uciekł.

Spojrzała mu w twarz.

– Jest cały i zdrowy?

Miles spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Przecież nikt go tam nie torturował. – Ujął jej dłonie. – Elizabeth...

Wyrwała się.

– Może któraś ze ślicznotek MacGregora pomoże ci zebrać fatalaszki? – rzuciła, uciekając przez ukryte schody.

Łzy pociekły jej po policzkach. Potknęła się w ciemnościach i z trudem utrzymała równowagę. Krztusząc się płaczem, opadła na kamienne schodki. Kilka szczurów uciekło z głośnym piskiem.

Trzęsła się cała od łkania, wiedząc doskonale, że nie ma powodu do łez. Jej brat nie jest już w niewoli i nie stała mu się żadna krzywda. Przyjechał Gavin Montgomery i zmusi młodszego brata do uwolnienia jej i pewnie jutro o tej samej porze będzie już w drodze do domu. Nie będzie już musiała ścisnąć się z obcymi facetami. Nie będzie dłużej więzieniem. Będzie mogła wrócić do domu, do rodziny.

Ktoś schodził ku niej po schodach. Wiedziała, że to Miles, i odruchowo wyciągnęła do niego ręce. Chwycił ją tak mocno, że zatrzęszczały jej zębra. Objęła go ramionami i przywarła rozpaczliwie. Byli jak dzieci kryjące się w szafie przed rodzicami, przerażone tym, co ma nadejść jutro, trzymające się kurczowo ostatniej chwili.

Nie zważali na kurz, pył i czerwone oczy jarzące się w mroku. Miles wpił się w nią ustami, rozpinając ubranie. Elizabeth nie знаła jeszcze takiej gwałtownej miłości. Do tej chwili Miles był bardzo delikatny, lecz gdy wbiła paznokcie w jego plecy, odpowiedział równie zażarcie. Schody wbijały się jej w plecy, gdy uniósł jej biodra i pchał z dziką pasją. Elizabeth zaparła się dłońmi o brudne stopnie i unosiła ku niemu biodra z siłą, jakiej jeszcze u siebie nie znała.

Zadygotali jednocześnie i opadli na schody, tuląc się do siebie rozpaczliwie. Miles pierwszy doszedł do siebie.

– Musimy iść – wyszeptał ze znużeniem. – Czekaają na nas.  
– Rozumiem. Brat cię wzywa.  
– Nie bój się Gavina, Elizabeth.  
– Jeszcze nigdy Chatworth nie bał się Montgomery’ego i... – zachłysnęła się Elizabeth, lecz Miles zamknął jej usta pocałunkiem.

– Nareszcie cisza – roześmiał się. – Jeśli jesteś w stanie utrzymać ręce przy sobie, może damy radę dojechać do Larenston.

– Ty! – Elizabeth usiłowała go uderzyć, lecz Miles wbiegł już po schodach do komnaty. Wstała, posykując i rozcierając posiniaczone ciało. Wyłoniła się zza zasłony, podpierając obolałe plecy.

Miles zachichotał.

– Dlaczego to kobiety zawsze muszą być pod spodem? – jęknęła i urwała gwałtownie na widok MacGregora rozpartego na krześle.

– Chciałem właśnie wyrazić nadzieję, iż podobał ci się pobyt w moim zamku, lady Elizabeth.

Oczy starszego mężczyzny błyszcząły tak wesoło, że Elizabeth spuściła wzrok i zajęła się pakowaniem z taką zapalczywością, iż nie słyszała, jak podszedł. Kiedy położył jej dłonie na ramionach, wstrzymała oddech, lecz Miles ścisnął jej dłoń ostrzegawczo.

– My naprawdę bardzo się cieszymy z twojej wizyty, Elizabeth – powiedział MacGregor, odpinając kościaną zapinkę z jej ramienia i wpinając na to miejsce ciężką srebrną z herbem rodziny.

– Dziękuję – szepnęła Elizabeth i ku zdumieniu wszystkich pocałowała MacGregora w policzek.

Miles uścisnął jej dłoń i spojrzał w oczy z radością.

– Odwiedz mnie znów, kochana. – MacGregor siąknął nosem.

– Na pewno – odparła z uśmiechem Elizabeth.

Poszli razem na dziedziniec. Elizabeth spojrzała z ciekawością na zgromadzonych rycerzy i doszła do wniosku, że będzie za nimi tęskniła. Z własnej woli podała dłoń kilku strażnikom. Miles szedł tuż obok, czuła przy sobie jego czujną obecność. Jednak teraz lęk przed mężczyznami nie był już tak obezwładniający. Umiała nad nim zapanować.

Dosiadła konia i pomachała wszystkim na do widzenia. Tuż za nią jechali ludzie Bronwyn. Byli obcy i nie czuła się z nimi spokojna. Ukradkiem otarła łzę. Nie chciała opuszczać miejsca, któremu nauczyła się ufać. Miles złapał ją za rękę.

– Pamiętaj, że jestem przy tobie.

Pokiwała głową i popędziła konia.

Miała ochotę zapytać Milesa, jak długo pozostanie przy jej boku. Słyszała wiele opowieści o Gavinie Montgomerym. Był chciwym, zdradzieckim tyranem. Alice Chatworth straciła przez niego rozum. I był głową rodziny. Z całym

szacunkiem dla odwagi i samodzielności Milesa, musiała pamiętać, że ma on zaledwie dwadzieścia lat, i to Gavin sprawuje władzę w rodzie. Czy Gavin każe ją odesłać, czy raczej użyje jej do rozegrania własnej gry przeciwko Chatworthom? Miles wiele razy powtarzał, że Roger zabił Mary Montgomery. Czy Gavin będzie chciał wykorzystać okazję i pomścić siostrę?

– Co knujesz, Elizabeth? – zapytał Miles.

Nie odpowiedziała. Z wysoko podniesioną głową wjechała na dziedziniec Larenston.

Miles pomógł jej zsiąść z konia.

– Czuję, że mój starszy brat jest w środku i nie może się już doczekać, kiedy dostanie mnie w swoje ręce – szepnął z uśmiechem.

– Jak możesz się z tego śmiać?

– Śmiech jest jedyną bronią przeciwko starszym braciom – odparł poważnie.

– Przyjdę do ciebie za chwilę.

– Nie – pokręciła głową. – Idę z tobą.

Miles przez chwilę wpatrywał się w jej twarz.

– Czyżbyś chciała mnie chronić przed Gavinem?

– Jesteś dobrym, łagodnym człowiekiem, a on...

Miles roześmiał się tak głośno, że spłoszył konie. Ucałował ją w policzek.

– Jesteś niemożliwa. Chodź zatem i chroń mnie. Będę miał oko na stopy Gavina.

Gavin, Stephen i sir Guy czekali w gabinecie. Gavin był równie wysoki jak Miles, jednak rysy miał ostre i zagniewane.

– Czy to Elizabeth Chatworth? – zapytał przez zaciśnięte zęby. – Odeślij ją. Guy, wyprowadź dziewczynę.

– Elizabeth zostaje – zimno oświadczył Miles, nie zaszczycając spojrzeniem żadnego z braci. – Usiądź, Elizabeth.

Usłuchała i zatopiła się w fotelu.

Gavin obrzucił ją wściekłym spojrzeniem. Miles ze spokojem napełnił puchar winem.

– Niech cię piekło pochłonie, Milesie! – zawył Gavin. – Wchodzisz tu jak księżę, jakbyś nie wywołał wojny między rodami, i przyprowadzasz tę... tę...

– Damę – podsunął Miles ostrzegawczym tonem.

– Jeśli kiedykolwiek była damą, to teraz już nie jest.

Oczy Milesa pociemniały i jego dłoń bezwiednie sięgnęła po miecz. Sir Guy chwycił go za ramię.

– Gavinie – wtrącił się Stephen. – Nie masz prawa obrażać moich gości. Mów, co masz do powiedzenia.

Gavin podszedł do Milesa.

– Zdajesz sobie sprawę, na co naraża całą rodzinę twoja romantyczna

wycieczka? Raine nie może wytknąć nosa z lasu, a ja spędziłem ostatnie tygodnie w towarzystwie tej kreatury Rogera Chatwortha, robiąc wszystko, by uratować twój nędzny tyłek.

Elizabeth spodziewała się, że Miles wybuchnie. Przecież wyjęcie Raine'a spod prawa nie było ich winą. Jednak on tylko stał spokojnie, patrząc Gavinowi w oczy. Gavin spazmatycznie zaciskał szczęki.

– Oddasz mi ją, a ja zawiozę ją do brata. Miałem nadzieję, że sam zmądrzejesz, ale widzę, że nie ma na co liczyć. Pewnie odebrałeś jej wianek i będę musiał za to słono zapłacić, ale...

– Ty czy Judith? – zapytał lodowatym tonem Miles, odwracając się plecami.

W komnacie zapadła cisza tak ciężka, że Elizabeth wstrzymała oddech.

– Dość tego! Uspokójcie się obaj! – krzyknął Stephen. – Gavinie, na litość boską, daj spokój! Wiesz, jaki Miles jest drażliwy na punkcie swoich kobiet. A ty, Milesie, przestań go denerwować. Trzymał Chatwortha pod kluczem, żeby dać ci czas na uwolnienie lady Elizabeth, możesz sobie więc wyobrazić, jaki był... rozczarowany, gdy Chatworth uciekł, a ty nadal ją więziłeś. Oddaj ją pod opiekę Gavina i wszystko skończy się dobrze.

Elizabeth znów wstrzymała oddech. Czuła, że Gavin wpatruje się w nią z dezaprobatą. Odpowiedziała mu jednym z własnych wyniosłych spojrzeń.

– Nie oddam jej – powiedział miękko Miles.

– Co takiego?! – ryknął Gavin. – Czy rodzina nic dla ciebie nie znaczy? Zaryzykujesz dobrym imieniem naszego rodu i chwalebną historią wielu pokoleń, żeby rozłożyła dla ciebie nogi?

Gavin nie spodziewał się pierwszego uderzenia. Otrząsnął się jednak i runął na Milesa jak jastrząb.

*Rozdział  
jedenasty*

Stephen i sir Guy musieli użyć całej siły, by rozdzielić braci.

Pierwszy uspokoił się Gavin. Odepchnął ramię Stephena, podszedł do okna i gdy po chwili się odwrócił, był już opanowany.

– Odeślij lady Elizabeth – powiedział cicho.

Sir Guy wypuścił Milesa, a ten skinął głową Elizabeth. Chciała zaprotestować, lecz poczuła, że to nie jest odpowiednia pora. Była pewna, że Miles nie odda jej bratu. Wyszła bez słowa.

Gdy byli już sami, Gavin opadł na fotel.

– Brat przeciwko bratu – wycedził. – Chatworth skakałby z radości. Stephenie, nalej mi wina.

Wypił wino duszkiem.

– Król Henryk nakazał mi zakończyć waśń pomiędzy naszym rodem i Chatworthami. Przysięgałem, że nasza rodzina jest niewinna. Raine zaatakował Chatwortha tylko w obronie Mary, wiem też, że to nie ty porwałeś Elizabeth.

Gavin westchnął ciężko. Był przyzwyczajony do prawienia kazań młodszemu bratu. Wyciągnięcie choćby słowa z Milesa było gorsze od rwania zębów.

– Czy Elizabeth opowiedziała ci o młodej śpiewaczce, z którą była, gdy Pagnell zawiązał ją w derkę? Powinieneś ją o to zapytać. Ta śpiewaczka niedawno wyszła za Raine'a.

Miles otworzył szerzej oczy.

– Ha! – prychnął Gavin. – Jakaś reakcja.

– Gavinie – zmitygował go Stephen. – Żona Raine'a jest w to wszystko wplątana?

– Pagnell schwytał ją na jakimś weselu i zamknął w lochach, a Elizabeth zdołała ją uwolnić, lecz sama wpadła w jego łapy. I w ramach żartu trafiła pod skrzydła naszego lubieżnego braciszka. Na litość boską, dlaczego jej nie odesłałeś, gdy tylko dowiedziałeś się, kim jest?

– Tak jak on odesłał naszą siostrę? – zapytał Miles drwiąco. – Od kiedy jesteś posłańcem pokoju?

– Odkąd moja rodzina rozpada się na strzępy przez tę waśń. Nie wpadłeś na to, że król będzie miał coś do powiedzenia? Już ukarał Raine'a i wyjął go spod prawa. Jak myślisz, co zrobi z tobą, gdy się dowie, że ją porwałeś i trzymałeś przez tyle tygodni?

– Milesie – wtrącił Stephen – Gavin martwi się o was oboje. Wiem, że jesteś do niej przywiązany, ale to o wiele większy problem, niż ci się wydaje.

– Elizabeth zasługuje na normalne życie. Nie możemy jej odesłać do tego piekła – stwierdził Miles.

Gavin jęknął i złapał się za głowę.

– Za dużo czasu spędzasz z Raine’em. Cokolwiek myślisz o Chatworthach, Roger zawsze postępował zgodnie ze swoimi przekonaniem. Spędziłem z nim sporo czasu i...

– I znasz już wersję Chatworthów – dokończył Miles. – Nie odeślę jej i nikt mnie do tego nie przekona. To moja kobieta. A teraz wybaczcie mi na chwilę, chcę się zobaczyć z Bronwyn.

\* \* \*

Choć Elizabeth była pewna, że Miles jej nie odda, nie przestawała krążyć po komnacie. W duchu przeklinała samą siebie. Owszem, chciała zostać w Szkocji. Chciała zamieszkać w miejscu, w którym nie musiała się już bać. Roger zaś był w Anglii. Drogi, opiekuńczy, wściekły na wszystko Roger. Pewnie szuka jej po całym kraju. Miała szczerą nadzieję, że nigdy jej nie znajdzie.

– Jeszcze tylko trochę – szeptała do siebie. – Jeszcze choćby miesiąc. Wtedy nawet sama stąd odejdę i resztę życia spędzę na wspomnianiu Szkocji i marzeniu o niej.

Była tak zaabsorbowana myślami, że nie słyszała, jak otworzyły się drzwi. Na dźwięk kroków odwróciła się gwałtownie, gotowa do walki.

– Czy... podobało ci się u MacGregorów, lady Elizabeth? – wyjąkał Kit, zaniepokojony furją wymalowaną na jej twarzy.

Elizabeth uśmiechnęła się, uklękła i otworzyła ramiona. Kit podbiegł ku niej z radością.

– Okropnie za tobą tęskniłam, Kit – szepnęła ze ściśniętym gardłem. Po długim uścisku chwyciła go za ramiona. – Mieszkałam w ogromnej komnacie z tajnym przejściem za gobelinem, wiesz? I urządziliśmy z twoim tatą bitwę na ciasto! I kapaliśmy się w bardzo zimnym jeziorze.

– Bronwyn dała mi kucyka – odparł Kit. – A wujek Stephen uczy mnie na nim jeździć. Bitwę na jakie ciasto? – Pochylił się ku niej i szepnął głośno: – Zdenerwowałaś tatusia?

– Nie – uśmiechnęła się Elizabeth. – Nie zdenerwował się nawet, gdy trafiłam go prosto w twarz drożdżówką z wiśniami. Chodź, opowiem ci, jak pies Bronwyn uratował mnie przed wilkami.

Jakiś czas później Miles odnalazł ich śpiących słodko, wtulonych w siebie nawzajem. Przez chwilę stał nad nimi. Słyszac stłumione rzenie i stukot kopyt na dziedzińcu, domyślił się, że Gavin odjeżdża. Westchnął i pocałował czoło Elizabeth.

– Dam ci więcej dzieci, aniele – mruknął. – Chcesz się założyć?

\* \* \*

– Nie ma mowy – oświadczyła Elizabeth i zacisnęła wargi. – Wiesz, że dotąd robiłam wszystko, co mi kazałeś, ale moja cierpliwość się wyczerpała. Nie będę siedziała tu sama, podczas gdy ty będziesz ganiał po lesie!

– Elizabeth – uśmiechnął się Miles – jadę tylko na polowanie, a ty wcale nie będziesz sama. Wszyscy MacArranowie...

– MacArranowie! – prychnęła. – Zostawiasz mnie wśród wszystkich tych mężczyzn na trzy dni! Nie zgadzam się, jadę z tobą.

– Wiesz doskonale, że byłbym szczęśliwy, mając cię u swego boku, mimo to uważam, że powinnaś zostać. Nadejdą jeszcze chwile, gdy nie będę mógł być przy tobie, i musisz się nauczyć... – Urwał, gdy odwróciła się do niego plecami.

– Nie potrzebuję cię, Montgomery. Ani żadnego innego.

Miles dotknął jej ramienia, lecz Elizabeth się odsunęła.

– Kochana, przeszliśmy już zbyt wiele, by to mogło stanąć między nami. Uważam, że powinnaś zostać z Kitem i drużyną Bronwyn, i postarać się zwalczyć kolejne lęki. Jeśli sądzisz, że nie dasz rady, po prostu mi powiedz i zabiorę cię ze sobą. Będę na dole.

Elizabeth nawet nie spojrzała, jak Miles opuszcza komnatę. Od wizyty Gavina minęły prawie dwa miesiące i w tym czasie zdążyła poznać, czym jest szczęście. Spędzała z Milesem i Kitem długie, wspaniałe dni. Jeździli na wycieczki, bawili się w śniegu, śmiali bez opamiętania. Gdy cała rodzina zgromadziła się wokół świątecznego stołu, Elizabeth ze wzruszenia ledwie powstrzymywała łzy.

Bronwyn stała się dla niej przykładem i wzorem. Jeździły razem po okolicy, odwiedzały farmy i samotne chaty. Kilka razy wpadała w panikę, raz nawet wyciągnęła nóż na farmera, który podszedł do niej za blisko, jednak Bronwyn szybko ją uspokoiła. Początkowa niechęć gdzieś się ulotniła. Bronwyn uznała Elizabeth za młodszą siostrę, nie za rywalkę. Gdy zaczęła wydawać jej polecenia, jak innym domownikom, Stephen i Miles odetchnęli z ulgą. Bronwyn wiele razy prosiła, by Elizabeth znów jej opowiedziała, jak niemal spadła z klifu. Nie wiadomo dlaczego, bardzo ją to śmieszyło.

Rab przyzwyczał się, że ma teraz dwie panie, lecz często uciekał w noc. Stephen twierdził, że to z tchórzostwa, za co dostawał burę od Elizabeth i Bronwyn.

Z każdym dniem Miles stawał się dla Elizabeth coraz bardziej bliski. Czasem, gdy podglądała, jak półnagi i mokry od potu trenuje na dziedzińcu, czuła, że uginają się pod nią kolana. A on zawsze wyczuwał jej obecność i rzucał jej spojrzenie tak pożądliwe, że zaczynała drżeć. Pewnego razu lanca Stephena minęła go zaledwie o milimetr, bo w ogóle nie koncentrował się na walce. Stephen był tak



wściekły, że zaczął szarpać Milesa z furją.

– Mogłem cię zabić, idioto! – wrzeszczał.

Elizabeth wpadła na dziedziniec wraz z Bronwyn, sir Guyem i Rabem. Purpurowy z gniewu Stephen zażądał, by Miles zabrał Elizabeth z dziedzińca. Kompletnie niewzruszony furją brata Miles zabrał ją aż nazbyt chętnie. Cóż to było za popołudnie! Miles dosłownie rzucił się na nią. Kochali się na łożku, na krześle i przy ścianie. Niestety, Miles przygniótł ją do gobelinu, który chwyciła w uniesieniu. Ciężki, zakurzony dywan spadł na nich z łoskotem, lecz nie przestawali się kochać, dopóki nie zaczęli się dusić od kaszlu. Połączeni i wczepieni w siebie, wyczołgali się spod gobelinu i kochali dalej na lodowatej kamiennej podłodze. Gdy zeszli na kolację, wykończeni i zaróżowieni, cały klan MacArranów pokładał się ze śmiechu. Stephen wciąż był zły i domagał się jedynie, by Elizabeth trzymała się z dala od dziedzińca.

Dwa miesiące i tydzień od porwania, pomyślała Elizabeth.

Wiedziała, że ich czas się kończy.

Gavin przysłał im wiadomość, że Roger Chatworth i Pagnell udali się do króla i powiedzieli mu, że Raine zbiera przeciwko niemu armię, a Miles trzyma Elizabeth jako zakładniczkę. Król Henryk oświadczył, że jeśli Miles nie odda Elizabeth, ogłosi go zdrajcą i skonfiskuje jego ziemie. Oraz spali las Raine'a.

Gavin błagał Milesa, by odesłał Elizabeth. Miles milczał przez kilka dni i tylko patrzył na nią z takim bólem, że wiedziała już, że ich chwile są policzone. Naciskał, by spędzała coraz więcej czasu z MacArranami, jakby chciał ją przygotować na przyszłość. Przyszłość bez niego.

Elizabeth czuła się rozdarta. Chciała się nauczyć kontrolować panikę i zachowywać normalnie wśród mężczyzn, jednocześnie chciała spędzać każdą chwilę z Milesem i Kitem.

– A niech to! – zaklęła pod nosem. Kiedy straciła swoją niezależność i stała się taką beksą?

Gavin znów przyjechał do Szkocji tak wściekły, że jego poprzednia furia zdawała się niemal zabawna. Elizabeth poczuła żal, że jej obecność niszczy tę rodzinę. Gdy Miles wrócił do komnaty, poprosiła go, by pozwolił jej odjechać z Gavinem. Chciała mu powiedzieć, że w ten sposób ocali od zguby obie rodziny, lecz Miles nie dał jej szansy.

Wybuchy Stephena i Gavina razem wzięte były niczym w porównaniu z dziką furją Milesa. Klął w trzech językach, rzucał wszystkim, co tylko wpadło mu w ręce, roztrzaskał krzesło i z rozmachem wbił topór w dębowy stół. Sam sir Guy nie dał rady go utrzymać i wezwał na pomoc Tama.

Stephen i Gavin najwyraźniej widywali już małego braciszka w takim stanie. Gavin wzruszył ramionami i wyjechał, zanim Miles doszedł do siebie. Elizabeth milczała. Patrzyła na wyczerpanego Milesa ze łzami w oczach. Roger i Miles,

powtarzała w myślach, Roger i Miles. Wychowała się wśród braci. Jeden z nich przetrząsał cały kraj, szukając jej. A jednak płakała nad wrogiem. Nad mężczyzną, który ją chronił, okazał jej cierpliwość i czułość, pokazał, że życie może być dobre.

Miles z trudem otworzył oczy.

– Przeraziłem cię? – zapytał ze skruchą.

Pokiwała głową.

– Przeraziłem nawet samego siebie. Na szczęście takie wybuchy nie zdarzają mi się często. – Ujął jej dłoń i przycisnął sobie do policzka. – Nie opuszczaj mnie już nigdy, Elizabeth. Jesteś darem losu. Jesteś moja – powiedział z naciskiem i zasnął.

Od tej chwili minęły cztery dni. Zaledwie cztery dni, a jednak postanowił zostawić ją i pojechać z bratem na polowanie. Może nie wyczuwał, jak bardzo jest przerażona? Może był tak pewny siebie, że zakładał, iż na zawsze pozostanie u jego boku? A przecież Roger już ruszył do Szkocji. Co będzie mogła zrobić, kiedy stanie u bram ze swoimi zbrojnymi? Czy ma stanąć na blankach i patrzeć, jak MacArranowie walczą z jej bratem? Patrzeć, jak Roger walczy z Milesem? Czy miałyby trzymać w ramionach Kita i oglądać śmierć Milesa albo kłaść się w nocy z nim, czując na jego rękach krew własnego brata?

– Elizabeth? – Bronwyn stanęła w drzwiach. – Miles twierdzi, że nie jedziesz na polowanie.

– Właśnie – potwierdziła z goryczą. – Mam zostać tutaj, otoczona przez mężczyzn.

Bronwyn milczała przez chwilę.

– Martwisz się o Milesa czy o brata?

– O obydwu – odparła szczerze Elizabeth. – Czy kiedykolwiek bałaś się przywieźć swego angielskiego męża do szkockiego klanu? Zastanawiałaś się, czy możesz mu ufać?

Oczy Bronwyn zalśniły rozbawieniem.

– Oczywiście. Stephen chciał tylko, bym mu powiedziała, że go kocham. A ja wiedziałam, że miłość to nie tylko próżne słowa.

– Nie?

– Nie. Niektóre kobiety kochają mężczyznę pomimo tego, kim jest i jaki jest. Ja zaś musiałam myśleć także o tym, czego chce i potrzebuje mój klan.

– A co by się stało, gdybyś ty go kochała, a twój klan nie mógłby go zaakceptować? Gdyby zostanie przy nim oznaczało utratę klanu?

– Wybrałabym klan – odparła Bronwyn. – Oddałabym wszystko, nawet własne życie, by nie dopuścić do wojny w mojej rodzinie.

– I pewnie uważasz, że to właśnie powinnam uczynić! – syknęła Elizabeth. – Że powinnam wrócić do brata teraz, gdy Miles odjedzie. Gdybyś dała mi kilku swoich rycerzy, mogłabym... – Urwała, patrząc jej w oczy.

Bronwyn milczała przez chwilę.

– Szanuję mego szwagra. Nie pomogę ci uciec.

Elizabeth objęła ją z czułością.

– Co ja mam zrobić? Widziałas, jak się zachowywał Miles, kiedy tylko wspomniałam o powrocie do domu. Powinnam znowu uciec? Och, Boże! – jęknęła, odpychając Bronwyn. – Ty także jesteś moim wrogiem.

– Nie – uśmiechnęła się Bronwyn. – Nie jestem twoim wrogiem. Nie są nimi także Montgomery'owie. Pokochaliśmy cię wszyscy. Kit poszedłby za tobą na koniec świata. Jednak przyjdzie czas, kiedy będziesz musiała dokonać wyboru. Do tej chwili nikt nie może ci pomóc. Chodźmy na dół. Ucałuj Milesa przed wyjazdem, zanim zniszczy jeszcze jakieś meble. I tak mamy ich stanowczo za mało. A przy okazji: jak ten gobelin znalazł się na podłodze?

Widząc nagły rumieniec Elizabeth, Bronwyn roześmiała się serdecznie.

\* \* \*

– Elizabeth! – wykrzyknął na jej widok Miles i wciągnął ją do ciemnego kąta, gdzie pocałowała go namiętnie. – Nie będzie mnie tylko przez trzy dni. Aż tak będziesz za mną tęskniła?

– Jesteś demonem. Kiedy wrócisz, połowa drużyny Bronwyn będzie miała połamane palce.

Pogłaskał ją po policzku.

– Po przygodach sir Guya nie sądzę, by mieli cokolwiek przeciwko temu.

– Co masz na myśli?

– Bronwyn oddała go pod opiekę jakiejś dzierlatki i teraz są nierozłączni. Dziewczyna ciągle każe mu nosić wodę, a podejrzewam, że gdyby umiał trzymać igłę, haftowałby jej koszule.

Elizabeth kopnęła go w kostkę. Miał na sobie jedną z koszul, które dla niego wyhaftowała.

– Uspokój się, moja mała zakładniczko, bo cię odeślę do domu.

Elizabeth nadąsała się, lecz Miles tylko się roześmiał.

– Wszystkie uczucia widać w tych pięknych oczach. Pocałuj mnie jeszcze raz. Niedługo wrócę.

Po chwili stała już sama, z ciężkim sercem. Czowała wyraźnie, że coś się wydarzy. Miała ochotę ukryć się w komnacie i nie wychodzić przez trzy dni. Wiedziała jednak, że Miles ma rację. To doskonała okazja, by powalczyć z lękami.

Wczesnym popołudniem wybrała się na wycieczkę z Kitem, Tamem i doborową dziesiątką ludzi Bronwyn do ruin, o których wiele już słyszała. Kit będzie miał okazję się wybiegać, a ona sama – zapanować nad sobą.

Zanim dotarli do ruin, serce łomotało jej jak szalone. Jakoś jednak dawała radę uśmiechać się do Tama, gdy pomagał jej zsiąść z konia. Usłyszawszy za

plecami męski głos, zdołała powstrzymać gwałtowny odruch i tylko delikatnie odwróciła głowę. Jarl wynagrodził ją szerokim uśmiechem i skinieniem głowy. Elizabeth roześmiała się cicho.

– Wszyscy już wiedzą, prawda? – zapytała Tama.

– Mój klan bardzo cię szanuje. Potrafisz przemykać lasem tak doskonale jak każdy Szkot. Lubimy waleczne kobiety.

– Waleczne? Przecież poddałam się moim wrogom!

– Wcale nie – roześmiał się Tam. – Po prostu przestałaś się wygłupiać i dostrzegłaś wreszcie, że my, Szkoci, jesteśmy dobrymi ludźmi. Podobnie jak Montgomery'owie.

Elizabeth również się roześmiała, a po niej reszta drużyny.

Siedząc później na wygładzonych przez wiatr ruinach i patrząc na kręcących się w dole mężczyzn, uznała, że wcale się ich nie boi. Czuła się z tym doskonale i wiedziała, że zawdzięcza to Milesowi.

Wypracowana przez lata czujność osłabła na tyle, że Elizabeth nie usłyszała pierwszego gwizdnięcia nadbiegającego spomiędzy drzew. Gdy drugi przeciągły gwizd przebił się wreszcie przez jej pogodny, rozproszony nastrój, całe ciało Elizabeth zareagowało odruchowym napięciem. Rozejrzała się niby od niechcienia, czy którykolwiek z MacArranów słyszał przenikliwy dźwięk. Kit bawił się hałaśliwie z młodym Alekssem, a reszta drużyny przypatrywała się im, pokrzykując.

Powoli, jakby nigdzie się nie wybierała, zesza z ruin i zniknęła w lesie, nie robiąc przy tym najmniejszego szelestu. Stała wśród drzew i czekała. Miała upiorne wrażenie, że cofnęła się do czasów dzieciństwa.

Brian zawsze potrzebował ochrony. Był starszy od Elizabeth, ale zdawał się młodszy. Nie zdołał wypracować sobie technik znikania i podstępnych sztuczek jak ona. Gdy ktoś ją zaatakował, Elizabeth bez wahania wyciągała miecz, a Brian nie był zdolny tego zrobić. Raz za razem musiała go ratować z rąk wstrętnych znajomych Edmunda. Edmund ryczał ze śmiechu i wyzywał najmłodszego brata od tchórzy i słabeuszy. Roger i Elizabeth uspokajali rozdygotanego chłopca.

Brian spędził wiele dni i nocy w pobliskim lesie bez jedzenia i picia. Z czasem wypracowali system komunikowania się. Tylko Roger i Elizabeth wiedzieli, co oznacza przenikliwy gwizd, i zawsze przychodzili na spotkanie z Brianem.

Elizabeth stała wśród drzew w bezruchu i czekała na brata. Przyjdzie sam czy z Rogerem?

Młodzieniec, który wynurzył się z lasu, wydawał się obcy. Przez pierwszą chwilę Elizabeth gapiła się tylko bez słowa. Brian zawsze był przystojny i delikatny, lecz teraz zdawał się wyniszczony, a jego oczy...

– Brian? – szepnęła.

Skinął głową.

– Dobrze wyglądasz. Widzę, że służy ci bycie w niewoli.

Elizabeth zaniemówiła na moment. Nigdy nie słyszała, by Brian odzywał się do kogokolwiek złośliwie, zwłaszcza do niej.

– Jest... jest z tobą Roger?

Twarz Briana pociemniała.

– Nie wymawiaj w mojej obecności tego imienia.

– Słucham? – zdumiała się i podeszła do brata. – O czym ty mówisz?

Jego oczy na chwilę złagodniały i nawet uniósł dłoń, by ją pogłaskać, lecz zanim dotknął włosów siostry, zabrał rękę.

– Wiele się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania.

– Opowiedz mi – szepnęła.

Odsunął się.

– Roger porwał Mary Montgomery.

– Słyszałam o tym, ale na pewno nie...

Brian odwrócił się i zmierzył ją rozgorączkowanym spojrzeniem.

– Myślisz, że jest bratem Edmunda tylko z nazwiska? Sądzisz, że którekolwiek z nas nie jest skażone złem?

– Ale Roger zawsze...

– Nie wymawiaj jego imienia, powtarzam. Kochałem Mary. Kochałem ją tak, jak już nigdy nie pokocham żadnej kobiety. Była dobra, miła, nigdy nie życzyła nikomu źle. Lecz on, twój brat, zgwałcił ją. Z rozpaczy rzuciła się z wieży.

– Nie – odparła chłodno Elizabeth. – Nie wierzę w to. Roger jest dobry. Nie krzywdzi ludzi. Nigdy nie chciał waśni między nami i Montgomerymi. Przyjął pod swój dach Alice, kiedy jej własna rodzina się odwróciła i...

– Pchnął Stephena Montgomery'ego w plecy. Okłamał Bronwyn MacArran i trzymał ją w wieży. Gdy Mary zginęła, uwolniłem Bronwyn i zabrałem do Gavina ciało jego siostry. Opowiadali ci o furii, jaka wstąpiła w Mileśa, gdy zobaczył jej zmasakrowane ciało? Trwała wiele dni.

– Nie – szepnęła Elizabeth, wyobrażając sobie bezsilną wściekłość Mileśa. – Niewiele opowiadali. – Po pierwszych kilku dniach przestali z Milesem rozmawiać o sprawach rodzinnych. Tak było najlepiej.

– Brian – powiedziała miękko. – Jesteś wyczerpany. Chodź ze mną do Larenston. Bronwyn na pewno...

– Nie spocznię, dopóki on żyje.

Elizabeth złapała się za głowę.

– Brian, co ty mówisz? Skontaktujmy się z Rogerem, porozmawiajmy o tym wszystkim.

– Nie rozumiesz, co do ciebie mówię, prawda? Zamierzam zabić Rogera Chatwortha.

– Brian! Nie możesz wyprzeć się wielu lat wsparcia i ochrony dla jednego

dnia! Pamiętasz, że Roger zawsze nas bronił? Pamiętasz, jak ryzykował własnym życiem, by cię uratować, gdy Edmund najechał na ciebie koniem i zmiażdżył ci nogę?

Brian patrzył na nią zimno.

– Kochałem Mary, a on ją zabił. Pewnego dnia zrozumiesz, co to znaczy.

– Mogę kochać sto innych osób, ale to nie zachwieje mojej miłości do Rogera. Tak wiele dla nas zrobił. Teraz także mnie szuka.

Brian spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Wymknęłaś się strażom bez trudu. Skoro masz taką swobodę, dlaczego nie uciekasz do Rogera?

Elizabeth odsunęła się, lecz Brian złapał ją za rękę.

– Czy Montgomery'owie są aż tak atrakcyjni? Który? Któryś z żonatych czy chłopiec?

– Miles nie jest już chłopcem! – parsknęła. – Wiek nie zawsze ma znaczenie... – Urwała, widząc, że Brian zmarszczył brwi.

– Zapominasz, że ja także u nich byłem. A więc to Milesa pokochałaś. Dobrze. To pełen ognia mężczyzna, może zdoła cię jakoś poskromić.

– To, co czuję do Montgomery'ego, nie zmienia moich uczuć do Rogera.

– Czyżby? Co cię zatem powstrzymuje od ucieczki? Bez trudu wymknęłabyś się tym Szkotom, Edmundowi uciekałaś przez całe lata.

Przez chwilę milczała.

– Nie chodzi tylko o Milesa. W tym zamku panuje spokój, jakiego nigdy wcześniej nie znałam. Nikt na mnie nie dybie. Nie słychać upiornych, przytłumionych krzyków. Mogę spokojnie iść korytarzem, nie muszę przemykać od cienia do cienia.

– Widziałem ten spokój w oczach kobiety – szepnął Brian – ale Roger ją zabił. Teraz ja muszę zabić jego.

– Musisz odpocząć i zastanowić się nad wszystkim, co wygadujesz.

Zignorował jej uwagę.

– Wiesz może, gdzie się ukrywa Raine Montgomery?

– Nie – odparła zaskoczona. – W jakimś lesie. Spotkałam raz jego kochankę.

– Gdzie mogę ją znaleźć?

– Dlaczego chcesz znaleźć Raine'a? Skrzywdził cię?

– Żaden Montgomery nigdy mnie nie skrzywdził. Chcę go przekonać, żeby nauczył mnie walczyć.

– Żebyś mógł walczyć z Rogerem? – jęknęła i uśmiechnęła się. – Roger nie podniesie na ciebie ręki. Poza tym spójrz na siebie. Zawsze byłeś wątpy, a teraz schudłeś jeszcze bardziej. Odpocznij tu, nabierz siły i wtedy...

– Nie traktuj mnie jak dziecka, Elizabeth. Podjąłem już decyzję. Raine Montgomery jest silny i wie, jak szkolić ludzi. To wystarczy.

– Nie mam zamiaru ci pomagać w tym szaleństwie. Nawet gdybym wiedziała, gdzie jest Raine, nie pisnęłabym słowa.

– Elizabeth – powiedział miękko. – Przyszedłem się pożegnać. Czekałem tu od tygodni, lecz nigdy nie mogłem się do ciebie zbliżyć. Nareszcie zdołałem z tobą porozmawiać i teraz odejdę. Będę walczył z Rogerem i któryś z nas zginie.

– Błagam cię, Brian, musisz to przemyśleć.

Pocałował ją w czoło, jak starzec.

– Bądź szczęśliwa, siostrzyczko. Wspominaj mnie z miłością.

Elizabeth była zbyt zdumiona, by odpowiedzieć, lecz zanim Brian rozplynął się wśród drzew, na polanę wbiegli Szkoci. Stephen w biegu wyciągnął miecz i wycelował go w Briana.

*Rozdział  
dwunasty*

Nie rób mu krzywdy! – wykrzyknęła Elizabeth, choć była pewna, że Stephen nic mu nie zrobi.

Stephen schował miecz.

– Idź z moimi ludźmi – zwrócił się do Briana. – Nakarmię cię.

Brian obrzucił Elizabeth podejrzliwym spojrzeniem i odszedł w otoczeniu MacArranów.

Przez chwilę patrzyła na Stephena i nagle wszystko stało się jasne.

Stephen był na tyle uprzejmy, by udawać zażenowanie. Uśmiechnął się nieśmiało, oparł o drzewo, wyjął sztylet i zaczął strugać patyk.

– Miles nic nie wie – zaczął.

– Użyłeś mnie jako przynęty, by schwytać mojego brata – syknęła.

– Można to tak ująć. Od wielu dni pałętał się po lesie. Byłem ciekawy, kim jest i czego chce. Dwa razy, gdy byłaś z Milesem, próbował się do ciebie zbliżyć, ale moi ludzie go wystraszyli. Postanowiłem dać ci trochę swobody. Ani przez chwilę nie byłaś sama. Otoczyliśmy was.

Elizabeth usiadła ciężko na głazie.

– Nie lubię być marionetką.

– Wołałabyś, żebyśmy go zabili dwa tygodnie temu? Jeszcze niedawno samotny Anglik nie mógł wjechać na ziemie MacArranów i przeżyć wystarczająco długo, by opowiedzieć o tym komukolwiek. Jednak chłopiec wydał mi się tak... zdesperowany. Chciałem wiedzieć, co zamierza.

Milczała przez chwilę. Nie podobało jej się postępowanie Stephena, wiedziała jednak, że miał rację.

– Co zamierzasz z nim zrobić? – Spojrzała mu w oczy. – Czy Bronwyn wie o tej zabawie w kotka i myszkę?

Wargi Stephena delikatnie pobieleały.

– Przysięgam na życie, że nic nie wie, i dziękuję za to Bogu. Bronwyn nie uznaje sekretów. Nie ma tajemnic. A przynajmniej niezbyt wiele. Zawlokłaby chłopca do Larenston, a Miles... – Urwał z zażenowaniem.

– Nienawiść Milesa do rodu Chatworthów jest bardzo głęboka.

– Tylko do mężczyzn – uśmiechnął się Stephen. – Roger Chatworth doprowadził do śmierci naszej siostry i Miles mu tego nie wybaczy. Widziałas tylko tę jego stronę, którą pokazuje kobietom. Gdy spotyka mężczyznę, który je krzywdzi, wpada w furję.

– Skąd wiedziałas, że Brian to Chatworth?

– To widać na pierwszy rzut oka.



Elizabeth się zamyśliła. Rzeczywiście, Brian ma w rysach coś, co przypomina Rogera i Edmunda. Pychę i gniew ukryte pod maską obojętności.

– Słyszałeś, co mówił. Czy możemy go tu zatrzymać z dala od Rogera?

– Obawiam się, że straciłby resztki rozsądku. Już niewiele mu pozostało.

– Tak – westchnęła. – Masz rację. – Spojrzała na Stephena z wyczekiwaniem.

– Myślę, że zrobię dokładnie to, o co prosi: zabiorę go do Raine'a.

– Nie! – wykrzyknęła, podrywając się na równe nogi. – Raine go zabije! Próbował już zabić Rogera.

– Nieprawda – uśmiechnął się Stephen. – Raine go przyjmie, bo chłopak starał się pomóc Mary. Może mój brat nie jest zbyt towarzyski, ale bardzo uczciwy. Poza tym, jak zacznie trenować Briana, chłopak nie będzie miał czasu na nienawiść. Po trzech dniach będzie tak zmęczony, że będzie marzył wyłącznie o śnie.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy.

– Dlaczego miałbyś pomagać Chatworthowi? Mary była także twoją siostrą.

– Myślałem, że nie wierzysz w udział swojego brata w śmierci Mary.

– Gdyby Miles zabił siostrę obcego ci człowieka, znienawidziłbyś go, nawet nie pytając go o jego wersję zdarzeń? Być może Roger jest winny śmierci waszej siostry, być może to był wypadek. Nie mogę nienawidzić własnych braci bez powodu.

– Słusznie. – Stephen pokiwał głową. – Nie żywię do Rogera szacunku w związku z tym, co zrobił, lecz moja nienawiść skupia się na nim i nie dotyczy reszty waszej rodziny. Moi bracia widzą to inaczej, dlatego Gavin był dla ciebie taki niegrzeczny. Dla niego rodzina jest wszystkim.

– A Raine? Znienawidzi Briana od pierwszego wejrzenia?

– Zapewne tak właśnie by było, dlatego to ja powinienem zawieźć chłopaka. Porozmawiam z Raine'em i o ile go dobrze znam, przyjmie twojego brata z otwartymi ramionami. – Rzucił patyk na ziemię i schował sztylet. – Muszę ruszać. Dotarcie do Raine'a zajmie nam sporo czasu.

– Teraz? – zdumiała się Elizabeth. – Wyjedziesz, zanim Bronwyn i Miles wrócą z polowania?

– Oczywiście. – Stephen skrzywił się boleśnie. – Nie chcę być w pobliżu mojej słodkiej żony, gdy odkryje, że podstępem wywabiałem ją z Larenston, by schwytać samodzielnie angielskiego włóczęgę.

– Miles także nie przyjmie tego lekko – dodała.

Stephen jęknął, a Elizabeth roześmiała się głośno.

– Ależ z ciebie tchórz, Montgomery – wytknęła.

– Tak, najgorszy – przyznał z uśmiechem i spoważniał. – Pomodlisz się za mnie i za tę wyprawę? Może gdy Brian i Raine zdołają się dogadać, zrobimy krok

ku zakończeniu tej wojny.

– Bardzo bym tego chciała. Brian jest łagodnym, słodkim chłopcem, a Roger bardzo go kocha. – Westchnęła. – Stephenie, czy odpowiesz mi szczerze na jedno pytanie?

– Przynajmniej tak mogę ci wynagrodzić dzisiejszą przygodę.

– Czy ktokolwiek widział Rogera?

– Nie – odparł Stephen. – Zniknął. Szukają go MacGregorowie i moi ludzie też są wiecznie w pogotowiu. Raz cię niemal straciliśmy i nie dopuścimy do tego nigdy więcej. A po Rogerze ślad zaginął.

Przez chwilę stali w milczeniu, patrząc na siebie. Kilka miesięcy wcześniej Stephen był jej wrogiem, jak każdy mężczyzna. Zrobiła krok w jego stronę i położyła mu dłoń na szorstkim policzku.

Zrozumiał, że Elizabeth zaszczyciła go wyjątkowym zaufaniem. Delikatnie ujął jej dłoń i pocałował.

– My, Montgomery'owie, jesteśmy niepoprawnymi uwodzicielami – powiedział z uśmiechem. – Zakończymy tę waśń miłością, a nie mieczami.

Zabrała dłoń i się roześmiała.

– Pomodłę się za ciebie. A teraz ruszajcie, zanim Miles was znajdzie i przetrzepie ci tyłek.

Stephen uniósł brew.

– Biedny mój braciszek. Kiedy kobieta uzna cię za swą własność, jesteś już skończony.

Opuścił polanę i zostawił Elizabeth samą. I rzeczywiście przez jakiś czas siedziała sama. Tym razem jednak miała wyczulone wszystkie zmysły i słyszała czuwających nad nią MacArranów. Dwóch było bardzo blisko, w gałęziach drzew. Z oddali dobiegały śmiech Kita i basowy głos Tama.

Przywołała w pamięci zdarzenia ostatnich godzin i uznała, że jej dawna czujność strasznie się stępiła. Nie tak dawno sama miała wypisaną w rysach twarzy tę nienawiść, którą widziała na wynędzniałej twarzy Briana. Z całego serca miała nadzieję, że Stephen pomoże Brianowi przynajmniej częściowo uporać się z tymi dręczącymi emocjami, a może dokona tego Raine.

Z ciężkim sercem wróciła do ruin. Za kilka dni sama będzie musiała się zmierzyć z gniewem Milesa i to zapewne przesłoni jej wszelkie inne troski.

\* \* \*

Następnego dnia do Larenston wróciła Bronwyn. Od razu poszła zobaczyć syna. Alexander skończył pięć miesięcy i miał mamkę, bo Bronwyn musiała często opuszczać zamek. Jednak robiła wszystko, by chłopiec wiedział, kto jest jego matką. Gdy z radością tuliła go w ramionach, Elizabeth opowiedziała jej o Brianie. Jak Stephen schwytał go na polanie i zabrał do Raine'a. Oczy Bronwyn lśniły

złowieszczo.

– Niech go szlag! – warknęła, lecz uspokoiła się, gdy Alexander zapłakał. – Cicho, skarbie... – Pocałowała dziecko w policzek i zwróciła się do Elizabeth. – Nie podoba mi się, że cię wykorzystał. Powinien był przywieźć Briana tutaj. Najwyraźniej zapomniał, że to właśnie Brian uwolnił mnie ze szponów Rogera. Nie pozwoliłabym, by ktokolwiek go skrzywdził.

– Wydaje mi się, że Stephen obawiał się bardziej, że Miles zrobi mu krzywdę. – Elizabeth pochyliła się i pogłaskała jedwabiste włosy Alexandra.

Bronwyn uśmiechnęła się pod nosem.

– Kiedy przyjdzie twój czas? – zapytała łagodnie.

Elizabeth spojrzała jej w oczy. Bronwyn wstała i położyła syna do kołyski.

– Morag twierdzi, że nie krwawiłaś, odkąd wróciliście od MacGregorów. Masz mdłości?

– Ani trochę. Nie wiedziałam z początku, co się dzieje, ale szybko zrozumiałam. Komu powiedziałaś?

– Nikomu. Nawet Stephenowi. Zwłaszcza nie jemu. Pewnie chciałby wszystkim rozgłosić nowinę! Planujesz wyjść za Milesa?

Elizabeth owinęła nóżki Alexandra kocykiem.

– Nie prosił mnie, ale nawet gdyby to zrobił, nie możemy się po prostu pobrać i mieć dzieci. Roger się nie podda tylko dlatego, że będę nosiła nazwisko Montgomery. Musiałby wiedzieć, że poszłam do męża z własnej woli, że nikt mnie nie przymuszał.

– A trzeba będzie cię zmuszać? – zapytała Bronwyn.

Elizabeth się uśmiechnęła.

– Wiesz doskonale, że Miles do niczego mnie nie zmuszał. Sądzę jednak, że ślub ze mną wcale nie jest jego marzeniem. Oczekuję od męża wierności, a Miles Montgomery nie zna znaczenia tego słowa.

– Nauczyłam się spodziewać wszystkiego po tych braciach – wyznała Bronwyn. – Wydają się aroganccy i uparci, lecz kryją w sobie znacznie więcej zalet, niż by na to wskazywała ich uroda.

– Zgadzam się – roześmiała się Elizabeth.

Następnego dnia Bronwyn wróciła na polowanie. Elizabeth była właśnie damą w opresji ratowaną przez dzielnego Kita z łap trzygłowego smoka, gdy zastygła znienacka w środku zabawy.

– Elizabeth! – ponaglił niecierpliwie Kit, unosząc wysoko drewniany miecz.

Nie potrafiła wyjaśnić, co się stało. Przeszył ją dreszcz.

– Miles... – szepnęła z trwogą. – Miej baczenie na Kita! – krzyknęła do mamki Alexandra i wybiegła z bawialni.

Zbiegła jak wicher po schodach i przecięła dziedziniec. Zanim Douglas zdążył ją dogonić, już siodłała konia.

- Nie mogę pozwolić ci wyjechać – powiedział ze skruchą.
- Z drogi, głupcze! – warknęła. – Miles jest w niebezpieczeństwie.

Douglas nie tracił czasu na pytania. Gwizdnął cicho trzy razy i po chwili dwóch jego braci wpadło do stajni. Elizabeth nie była przyzwyczajona do siodłania i szło jej niesporo, jednak strażnicy nie zamierzali jej pomagać. Douglas sprawdził tylko, czy dobrze pozaciągała paski i dosłownie wrzucił ją na koński grzbiet. Elizabeth nawet nie mrugnęła, gdy niechący musnął jej kostkę.

Wypadli z zamku. Elizabeth nie wiedziała, dokąd jechać, oczyściła jednak umysł ze wszystkich myśli, wyobraziła sobie Milesa i ruszyła jak szalona. Douglas, Jarl i Francis pędzili tuż za nią stromą ścieżką z Larenston. Skręciła w prawo i popędziła szczytem klifu.

Nie bała się jazdy stromą ścieżką ani jadących za jej plecami mężczyzn. Gdy wypadli na płaski teren, zawahała się tylko na chwilę. Po lewej były ziemie MacGregorów, po prawej puszcza. Czując, dokąd powinna jechać, popędziła konia w prawo.

Jeden ze strażników krzyknął ostro. Elizabeth rozplaszczyła się na spoconym końskim grzbiecie, unikając zderzenia z nisko wiszącą gałęzią. Później pędzili za nią w milczeniu.

Po długiej jeździe usłyszała basowe szczekanie Raba. Po chwili pies wypadł z zarośli, jakby czekał na Elizabeth, żeby poprowadzić ją do Milesa.

Zwolniła, jadąc za Rabem przez zarośla. Kluczyli przez jakiś czas, aż wjechali w matecznik tak gęsty, że nie przepuszczał promieni słońca. Zanim dostrzegli ludzi, Rab znów zaszczekał.

Bronwyn i jej drużyna stali nad kimś, kto leżał na ziemi. Sir Guy klęczał. Na odgłos szczekania Bronwyn odwróciła głowę i podniosła na Elizabeth zdumione spojrzenie. Nie zatrzymując konia, Elizabeth zeskoczyła z siodła i pobiegła do Milesa, roztrzając ludzi po drodze.

Leżał na ziemi z zamkniętymi oczami, cały zalany krwią. Podarte na strzępy ubranie odsłaniało dwie rozległe rany. Na lewym udzie i na prawym boku. Odepchnąwszy sir Guya, padła na kolana, wzięła głowę Milesa na kolana i zaczęła wycierać krew z jego twarzy brzegiem sukni.

– Obudź się, Montgomery – powiedziała mocnym głosem, bez drżenia czy czułości. – Obudź się i popatrz na mnie.

Zdawało jej się, że minęła wieczność, zanim Miles zatrzepotał powiekami. Spojrzał na nią, uśmiechnął się i zamknął oczy.

– Mój anioł – szepnął.

– Wody – zażądała Elizabeth, nie patrząc na nikogo. – Wody do obmycia ran. Jest w okolicy jakaś chata? – Bronwyn ledwie zdążyła pokiwać głową. – Oczyszćcie miejsce. Zabierzcie mieszkańców do Larenston i zostawcie mnie samą z Milesem. Przyślijcie Morag z ziołami. Będę też potrzebowała ostrych igieł

i czystych nici. Guy! Znajdź w jukach duży pled, przeniesiemy go. – Co z wami? – krzyknęła. – Do roboty!

Mężczyźni rozbiegli się we wszystkich kierunkach.

Bronwyn błysnęła zębami w uśmiechu.

– Czy ty na pewno nie jesteś Szkotką? – Wskoczyła na siodło i ruszyła do Larenston.

Elizabeth pocałowała Milesa w czoło.

– Nic ci nie będzie, Montgomery – szepnęła. – Dopilnuję tego.

Nie traciła czasu na czułości. Chwyliła sztylet leżący na ziemi i zaczęła metodycznie rozcinać jego ubranie, by sprawdzić pozostałe rany. Nie mogła uwierzyć, że w jego żyłach wciąż płynie krew. Całe ubranie było nią przesiąknięte. Rozcinała koszulę, gdy wrócił Rab.

– Czyja to krew, Rab? – zapytała. – Znajdź to zwierzę.

Pies szczeknął dwa razy i zniknął w zaroślach.

Elizabeth odetchnęła z ulgą. Miles miał tylko jedną ranę na torsie, niezbyt głęboką, ale wymagającą szycia. Na lewej ręce znalazła długie draśnięcia, ale nie przejęła się nimi. Nogi były w gorszym stanie. Rana na udzie była głęboka i paskudna, a na kostce miał kolejne krwawe zadrapania. W końcu próbowała go podnieść, żeby sprawdzić, czy plecy nie ucierpiały.

Z jękiem bólu Miles otworzył oczy.

– Dziś ty musisz być na górze, Elizabeth. Inaczej zakrwawię cię całą – oznajmił, spoglądając na obnażone ciało.

– Zamknij się – rozkazała. – Oszczędzaj siły.

Rab wyciągnął z zarośli ogromnego dzika i zaciągnął go na środek polany. Pysk zwierzęcia pokryty był krwią, na boku widniało kilka ran od sztyletu.

– Ach, więc wygrałeś walkę z dzikiem – stwierdziła z obrzydzeniem, troskliwie owijając ciało Milesa we własną pelerynę. – Najwyraźniej nie przyszło ci do głowy, żeby nie biegać po lesie samemu.

Rab wyciągnął na polanę kolejnego zakrwawionego dzika. Elizabeth westchnęła.

– Zabierzemy cię stąd, ale niedaleko. Będzie tam ciepło i cicho. Musisz odpocząć.

Na polanę wbiegł sir Guy z niewysoką kobietą, oboje obładowani narzutami.

– W chacie jest już rosół – wydyszała kobieta – i ciastka owsiane. Bronwyn przyśle więcej pledów, jeśli będzie pani potrzebowała.

Sir Guy uklęknął, odwinął pled i obejrzał rany Milesa, ze zdumieniem spoglądając na Raba, wyciągającego trzeciego dzika z zarośli.

– Ile ich tam jeszcze jest? – jęknęła Elizabeth.

– W sumie pięć – odparł sir Guy. – Wygląda na to, że Miles wpadł konno w rodzinę dzików. Miał przy sobie tylko miecz i sztylet, ale zabił wszystkie i zdołał

się tu przywlec, żebyśmy mogli go odnaleźć. Rab doprowadził nas do dzików i czmychnął, zanim znaleźliśmy Milesa.

– Przyszedł do mnie – wyznała Elizabeth. – Dasz radę go unieść?

Sir Guy bez najmniejszego wysiłku dźwignął swego pana i wstał. Rany Milesa natychmiast się otworzyły.

– Ostrożnie! – pisnęła Elizabeth. Sir Guy uciszył ją wzrokiem i ruszył do leśnej chaty. Delikatnie położył Milesa na ławie.

Chata była niewielka, jednoizbowa, z otwartym paleniskiem na środku, które stanowiło jedyne źródło światła. Stały tam nieoheblowany stół i dwa krzesła, nic więcej. Nad ogniem kipiała woda. Elizabeth natychmiast zamoczyła czyste ściereczki, które zostawiła jej kobieta, i zaczęła myć Milesa. Sir Guy podniósł go, pomógł zdjąć strzępy ubrania z pleców. Elizabeth poczuła ogromną ulgę, widząc, że nie ma tam żadnych ran, nie licząc siniaków i otarć. Był już prawie umyty, gdy do chaty wpadły Bronwyn i Morag z wielkim koszykiem ziół.

– Nie widzę już tak dobrze jak kiedyś – stwierdziła Morag, uważnie oglądając blade ciało Milesa i dwie jaskrawe rany. – Jedna z was będzie musiała się nim zająć.

– Ja to zrobię – odparła Elizabeth. – Powiedz tylko, co mam robić.

Prędko się przekonała, że zszywanie skóry różni się znacznie od cerowania odzieży. Wbijając igłę w ciało Milesa, za każdym razem zaciskała zęby tak mocno, aż zgrzytały.

Blady, wynędzniały Miles leżał nieruchomo, ledwie oddychając. Bronwyn nawlekała igły, cięła nici i pomagała wiązać supełki. Gdy Elizabeth wreszcie skończyła, dygotała na całym ciełe.

– Wypij – rozkazała Bronwyn.

– Co to?

– Bóg tylko wie. Dawno nauczyłam się nie zadawać pytań, gdy Morag daje mi coś do wypicia. Cokolwiek to jest, na pewno będzie ohydne, ale poczujesz się lepiej.

Elizabeth wypila wywar, opierając się ciężko o ścianę i nie spuszczać wzroku z Milesa. Morag przyniosła i dla niego kubek. Elizabeth przytknęła go do bladych warg Montgomery'ego.

– Wypij to – szepnęła, podtrzymując jego bezwładną głowę. – Musisz odzyskać siły.

Z wysiłkiem uniósł powieki i spojrzał na nią z czułością.

– Warto – szepnął i wypił napar.

Morag prychnęła pogardliwie.

– Będzie się mazał przez pół roku, jeśli będziesz go tak niańczyła.

– I dobrze – odszczeknęła Elizabeth.

Bronwyn parsknęła śmiechem.

– Usiądź, Elizabeth. Musisz odpocząć. Opowiedz mi, co się stało. Znaleźliśmy go chwilę przed twoim przyjazdem.

Elizabeth usiadła na podłodze przy Milesie i wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, skąd wie, co się przydarzyło Milesowi. Po prostu wiedziała.

Chwila odpoczynku trwała krótko. Morag przyniosła kolejny kubek ziół dla Milesa. Gdy nadeszła noc, Bronwyn wróciła do Larenston. Elizabeth siedziała przy Milesie, czuwając. Morag zdrzemnęła się na krześle.

– Jaka... – szepnął z wysiłkiem Miles. – Jaka jest żona Raine’a?

Elizabeth przeraziła się, że Miles bredzi. Przecież nigdy nie spotkała Raine’a ani jego żony.

– Pieśniarka – szepnął Miles. – Od Pagnella.

Zrozumiała w lot. Była zdumiona, że lord Montgomery poślubił pieśniarkę pośledniego stanu. Opowiedziała Milesowi, jak spotkała Alyxandrię Blackett i usłyszała jej przecudny głos, jak uwolniła ją ze szponów Pagnella i sama została schwytana.

Miles uśmiechnął się i szukał po omacku jej dłoni. Trzymając ją, zasnął.

Morag obudziła się o brzasku. Odmierzyła do kubka różnych ziół i suszonych grzybów, dorzuciła pędy roślin, których Elizabeth nie знаła. Zmieniły zakrwawione bandaże. Morag obmyła rany ciepłym naparem.

Miles spał do popołudnia. Elizabeth postanowiła rozprostować nogi na świeżym powietrzu. Sir Guy siedział pod drzewem przy chacie. Podniósł na nią pytający wzrok.

– Odpoczywa – powiedziała.

Rycerz kiwnął głową i znów zapatrzył się w przestrzeń.

– Niewielu dałoby radę wpaść na rodzinę dzików i ująć cało – oznajmił z dumą.

Elizabeth ze łzami w oczach położyła dłoń na ramieniu olbrzyma.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by wyzdrowiał.

Sir Guy pokiwał głową, nie patrząc jej w oczy.

– Nie musisz mu pomagać. Zle cię traktowaliśmy.

– Nie – odparła. – Otrzymałam od was nie tylko uprzejmość i ciepło. Obdarowaliście mnie miłością.

Odeszła w stronę strumienia przecinającego ziemię MacArranów. Umyła się, związała włosy, owinęła się pledem i przysiadła, żeby odetchnąć. Kiedy się obudziła, była już noc. Sir Guy siedział przy niej w milczeniu.

Oszołomiona snem pobiegła do chaty.

Miles nie spał. Na jej widok jego twarz się rozjaśniła.

– No, już jest – burknęła Morag. – Może wreszcie wypijesz, co każe.

– Elizabeth – powiedział miękko Miles.

Podeszła, przytrzymała mu głowę, gdy pił napar, i trzymała nadal, aż zasnął.





*Rozdział  
trzynasty*

Nie będziesz chodził! – oświadczyła twardo Elizabeth. – Nie po to straciłam tyle nocy, czuwając przy tobie, żebyś teraz pootwierał wszystkie rany.

Spojrzał na nią błagalnie.

– Elizabeth, proszę cię.

Prawie mu ustąpiła, lecz opamiętała się w porę i parsknęła śmiechem.

– Zdradziecki z ciebie mężczyzna, Montgomery. Leż spokojnie albo przywiążę cię do łóżka.

– Doprawdy? – uniósł brew.

Elizabeth spłonęła rumieńcem.

– Opanuj się! Musisz więcej jeść. Nigdy nie wyzdrowiejesz, jeśli nie będziesz jadł.

Złapał ją za rękę i z zaskakującą siłą pociągnął ku sobie. Zresztą wcale nie próbowała się opierać. Na wpół siedział, wsparty na poduszkach. Ostrożnie ułożyła się przy jego boku. Od czterech dni mieszkali w leśnej chacie. Miles szybko zdrowiał. Wciąż był słaby i obolały, ale wyraźnie dochodził do siebie.

– Dlaczego ze mną zostałeś? – zapytał. – Jedna z kobiet Bronwyn mogła się mną zająć.

– Zaciągnąłbyś ją do łóżka i porozrywaliście szwy, nad którymi tak się napracowałam.

– Porozrywam szwy, jeśli będziesz mnie rozśmieszała. Miałbym dotykać innej, gdy mam ciebie?

– Jestem pewna, że zbierzesz się na odwagę, kiedy mnie zabraknie.

Wsunął palce w jej włosy, odchylił głowę i pocałował zaborczo.

– Elizabeth, jeszcze się nie pogodziłaś z tym, że jesteś moja? – mruknął. – Kiedy wreszcie to zrozumiesz?

Nie dał jej szans na odpowiedź, całując zachłannie wargi. Dotyk zimnej stali na gardle Milesa brutalnie przywrócił ich do rzeczywistości. Miles odruchowo sięgnął po miecz, lecz pod narzutą odnalazł jedynie poranione ciało.

Roger Chatworth patrzył na nich z nienawiścią, przyciskając miecz do szyi Milesa.

– Rogerze, nie! – pisnęła Elizabeth, odskakując od posłania. – Nie rób mu krzywdy.

– Zabiję ich wszystkich – wycharczał Roger.

Miles błyskawicznie poderwał się i złapał Rogera za nadgarstek.

– Nie! – krzyknęła przenikliwie Elizabeth, przywierając do ramienia brata.

Bandaż Milesa nabiegły krwią.

– Jest poraniony – jęknęła Elizabeth. – Zabiłbyś człowieka, który nie może się bronić?

Roger skupił na niej oszalały wzrok.

– Jesteś już jedną z nich? – syknął. – Czym cię napoili, że obróciłaś się przeciwko własnej krwi?

– Nie jestem jedną z nich! – Starła się zachować spokój. Miał w oczach szaleństwo. Bała się go bardziej rozzłościć. Miles opierał się o ścianę, dysząc. Wiedziała, że za moment znów rzuci się na Rogera i pozrywa szwy. – Przyszedłeś po mnie?

W chacie zapadła cisza. Obydwaj patrzyli na nią z napięciem. Musiała odejść z Rogerem, inaczej jej brat na pewno zabije Milesa. Wiedziała to z całą pewnością. Roger był zły, zmęczony i opętany żądzą mordu.

– Wreszcie wrócę do domu – zmusiła się do uśmiechu.

– Elizabeth... – szepnął ostrzegawczo Miles.

Udawała, że go nie słyszy.

– Chodź, Rogerze, na co czekasz? – Serce jej tak łomotało, że ledwie słyszała własny głos.

– Elizabeth! – ryknął Miles, trzymając się za ranę na piersi.

Przez chwilę Roger się zawahał, spoglądając to na jedno, to na drugie.

– Tracę cierpliwość, Rogerze! Czy nie zasłużyłam na powrót do domu?

Odwróciła się na pięcie i zatrzymała na chwilę przy wejściu. Patrzyła wciąż w oczy brata, nie śmiejąc spojrzeć na Milesa. Nie mogła ryzykować. Na pewno straciłaby odwagę.

Roger westchnął i ruszył za nią. Niedaleko chaty Elizabeth dostrzegła konia. Wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana. Wiedziała, że nie może się rozglądać, inaczej na pewno dostrzegłaby w pobliżu ciało sir Guya. Tylko śmierć była w stanie go powstrzymać przed ochroną pana.

Z chaty dobiegł ją przenikliwy, mrozący krew w żyłach krzyk:

– Elizabeth!!!

Przełykając gorycz, Elizabeth dała się podsadzić na siodło.

– Potrzebujemy jedzenia – odezwał się Roger, wracając do chaty.

– Roger! – krzyknęła za nim. – Jeśli zrobisz mu krzywdę... – zaczęła, lecz widziała, że Roger jej nie słucha. Zeskoczyła z siodła i pobiegła za nim, jednak nie zdołała dobiec na czas.

Roger rozciął czubkiem miecza ramię Milesa. Leżąc w kałuży krwi, Miles patrzył na nią z rozpaczą.

– Żona Raine'a darowała mi życie, więc ja daruję tobie. – Roger spojrzął na Elizabeth, ściskającą w dłoniach rąbek sukni. – Wsiadaj na konia albo go zabiję.

Roztrzęsiona Elizabeth wykonała polecenie brata. Roger po chwili wskoczył za nią na siodło i popędził konia do galopu.

\* \* \*

Elizabeth siedziała beczynnie przy tamborku. Z trudem, boleśnie powoli, haftowała obrus na parafialny ołtarz. Święty Jerzy walczący ze smokiem. W rogu wyhaftowała chłopca wyglądającego zupełnie jak Kit. Święty Jerzy zaś... przypominał Milesa. Elizabeth westchnęła i z czułością pogłaskała brzuch. Dziecko wierciło się bez ustanku.

Nieopodal siedziała Alice Chatworth z lusterkiem odbijającym zdrową połowę twarzy.

– Byłam kiedyś taka piękna – powtarzała całymi dniami. – Żaden mężczyzna nie mógł mi się oprzeć. Wszyscy byli gotowi oddać dla mnie życie. Wystarczyło skinienie i już miałam wszystko, czego zapragnęłam. – Odwróciła do lustra pokrytą bliznami połowę twarzy. – Zanim Montgomery to zrobił! Judith Revendoune była zazdrosna o moją urodę. To rude brzydactwo obawiało się, że mój słodki Gavin nigdy o mnie nie zapomni. I słusznie!

Elizabeth ziewnęła ostentacyjnie i nie zwracając uwagi na pełne nienawiści spojrzenie Alice, podniosła się z krzesła. Roger stał przy kominku z kubkiem wina w dłoni.

– Przejdiesz się ze mną po ogrodzie? – zapytała.

Roger, jak zwykle, najpierw skierował pełne obrzydzenia spojrzenie na jej brzuch, a dopiero potem popatrzył jej w oczy.

– Nie. Muszę porozmawiać z kamerdynerem – mruknął.

Wiedziała, co miał na końcu języka: Zmieniłaś się. Powtarzał jej to każdego dnia.

Od dwóch tygodni była w domu, z rodziną. Właściwie już pierwszego dnia poczuła, jak bardzo się zmieniła w ciągu pięciu miesięcy spędzonych z Montgomerymi. W tym czasie w domu Chatworthów wszystko pozostało takie jak przedtem, Elizabeth zaś była już inną osobą.

Pomimo miłości i wdzięczności, jaką darzyła Rogera, nie mogła nie zauważyć, że po śmierci Edmunda nie wprowadził w domu żadnych zmian. Panowała tu wciąż taka sama atmosfera. Roger bez trudu przyjął pod swój dach Alice Chatworth, bo na co dzień w ogóle nie zauważał jej obecności. Żył w wymagowanym świecie. We własnym mniemaniu każdą myśl poświęcał zapewnieniu bezpieczeństwa Brianowi i Elizabeth, nie zwracając w ogóle uwagi na to, co rzeczywiście dzieje się w zamku.

Po kilku dniach uciążliwej podróży Elizabeth nie zdążyła jeszcze zsiąść z konia, gdy dwóch stajennych zaczęło jej robić dwuznaczne uwagi. Dawali jej do zrozumienia, że nie mogą się doczekać, kiedy przyłapią ją samą. Byli to zresztą ci sami stajenni, którzy ścigali ją po korytarzach, gdy jeszcze żył Edmund.

Pierwszą reakcją Elizabeth był obezwładniający strach. Czowała się, jakby

nigdy nie opuszczała murów Chatworth. W głowie tłukły jej się wspomnienia niezliczonych sztuczek, dzięki którym przez długie lata unikała mężczyzn. Po chwili jednak przypomniała sobie, jak złamała palce sir Guya, jak kulał przez wiele tygodni. Przypomniała sobie też to, że potem widziała w jego oczach łzy trwogi, gdy zamartwiał się o mężczyznę, którego oboje kochali.

Nie może wracać do dawnych przyzwyczajzeń. Poświęciła wiele czasu i wysiłku, by pokonać swoje lęki, i nie zamierzała od razu wpadać w dawne tory. Zawołała więc Rogera i zażądała, by oddalił obydwu stajennych. Roger ze zdumieniem wygonił ją ze stajni. Usiłował jej wmówić, że przesadza, jednak Elizabeth nie zamierzała go słuchać. Roger nie mógł uwierzyć, że maleńka siostrzyczka ignoruje jego uwagi, a wręcz ma własne zdanie. Był przekonany, że wyzwolił ją właśnie z jaskini lwa i oczekiwał słodkich słówek wdzięczności, a nie narzekania.

Po raz pierwszy w życiu Elizabeth opowiedziała Rogerowi całą prawdę o Edmundzie. Roger pobladł śmiertelnie i opadł na krzesło. Wyglądał, jakby ktoś go pobił. Przez tak wiele lat był przekonany, że chronił młodsze rodzeństwo przed złem, i nie zdawał sobie sprawy, że Elizabeth żyła w piekle. Nie wiedział, że gdy tylko opuszczał zamek, Edmund przywoził ją z klasztoru. Nie wiedział, że musiała się wciąż bronić przed jego ludźmi.

Gdy skończyła opowieść, brat był gotowy zabić stajennych.

Wściekłość Rogera miała swoje dobre strony. W ciągu kilku dni pozbył się połowy rozpieszczonej załogi i zasiał respekt w sercach służących. Jeśli którykolwiek spojrział zuchwale na Elizabeth, trafiał przed oblicze wściekłego Rogera. Elizabeth nie zamierzała odpuszczać. Zanim znalazła się poza domem, nie wiedziała nawet, jak powinna być traktowana kobieta. Jednak po pięciu miesiącach spędzonych w rodzinie Montgomerych była już pewna, że nie powinna się bać spacerować sama po własnym ogrodzie.

Roger czuł się urażony jej żądaniami. Elizabeth dopiero teraz zdała sobie sprawę, że tak naprawdę to ona i Brian umożliwiali mu bycie rodzinnym bohaterem. Roger był jednocześnie miły i okrutny. Pewnego dnia chciała z nim porozmawiać o Montgomerych, jednak zareagował takim wybuchem wściekłości, że obawiała się o jego zdrowie.

Nie widział jej przez kilka miesięcy, natychmiast zauważył więc zmiany w jej ciele i powiedział, że przytyła. Elizabeth wyprostowała się i z dumą stwierdziła, że nosi pod sercem dziecko Milesa. Spodziewała się wybuchu wściekłości i była na to przygotowana. Roger jednak wyglądał, jakby zdradziecko ugodziła go w samo serce.

– Idź sobie. Zostaw mnie – wyszeptał. Wyszła bez słowa.

Co wieczór Elizabeth wypłakiwała sobie oczy aż do zaśnięcia. Czy Miles kiedykolwiek zrozumie, że odeszła z Rogerem, aby go ocalić? Czy ją znienawidzi

na wieki? Co powiedzą Kitowi? Leżała w łóżku do rana, myśląc o wszystkich, którzy stali się jej drogą w czasie krótkiego pobytu w Szkocji.

Marzyła o przesłaniu wiadomości do Bronwyn, ale nikomu nie mogła zaufać. Poprzedniego dnia, gdy wyszła na samotny spacer, obca staruszka wręczyła jej koszyk z chlebem. Elizabeth wzbraniała się, dopóki staruszka nie uniosła serwetki i nie pokazała herbu MacArranów. Chwyciła zachłannie koszyk, lecz zanim zdążyła podziękować, staruszka zniknęła w zaroślach. Elizabeth chciwie przeszukała zawartość.

Znalazła list. Bronwyn pisała, że rozumie, dlaczego odeszła z Rogerem, ale nie liczy na to, iż Miles to pojmie. Sir Guya ugodziły trzy strzały, tkwiły dość głęboko, ale wydaje się, że olbrzym przeżyje. Zanim Morag wróciła do chaty, Miles w szale porozrywał wszystkie szwy. Przez trzy dni leżał w malignie i bali się o jego życie. Stephen wrócił, gdy tylko dostał wiadomość o stanie Milesa. Zostawił Briana pod opieką Raine'a i ma ogromną nadzieję, że waśń między rodami niebawem się zakończy. Bronwyn dodała na koniec, że Miles powoli zdrowieje, ale zakazał komukolwiek wspominać imię Elizabeth.

Elizabeth po raz kolejny przypomniała sobie ostatnie zdanie listu i zadygotała.

– Weź pelerynę – mruknął Roger.

– Nie – wymamrotała. – Pled mi wystarczy.

– Dlaczego się z tym obnosisz w naszym domu? – wybuchnął nagle Roger. – Nie dość ci, że nosisz jego bękarta? Musisz mnie poniżać za każdym razem, kiedy na ciebie patrzę?

– Roger, chcę, żeby to się wreszcie skończyło...

– Chcesz być dziwką mojego wroga! – ryknął.

Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem i odwróciła się na pięcie.

Ze skrucną w oczach chwycił ją za ramię.

– Popatrz na to od mojej strony. Całymi miesiącami czułem się jak w matni, szukałem cię wszędzie. Poszedłem po łaskę do Raine'a, a on wyciągnął na mnie miecz. Gdyby jego żona nie stanęła między nami, byłbym już martwy. Padłem na kolana przed samym królem. Myślisz, że to było przyjemne? Nie darzę go miłością, odkąd potraktował mnie tak surowo po śmierci Mary Montgomery, ale dla ciebie padłbym na kolana nawet przed diabłem. – Westchnął i wziął ją za rękę. – Jeżdżenie po Szkocji też nie było łatwe, a jednak cię znalazłem. W objęciach Montgomery'ego. I to przedstawienie, które odegrałaś! Czułem się jak twój wróg, a nie jak brat ratujący siostrę z opresji. Wyjaśnij mi to, Elizabeth – szepnął.

Oparła czoło o jego tors.

– Nie wiem jak. Nie wiem, jak ci to opowiedzieć. Widziałam tyle miłości i...

– Miłości! – prychnął. – Myślisz, że kiedy facet bierze cię do łóżka, to jest miłość? Czy Montgomery obiecał ci dozgonną miłość? Poprosił cię o rękę?

– Nie, ale... – zaczęła.

– Elizabeth, nic nie wiesz o mężczyznach. Byłaś zaledwie pionkiem w tej grze. Nie rozumiesz, że skaczą teraz z uciechy, iż Chatworthówna nosi dziecko z ich krwi? Myślą, że wygrali.

– Wygrali! – wycedziła. – Nienawidzę tej gadaniny. Co mam powiedzieć mojemu dziecku? Że było pionkiem w durnej wojence?

– Durnej? Jak możesz tak mówić, kiedy Brian siedzi w jakimś lesie i nienawidzi mnie przez Montgomerych?

Elizabeth nie powiedziała Rogerowi, że widziała się z Brianem w Szkocji.

– Czy kiedykolwiek pomyślałeś, że sam jesteś winny nienawiści Briana? Może mi opowiesz, co się stało z Mary Montgomery?

Odwrócił się od niej gwałtownie.

– Byłem pijany. To był... okropny wypadek. – Odwrócił się i spojrzał na nią pokornie. – Nie wskrzeszę dziewczyny. Król ukarał mnie aż nazbyt okrutnie. Brian mnie opuścił, a ty odeszłaś w ramiona wroga i wróciłaś z jego dzieckiem w łonie. I zamiast miłości, jaką mnie wcześniej darzyłaś, tylko zarzucasz mnie pytaniami i zwątpieniem. Jakiej jeszcze kary oczekujesz?

– Przepraszam, Rogerze – powiedziała łagodnie. – Jestem świadoma, że się zmieniłam. Nie wiem, czy Miles mnie kocha, czy nie. Nie wiem, czy poprosiłby mnie o rękę i dałby swoje nazwisko naszemu dziecku. Wiem tylko, że go kocham, i gdyby poprosił, poszłabym za nim na koniec świata.

Tylko wzrok Rogera zdradzał ból.

– Jak mogłaś się ode mnie odwrócić? Czy jest tak dobry w łóżku, że krzyki rozkoszy zaćmiły ci pamięć? Zapomniałaś o miłości, jaką cię darzyłem od urodzenia? Czy pięć miesięcy z nim przekreśliło osiemnaście lat ze mną?

– Nie, Rogerze. Kocham cię i zawsze będę cię kochała. Ale kocham was obu.

Uśmiechnął się.

– Jesteś taka młoda, Elizabeth. Chcesz dla siebie mężczyzny, którego pożąda połowa kobiet w Anglii. Chcesz mężczyzny, który bierze cię do łóżka, zostawia cię z dzieckiem i ani razu nie wspomina o małżeństwie. I cóż by to było za małżeństwo? Opiekowałabyś się wszystkimi jego bękartami, nawet tym najstarszym?

– Co wiesz o Kicie?

– Wiem bardzo wiele o swoich wrogach. Miles Montgomery lubi kobiety. Nie jesteś jego pierwszą i pewnie nie ostatnią. Szanuję go za to, że przynajmniej cię nie okłamywał, iż będziesz jedyną.

Dotknął jej ramienia.

– Jeśli chcesz męża, znajdę ci dobrego. Znam rycerzy, którzy wezmą cię nawet z dzieckiem i będą dla ciebie dobrzy. Z najmłodszym Montgomerym

byłabyś nieszczęśliwa.

– Być może – odparła, starając się myśleć rozsądnie.

Może dotyk Milesa odebrał jej zdolność widzenia? Miles zawsze był dla niej miły, ale był też miły dla pokojówek. Gdyby opuściła dla niego brata, Roger na pewno by ją znienawidził, a skąd miała wiedzieć, co się wydarzy za rok? A jeśli jej kochanek znów dostanie młodą ślicznotkę zawiniętą w derkę? Czy jej także powie, że do niego należy? Może przywiezie ją do domu, oczekując, że Elizabeth zatroszczy się o nią, jak o jego bękarty?

– Pozwól mi znaleźć dla ciebie męża. Sprowadzę wielu konkurentów i będziesz mogła sama wybrać. A przynajmniej porozmawiaj z nimi. Jeśli będziesz chciała zostać panną, także ci to umożliwię.

Spojrzała na niego z czułością. Wszyscy szydziłoby z niego, że pozwolił siostrze mieć nieślubne dziecko. Niektórzy na pewno uznaliby, że Elizabeth zasługuje na śmierć. Roger doświadczył wielu upokorzeń, zwłaszcza w ostatnich latach, a jednak był gotów przyjąć dla niej kolejne zniewagi.

Pod wpływem tego spojrzenia Roger uśmiechnął się psotnie. Wyglądał tak, jakby po raz pierwszy od miesięcy znalazł powód do życia.

– Porozmawiam z konkurentami – oznajmiła szczerze. Postanowiła spróbować zakochać się w którymś. Będzie miała kochającego, dobrego męża, gromadkę dzieci i braci pod ręką. Musi tylko wymyślić, jak pogodzić Briana i Rogera.

\* \* \*

W ciągu kolejnych kilku dni Elizabeth dowiedziała się, czym jest prawdziwa miłość. Zanim poznała Milesa, nie miała o niej zielonego pojęcia. Twierdziła, że nigdy nie pokocha mężczyzny, ale wtedy spotkała jego i wszystko się zmieniło. Przez pięć miesięcy był cierpliwy i pogodny, czuły i troskliwy, wyrozumiały i wesoły, aż w końcu go pokochała. Spodziewała się, że zawsze w jej sercu pozostanie okrusz uczucia dla Milesa, jednak na świecie musieli istnieć inni łagodni i czuli mężczyźni. Powinna tylko zakochać się w którymś z nich i wszystko wróci do normy.

Nie doceniała jednak siły prawdziwej miłości.

Roger spraszał do zamku tuziny konkurentów. Byli wśród nich wysocy i niscy, szczupli i okrągli, brzydcy i tak przystojni, że gapiała się na nich z otwartymi ustami. Nieśmiali, pyszałkowaci, zabawni i jeden, który pięknie śpiewał. Każdego dnia zjeżdżali się tłumnie, jakby była królewską córką.

Z początku pochlebiali jej ich starania, jednak po kilku dniach zaczął wracać dawny lęk. Któryś z mężczyzn dotknął jej ramienia, a Elizabeth podskoczyła jak oparzona, chcąc sięgnąć po sztylet. Po tygodniu szukała wymówek, by pozostać

w swojej komnacie, albo była zawsze w towarzystwie Rogera.

Pewnego dnia Roger zniechęca wyjechał z zamku. Bez słowa wyjaśnienia wskoczył na konia i z ośmioosobową kompanią pomknął cwałem jak szalony. Służący zdradził jej, że Roger dostał wiadomość od brudnego włóczęgi i nie wydając żadnych poleceń, rzucił się ku stajniom. Wiadomość spalił w kominku.

Elizabeth była bliska łez. W wielkiej sali czekało na nią jedenastu konkurentów i teraz ona była gospodynią zamku. Nie mogła rozmawiać z każdym po kolei, bo w czasie takiej rozmowy cały czas zastanawiała się, co robią pozostali, i w ogóle nie słuchała. Miesiące ciężkiej pracy Milesa poszły na marne. Pewnego razu rzuciła miedzianą wazą w zalotnika, który po prostu za nią szedł, i w popłochu uciekła do komnaty. Tego dnia nie wróciła już do wielkiej sali.

Godzinami leżała w łóżku i myślała o Milesie. Porównywała z nim każdego mężczyznę, który stawał na jej drodze. Nawet gdyby przedstawili jej najpiękniejszego, najmilszego, najbogatszego młodzieńca, myślałaby tylko o tym, że ma za jasne włosy, lub widziała równie nedorzeczny mankament. Pewnego wieczoru pozwoliła zalotnikowi pocałować się w czasie spaceru. Zdołała się powstrzymać przed wbiciem obcasa w jego stopę, jednak odruchowo otarła usta wierzchem dłoni i młodzieniec poczuł się strasznie urażony.

Elizabeth starała się z całych sił, ale żaden z zalotników nie był w stanie przykuć jej uwagi. Dni mijały, a ona marzyła o spotkaniu z Bronwyn. Mogłaby wreszcie z kimś szczerze porozmawiać i zapytać o radę.

Siadała właśnie do pisania listu, gdy wycieńczony Roger wjechał na dziedziniec ze zmasakrowanym ciałem Briana w objęciach. Wyszła mu na spotkanie, lecz minął ją bez słowa. Zaniósł ciało Briana do swojej sypialni i zamknął się w niej na dwa dni. Kiedy wreszcie wyszedł, wzrok miał pusty i straszny.

– Wiesz, kto to zrobił? Twój Montgomery – wycharczał, odtrącając ją z drogi.

Pochowali Briana tego popołudnia, lecz Roger już się nie pojawił. Elizabeth posadziła na grobie róże i płakała nad losem obydwu swoich braci. Konkurenci do jej ręki opuścili ponure domostwo i Elizabeth została sama z Alice, która zadrezczała ją całymi dniami. W kółko powtarzała, że cały ród Montgomerych powinien zginąć w mękach. Miała obsesję na punkcie lamp oliwnych, którymi potrząsała i wymachiwała, budząc grozę wśród służących. Twierdziła także, że dziecko Elizabeth urodzi się naznaczone przez szatana i będzie przeklęte na wieki.

Na początku marca przyjechał królewski herold. Łowczy szukał Rogera cały dzień i noc, aż wreszcie odnalazł go w pasterskim szałasie. Wyglądał jak szkielet obleczony skórą i odziany w łachmany. Wychudzone policzki pokrywał mu splątany zarost, włosy miał brudne, a oczy szalone.

W milczeniu odczytał królewski list i wrzucił go do kominka.



– Przekaż królowi, że się nie zgadzam – oświadczył spokojnie i opuścił zamek.

Elizabeth westchnęła. Nie miała pojęcia, co było w liście. Z całym spokojem, na jaki mogła się zdobyć, odprawiła herolda i usiadła przy oknie. Na cokolwiek Roger się nie zgodził, niebawem wyjdzie na jaw, gdy król dowie się o jego odmowie. Położyła dłonie na okrągłym brzuchu i zastanawiała się, czy jej dziecko pożyje wystarczająco długo, by się wstydziło, że jest bękartem.

*Rozdział  
czternasty*

Sześć dni po wizycie herolda Elizabeth spacerowała samotnie po ogrodzie. Roger znów zniknął, a śmierć Briana odebrała Alice resztki zdrowego rozsądku. Nie żeby bratowa jakkolwiek dbała o Briana, jednak myśl, że zabił go Montgomery, do głębi nią wstrząsnęła. Elizabeth myślała o Rainie z nienawiścią.

Cień przesłonił zwirową ścieżkę. Elizabeth wstrzymała oddech, podniosła wzrok i utonęła w ciemnych oczach Milesa Montgomery'ego. Omiótł spojrzeniem jej kosztowną suknię z kremowego jedwabiu, dwa rzędy pereł na szyi i pierścień z wielkim rubinem.

Elizabeth pożerała go wzrokiem. Pod oczami miał sine kręgi, a ubranie na nim wisiało. Widać było, że jeszcze nie do końca wyzdrowiał.

– Chodź – odezwał się szorstko.

Elizabeth nie zawahała się nawet. Ruszyła za nim przez ogrody aż do lasu otaczającego zamek Chatworth. Umowna granica między ogrodem a lasem powinna być strzeżona, jednak Miles jakoś zdołał się przemknąć.

Nie odezwał się do niej, nawet na nią nie spojrział. Dopiero gdy dotarli do dwóch osiodłanych koni, zrozumiała, co się zmieniło. Miles ją znienawidził. Mówiło o tym jego usztywnione ciało, zimne oczy, szorstki głos.

Elizabeth zacisnęła pięści.

– Dokąd mnie zabierasz?

Odwrócił się do niej.

– Król rozkazał, byśmy się pobrali. Twój brat mu odmówił. Jeśli nie wykonamy rozkazu, król ogłosi mnie i twojego brata zdrajcami, a nasze ziemie zostaną skonfiskowane. – Zerknął na rubin. – Nie musisz się obawiać. Po ślubie odwiozę cię z powrotem. Domyślam się, że nie życzyłabyś sobie, by odebrano ci wszystko, co tak wysoko cenisz.

Odwrócił się, jakby jej widok sprawiał mu ból. Elizabeth próbowała dosiąść konia, lecz zaplątała się w suknię, a dłonie tak jej drżały, że nie mogła utrzymać wodzy. Miles podszedł i dotykając jej tylko tyle, ile było konieczne, podsadził ją na siodło.

Elizabeth jechała za nim oszołomiona. Oczy miała tak suche, że piekły, wargi zbieleły, a włosy potargane przez wiatr. Myślała jedynie o dźwięku, jaki wydawała uprzęż, i nie mogła skupić wzroku na galopującym przed nią Milesie.

Po godzinie zatrzymali się na obrzeżach małej wioski, przed drzwiami uroczego domku obok kościoła. Miles zeskoczył z siodła, nie patrząc nawet, jak Elizabeth szamocze się przy zsiadaniu. W otwartych drzwiach stanął ksiądz.

– Ach, więc to jest prześliczna panna młoda – uśmiechnął się z sympatią. –

Chodźcie. Wiem, jaki jesteś niecierpliwy, Miles.

Miles ruszył do środka, nawet na nią nie patrząc. Elizabeth chwyciła go za ramię. Spojrzał na jej rękę z taką odrazą, że od razu ją cofnęła.

– Czy po wszystkim będziemy mogli wreszcie porozmawiać? – szepnęła.

– Jeśli to nie zajmie zbyt wiele czasu – odparł zimno. – Brat na mnie czeka.

– Nie zatrzymam cię na długo – odrzekła, starając się zachować resztki godności. Zebrała suknię dłonią i weszła do kościoła.

Po chwili byli już małżeństwem. Nie mieli świadków z obu rodzin, stało przy nich kilku nieznanym wieśniaków, których przyprowadził ksiądz. Wypowiadali słowa przysięgi bez cienia emocji, nie patrząc na siebie. Gdy ksiądz ogłosił ich mężem i żoną, Miles odwrócił się ku niej. Elizabeth wstrzymała oddech. Nie pocałował jej.

– Możemy porozmawiać w zakrystii – oświadczył sucho.

Wyprostowała się i ruszyła przodem.

Gdy znaleźli się sami, Miles oparł się o ścianę.

– Mów, co masz do powiedzenia.

W pierwszej chwili chciała go posłać do diabła, ale zachowała spokój.

– Nie wiedziałam, że król rozkazał nam się pobrać. Nigdy bym nie odmówiła. Zrobiłabym wszystko, żeby zakończyć tę wojnę.

– Poszłabyś do łóżka z najgorszym wrogiem? – zadrwił.

Zacisnęła zęby.

– Roger oszalał z udręki po śmierci Briana – powiedziała. Jej oczy rozbłyły gniewem.

Miles wyduł wargi.

– Pewnie nie wiesz, że Raine’owi udało się przeżyć po wypiciu trucizny?

– Trucizny? – zdumiała się Elizabeth. – O co tym razem oskarżasz Rogera?

– Nie Rogera. Brian próbował go otruć.

– Cóż, zapłacił za to własnym życiem. Cieszyłeś się, rozdzierając mojego brata na strzępy? Nasyciłeś żądzę zemsty?

Miles patrzył na nią beznamiętnie.

– Widzę, że postanowiłaś wrócić do zwyczaju wysłuchiwanie tylko jednej strony. Czyżby Roger powiedział ci, że to ja zabiłem Briana?

– Nie do końca, ale...

Miles odsunął się od ściany.

– Powinnaś go zatem zapytać wprost. Twój idealny braciszek jak zwykle mija się z prawdą. Jeśli nie masz w zanadrzu więcej bezpodstawnych oskarżeń, pójdę już.

– Zaczekaj! – zawołała. – Proszę, powiedz mi, co u was. Jak się czuje sir Guy?

Oczy Milesa pociemniały.

– A co cię to obchodzi? Od kiedy dbasz o kogokolwiek poza tym draniem, twoim braciszkiem? Guy ledwo przeżył jego zdradzieckie strzały. Roger powinien poćwiczyć strzelanie do celu. Trzy razy nie trafił w serce Guya.

– A Kit? – wyszeptała.

– Kit – wycedził Miles. – Kit płakał przez trzy dni, kiedy odeszłaś, a teraz nie pozwala niani Philipa wchodzić do jego pokoju. Niania ma na imię Elizabeth.

– Nigdy nie chciałam... – zaszlochała. – Kocham Kita...

– Nie, Elizabeth. Nie kochasz. Byliśmy dla ciebie niczym. I odpłaciłaś nam szczerze za przetrzymywanie cię wbrew twej woli. Jesteś, bądź co bądź, Chatworthówną.

Elizabeth nie zdołała dłużej powściągać gniewu.

– Nie zniosę więcej twoich insynuacji! Co niby miałam zrobić, kiedy Roger przykładał ci ostrze miecza do gardła? Zostać i patrzeć, jak cię zabija? Nie rozumiesz, że odeszłam, by ocalić twoje życie?

– Mam w to uwierzyć? – odparł obojętnie. – Stoisz tu, epatując perłami. Rubin na twoim palcu jest wart więcej niż wszystko, co posiadam, a ty mi wmawiasz, że odeszłaś, żeby mnie chronić? Na jakiej podstawie przypuszczasz, że jestem głupi?

– Powiedz mi w takim razie, co twoim zdaniem powinnam była zrobić?

Zmrużył oczy.

– Skoro twój brat tak cię kocha, powinnaś była mu powiedzieć, że chcesz ze mną zostać.

Parsknęła śmiechem.

– Och, jasne! To by wszystko rozwiązało! Roger z pewnością schowałby miecz, ucałował mnie na szczęście i odjechał do domu. Niestety, Roger ma podobny temperament do twojego. Poza tym, Milesie Montgomery, skąd miałam wiedzieć, że chcesz, żebym z tobą została.

Przez chwilę milczał.

– Moje zamiary były zawsze szczerze. Wyrażałem je otwarcie i wielokrotnie. Słyszałem, że masz wielu konkurentów i nie skąpisz im wdzięków. Jestem wielce przekonany, że zamążpójście nie przeszkodzi ci w obranej ścieżce życia. Choć pewnie poród skomplikuje ją na chwilę.

Podeszła powoli i z całej siły uderzyła go w twarz. Miles zachwiał się na moment, a potem podniósł na nią płonący wzrok. Jednym błyskawicznym ruchem chwycił obie jej ręce i przyparł do ściany, zgniatając wargi gwałtownym pocałunkiem. Tłumione przez wiele tygodni pożądanie wybuchło w Elizabeth jak płomień. Zachłannie wpiła się w jego usta i wyprężyła ciało, by wtulić się jak najmocniej. Miles całował jej szyję.

– Kochasz mnie, Elizabeth?

– Tak – wyznała szczerze.

– Jak bardzo? – szepnął, muskając jej ucho czubkiem języka.

– Miles... – jęknęła. – Kocham cię... Proszę... – Trzymał jej dłonie przy ścianie nad głową. Elizabeth tak bardzo chciała go objąć. – Kocham cię...

Miles w ułamku sekundy puścił ją i się odsunął.

– Jak się czujesz, ty zdradziecki demonie? – wysyczał. – Jak to smakuje: kochać i być porzuconą? Błagałem, byś została, lecz ty wybrałaś brata. Może on da ci to, czego pragniesz. Żegnaj, Elizabeth Montgomery.

Przez długą chwilę Elizabeth nie była w stanie się poruszyć. Wreszcie oderwała się od ściany i opadła na krzesło. Wciąż siedziała, gdy do zakrystii wszedł poruszony ksiądz.

– Lord Miles odjechał. Przy kościele czeka na panią eskorta. Zostawił to dla pani. – Elizabeth nie zareagowała. Duchowny ujął jej dłoń i zamknął palce wokół czegoś ciężkiego i zimnego. – Nie śpiesz się, moja droga. Jeźdźcy zaczekają.

Elizabeth potrzebowała kwadransa, żeby odzyskać siły i podnieść się z krzesła. Zimny przedmiot wypadł jej z dłoni i zadźwięczał na kamiennej podłodze. Uklękła i podniosła złoty pierścień ślubny z okazałym szmaragdem i trzema lampartami Montgomerych. W pierwszej chwili chciała nim cisnąć o ścianę, ale westchnęła tylko z rezygnacją i włożyła pierścień na palec. Eskortą czekała cierpliwie przed kościołem.

Roger wyjechał jej na spotkanie z tuzinem rycerzy. Jechali stępa z obnażonymi mieczami, gotowi do walki. Elizabeth spięła konia i ruszyła w ich stronę z pośpiechem.

– Śmierć Montgomerym! – ryknął Roger.

Elizabeth zdołała chwycić uzdę jego konia. Prawie wyrwała sobie ramię, jednak udało jej się zatrzymać ogiera. Przez chwilę oboje walczyli ze spłoszonymi zwierzętami.

– Dlaczego jeździsz w eskorcie Montgomerych? – krzyknął z gniewem Roger.

– Bo jestem Elizabeth Montgomery! – wrzasnęła z wściekłością.

Roger zaniemówił.

– Bracie, jak śmiałeś nie powiedzieć mi o rozkazie króla? – krzyknęła na niego Elizabeth. – Jakimi jeszcze kłamstwami mnie karmiłeś? Kto zabił mojego brata? Kto zabił Briana?

Twarz Rogera spąsowiała nagle.

– Montgomery... – zaczął.

– Nie! Gadaj prawdę!

Roger spojrzął na zbrojnych z nienawiścią, jakby któryś z nich zdradził Elizabeth szczegóły śmierci Briana.

– Mów prawdę natychmiast albo wracam z nimi do Szkocji. Jestem żoną Montgomery'ego i moje dziecko ma pełne prawo wychowywać się w ich domu.

Roger dyszał ciężko i zaciskał dłonie na łąku siodła.

– Ja zabiłem Briana! – ryknął. Wstrząsnął nim suchy szloch. – Zabiłem własnego brata. To chciałaś usłyszeć?

Elizabeth spodziewałaby się każdej odpowiedzi poza tą. Nagle opadła z sił.

– Wracajmy do domu, Rogerze. Tam porozmawiamy.

Gdy znaleźli się sami w bawialni, Elizabeth zażądała całej prawdy o wojnie między Chatworthami i rodem Montgomerych. Nie było jej łatwo słuchać tej historii, a jeszcze trudniejsze okazało się wyciągnięcie prawdy z Rogera. Jego wersja była mocno wypaczona przez emocje.

Gdy pojechał do Szkocji, uznał, że ma szansę ożenić się z Bronwyn, która istotnie była świetną partią. Opowiedział jej kilka bajeczek, by wydać się bardziej pociągającym, kto jednak nie kłamie, idąc w konkury? Zdołał wmanewrować Stephena Montgomery'ego w walkę o Bronwyn, a kiedy Stephen tak łatwo ją wygrał, Roger wpadł w szal i próbował go pchnąć w plecy. Upokorzenie okazało się nie do zniesienia. Porwał Bronwyn i Mary tylko po to, żeby pokazać Montgomerym, że powinni się z nim liczyć. Nigdy nie chciał, by którejs z nich stała się krzywdą.

– A jednak skrzywdziłeś Mary – warknęła Elizabeth.

– Brian chciał się z nią ożenić! – tłumaczył się Roger. – Wiedząc o moim upokorzeniu, nagle zapragnął za żonę starą, nijaką, nudną siostrę Montgomerych. Nikt inny w całym kraju by jej nie chciał. Wyobrażasz sobie, jak by się z nas wszyscy śmiali?

– Twoja duma jest odrażająca, Rogerze. Wolisz mieć brata w grobie niż szczęśliwie żonatego. Masz, czego chciałeś.

– Nie – szepnął.

– Ani ja. – Opadła na fotel. – Rogerze, chcę, żebyś mnie teraz uważnie posłuchał. Nastąpił właśnie koniec tej wojenki. Noszę nazwisko Montgomery i takie nazwisko również będzie miało moje dziecko. Dość walk, intryg i zrad.

– Jeśli on znów spróbuje cię zabrać... – zaczął Roger.

– Zabrać! – Poderwała się tak gwałtownie, że przewróciła fotel. – Błagałam go, żeby mnie zabrał, lecz Miles odmówił. I nie mogę go za to winić. Stracili ukochaną siostrę przez ciebie i nie zabili cię, choć zapewne powinni byli to zrobić.

– Brian...

– Ty zabiłeś Briana! – krzyknęła. – To wszystko stało się wyłącznie przez ciebie i Bóg mi świadkiem, że jeśli jeszcze raz choćby krzywo spojrzysz na Montgomerych, sama wyciągnę na ciebie miecz.

Wybiegła z komnaty, niemal przewracając Alice, która jak zwykle podsłuchiwała pod drzwiami.

\* \* \*

Minęły trzy dni, zanim Elizabeth była w stanie na tyle opanować gniew i żal, żeby w ogóle jasno myśleć. Gdy się wreszcie uspokoiła, doszła do wniosku, że w tej sytuacji nie pozostaje jej nic innego, jak oszacować wszystko, co posiada, i zastanowić się, co może z tym zrobić. Na pewno nie pozwoli swemu dziecku dorastać w takiej atmosferze, jaką sama musiała znosić. Prawdopodobnie nigdy nie będzie żyć z Milesem, więc najbliższą osobą, która może zastąpić jej dziecku ojca, jest Roger.

Znalazła go przed kominkiem, grzebiącego bezmyślnie w palenisku. Gdyby była mężczyzną, wyciągnęłaby go z fotela i solidnie kopnęła w tyłek.

– Rogerze, mój bracie – odezwała się głosem słodkim jak miód – wcześniej chyba tego nie zauważyłam, ale zaczyna ci rosnąć brzuch.

Z zaskoczeniem położył rękę na płaskim brzuchu.

Elizabeth z trudem stłumiła uśmiech. Roger był bardzo przystojnym mężczyzną, przyzwyczajonym raczej do kobiecych pochwał.

– Być może w twoim wieku – ciągnęła Elizabeth – mięśnie zaczynają słabnąć i figura się zaokrągla.

– Nie jestem aż taki stary – oświadczył Roger, i wstał, wciągając brzuch.

– To właśnie uwielbiałam w Szkocji. Mężczyźni byli tacy szczupli, silni i wysportowani.

Spojrzał na nią z poirytowaniem.

– O co ci chodzi, Elizabeth?

– Chcę cię wydobyć z tego marazmu. Brian nie żyje i choćbyś codziennie wieczorem padał na łóżko kompletnie pijany, nie wskrzesisz go. Idź do tych leniów, twoich rycerzy, i weź się do roboty.

Oczy Rogera zalsniły.

– W istocie przyda mi się trochę ruchu – oświadczył, wychodząc z komnaty.

\* \* \*

Sześć tygodni później Elizabeth urodziła dużego, zdrowego chłopca, któremu nadała imiona Nicholas Roger. Chłopiec od urodzenia miał wysokie kości policzkowe jak Gavin Montgomery. Roger od pierwszej chwili traktował go jak własnego syna.

Gdy tylko Elizabeth wstała po położeniu, zaczęła urządzać dom dla małego Nicholasas. Przede wszystkim wybrała strażników, którzy mieli być przy nim dzień i noc. Alice zdawała się myśleć, że to dziecko Judith i Gavina. Elizabeth nie ufała wariatce ani trochę.

Nicholas nie miał jeszcze miesiąca, gdy dostała pierwszy list od Judith Montgomery. Był to powściągliwy, ostrożny list, w którym pytała o zdrowie dziecka i wyrażała głęboki żal, że nie zdążyła poznać Elizabeth, o której Bronwyn opowiada same dobre rzeczy. Ani słowa na temat Milesa.

Elizabeth odpisała natychmiast, chwając się małym Nickiem jak największym cudem tego świata. Wyznała, że jest podobny do Gavina, i zapytała, czy Judith ma jakieś rady dla niedoświadczonej matki.

Judith w odpowiedzi przesłała wielką skrzynię ślicznych dziecięcych ubranek, z których wyrósł już jej syn.

Elizabeth z niepokojem pokazała ubranka Rogerowi i powiedziała mu, że koresponduje z Judith. Roger, zmęczony ćwiczeniami, nie powiedział ani słowa. Za to Alice lamentowała godzinami. Nikt już jej nie słuchał.

Dopiero w piątym liście Judith wspomniała o Milesie, i to tylko przy okazji. Napisała, że Miles mieszka w lesie z Raine'em, który rozstał się z żoną. I że obaj płaczą z tęsknoty, włócząc się pośród drzew. Elizabeth przez cały tydzień czuła się fantastycznie. Śmiała się co chwila i opowiadała Nickowi o wspaniałym tatusiu i kochanym bracie Kicie.

We wrześniu Elizabeth wysłała Judith sadzonki do jej ogrodu i starannie uszyty dublet dla Kita. Judith odpisała, że Kit jest zachwycony i najchętniej nie zdejmowałby go w ogóle. A Miles i Gavin nie mogą uwierzyć, że przy tak wielu obowiązkach Elizabeth zdołała jeszcze szyć.

Tuż po świętach Judith przysłała długi, poważny list. Raine pogodził się z żoną, a Miles przyjechał odwiedzić Gavina przed podróżą do swoich posiadłości. Judith była zdumiona zmianami, jakie się w nim dokonały. Zawsze chadzał swoimi ścieżkami, teraz jednak w ogóle się nie odzywa. Co gorsza, jego legendarna miłość do kobiet gdzieś zniknęła. Kobiety wciąż do niego lgnęły, jednak Miles patrzył na nie podejrzliwie i bez najmniejszego zainteresowania. Judith starała się z nim o tym porozmawiać, ale powiedział, że jest żonaty, a małżonkowie przysięgają wierność. Judith błagała Elizabeth, by przebaczyła Milesowi. Ostrzegła ją też, że bracia Montgomery są szaleńczo zazdrośni.

Elizabeth odwzajemniła się bardzo długim listem, w którym wylała wszystkie swoje żale. Wyznała, że Miles jest jedynym mężczyzną, który kiedykolwiek dotykał jej ciała. Że błagała, by ją zabrał po ślubie, ale odmówił. Że odeszła z Rogerem z jednego tylko powodu – by uratować życie Milesa. Rozpisała się na kilka stron, żaląc się na własną głupotę. Że ślepo wierzyła bratu, że wierzyła Milesowi. Że w końcu została sama. I że to tylko Miles trzyma ich na dystans.

Gdy tylko wysłała list, natychmiast chciała go odzyskać. Nigdy nie spotkała Judith Montgomery. Jeśli choć cząstka opowieści Alice była prawdziwa, Judith jest potworem i może ostatecznie zaprzepaścić szansę na porozumienie z Milesem.

Czekała na odpowiedź blisko miesiąc i niemal popadła w obłęd z niepokoju. Roger codziennie dopytywał, co się z nią dzieje. Alice wkradła się do jej pokoju, znalazła listy Judith, przeczytała je i ze szczegółami opowiedziała Rogerowi. Gdy Roger wzruszył ramionami i wyszedł, Alice wpadła w szal na resztę dnia.

Odpowiedź Judith była krótka. W połowie lutego Miles rozbija obóz



nieopodal zamku Chatworth na obrzeżach wioski Westermore. Sir Guy chętnie udzieli Elizabeth każdej pomocy, jakiej będzie potrzebowała.

Elizabeth spała z listem, nosiła go przy sobie, a wreszcie ukryła za obłuzowanym kamieniem w kominku. Przez kilka dni chodziła z głową w chmurach, wreszcie oprzytomniała. Dlaczego Miles miałby ją przyjąć? Co powinna zrobić, żeby znów jej zapragnął?

*Jesteś moja, Elizabeth – powtarzał. Los mi cię podarował.*

W oszołomionym umyśle Elizabeth zaczął się rysować śmiały plan. Zachichotała cicho. Czy zdobędzie się na taki gest? Mijały minuty i była coraz bardziej przekonana, że powinna się znów ofiarować w darze Milesowi.

W chwili gdy Elizabeth w oranżerii snuła śmiałe, erotyczne wizje, Alice ponownie przeszukiwała jej komnatę. Znalazła ostatni list od Judith i zaniósła Rogerowi. Tym razem nie odwrócił się z pogardą, zacisnął tylko wargi i nic nie powiedział. Przez kilka kolejnych dni po Chatworth krążyły trzy osoby snujące w sercach plany. Wykluczające się plany.

*Rozdział  
piętnasty*

Nie ma mowy! – zachnął się sir Guy. Mówił cicho, lecz jego szept brzmiał jak krzyk.

– Judith napisała, że chętnie mi pomożesz, sir.

Sir Guy wyprostował się na całą wysokość. Blizna na jego twarzy przybrała kolor purpury.

– Lady – podkreślił. – Lady Judith nie przypuszczała, że poprosisz mnie o coś równie szalonego, pani. Jak mogłaś w ogóle o tym pomyśleć?

Elizabeth odwróciła się i kopnęła ze złości derkę zwiniętą na ziemi. Wciąż uważała, że to świetny pomysł. Gdyby sir Guy zaniósł ją do Milesa naga, owiniętą w derkę, jej mąż uśmiełby się i jej wybaczył. Ale sir Guy nie miał zamiaru brać w tym udziału.

– Co w takim razie proponujesz, sir? – zapytała ponuro. – Wiem, że nie spotka się ze mną, jeśli poproszę o to wprost.

– Lady Alyx wysłała lordowi Raine’owi swoją córkę. Dziecko było zwiastunem pokoju między nimi.

– Nie ma mowy! Nie pozwolę na to, by Miles dostał Nicka w swoje ręce. Zatrudni tylko kolejną piastunkę i włączy go do armii swoich bękartów. Nigdy więcej nie zobaczę ani jednego, ani drugiego. – Oparła się o drzewo, myśląc intensywnie. Wiedziała, że zwykle spotkanie na nic się nie zda. Miles nawet nie będzie chciał jej słuchać. Jej jedyną nadzieją było wzniesienie w nim pożądania, nad którym nie będzie w stanie zapanować. Być może potem będą mogli porozmawiać.

Machinalnie mięła w dłoniach piękną czarną pelerynę obszytą futrem. Materia okrywała jej ciało od ramion po kostki. Uśmiechnęła się i spojrzała na sir Guya.

– Czy mógłbyś zaaranżować nasze spotkanie sam na sam? Nie w namiocie, lecz tutaj, w lesie. Tylko naprawdę sam na sam. Nie wątpię, że Miles wezwie strażę, ale niech wtedy nikt nie przychodzi.

– Nie podoba mi się to – odparł z uporem. – A jeśli naprawdę znajdzie się w niebezpieczeństwie?

– Jasne! – prychnęła sarkastycznie. – Powalę go na ziemię i zasztyletuję.

Sir Guy ostentacyjnie zaszurał stopą, którą mu niegdyś zmiażdżyła. Elizabeth uśmiechnęła się pod nosem.

– Proszę cię, Guy. Już od dawna nie skrzywdziłam żadnego mężczyzny. Kocham Milesa, jestem jego żoną i chcę, żeby mnie znowu pokochał.

– Lord Miles nie tylko cię kocha, pani. Ma na twoim punkcie obsesję. Ale

zraniłaś jego dumę. Żadna kobieta do tej pory go nie odtrąciła.

– Nie będę więcej za to przepraszała. W tamtej chwili nie miałam innego wyjścia, musiałam tak zrobić. Pomożesz mi spotkać się z mężem?

Sir Guy pokiwał głową.

– Na pewno tego pożałuję – burknął.

Elizabeth uśmiechnęła się promiennie.

– Będziesz ojcem chrzestnym naszego drugiego dziecka – oznajmiła.

Sir Guy prychnął.

– Lord Miles będzie tu za godzinę. I na godzinę.

– Zatem nakryjesz nas na gorącym uczynku. Zamierzam uwieść mojego męża. Daj nam trzy godziny.

– Nie jesteś damą, Elizabeth Montgomery – oznajmił sir Guy, ale w kącikach ust majaczył mu uśmiech.

– Nie mam za grosz przyzwoitości – zgodziła się. – A teraz idź. Muszę się przygotować.

Kiedy została sama, odwaga zaczęła ją opuszczać. To była prawdopodobnie jedyna i ostatnia szansa na odzyskanie serca męża. Elizabeth modliła się szczerze, by wszystko poszło po jej myśli. Drżącymi dłońmi rozpięła suknię. Miała nadzieję, że dobrze zna Milesa. Mógł się jej opierać w rozmowie, ale fizycznie nie da rady. Ukryła ubranie pod liśćmi i owinęła nagie ciało peleryną. Westchnęła rozdierająco, usiadła na zwałonym pniu i czekała.

Usłyszawszy w oddali kroki, zastygła z niepokojem. To był Miles. Poznała jego chód: lekki, prędki, trochę nerwowy. Wstała.

W pierwszej chwili spojrział na nią z tęsknotą i czułością, lecz szybko się otrząsnął, przetarł twarz dłonią i znów był obojętny.

– Zgubiłaś gdzieś brata? – zapytał drwiąco.

– Milesie... Jak dobrze cię widzieć. Czy myślisz, że moglibyśmy żyć razem? Jak mąż i żona?

– We trójkę?

– Owszem – odparła z uśmiechem. – Ty, ja i nasz syn Nicholas.

– Rozumiem. A ciekawe, co pocnie twój brat bez ukochanej siostry, dla której zabił tak wielu?

Elizabeth podeszła do niego.

– Od naszego ostatniego spotkania minęło wiele czasu. Miałam nadzieję, że pokonałeś zmyły zazdrości.

– Nie jestem zazdrosny! – warknął. – Musiałaś podjąć decyzję i ją podjąć. Wyznaczę ci eskortę, żebyś bezpiecznie wróciła do brata. Straże!

Nikt się nie pojawił. Miles drgnął z zaskoczenia, zanim jednak zdążył się znów odezwać, Elizabeth odrzuciła z ramion pelerynę, odsłaniając nagie ciało. Zaniemówił, wpatrując się w nią z zachwytem. Elizabeth okryła się znowu,

zostawiając niewielką szczelinę, ukazującą jej smukłe ciało aż do pasa. Powoli, poruszając się niemal niezauważalnie, jak wytrawny myśliwy, podeszła do Milesa i położyła dłoń na jego karku. Miles bezwiednie wyciągnął rękę i pogładził mleczną skórę na jej biodrze.

– Milesie, czy naprawdę muszę cię błagać na kolanach? – zapytała, wpatrując się w jego wargi. – Tak wiele razy się myliłam. Popęłniłam tyle błędów. Kocham cię i chcę z tobą być. Pragnę mieć z tobą jeszcze wiele dzieci.

Miles powoli przybliżył wargi do jej ust. Zdawało się, że walczy z całych sił, żeby jej nie ulec.

– Elizabeth – mruknął, całując ją ostrożnie.

Długo tłumione pożądanie wybuchnęło między nimi w jednej chwili. Miles wsunął dłoń pod pelerynę i podniósł Elizabeth na ręce. Przywarła do niego rozpaczliwie, poddając się pocałunkom.

– Tak bardzo za tobą tęskniłem! Chwilami zdawało mi się, że postradałem zmysły.

– Ja z pewnością postradałam je dawno temu – odszepnęła, na wpół śmiejąc się, na wpół płacząc. – Jak mogłeś nie wiedzieć, że tylko ciebie kocham? Nie pozwoliłabym się dotknąć nikomu innemu.

Miles scałował łązy z jej policzków.

– Słyszałem, że John Bascum potrzebował chirurga po spotkaniu z tobą.

Pocałowała go w usta, ucinając rozmowę. Powoli, bezwiednie osuwali się na ziemię. Elizabeth rozpięła ubranie Milesa, jego dłonie błądziły po całym jej ciele.

– Łapy precz!

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do nich, co się dzieje. Roger Chatworth mierzył mieczem w Milesa.

Miles obrzucił Elizabeth zimnym spojrzeniem i podniósł się z ziemi.

– Jest twoja – stwierdził, wzruszając ramionami.

– Niech cię piekło pochłonie, Rogerze! – krzyknęła Elizabeth, chwytając garść drobnych kamyków i rzucając w głowę Rogera. – Zostaw mnie wreszcie w spokoju! Schowaj ten cholerny miecz!

– Zabiję go, jeśli...

– Spróbuj – odparł Miles, wyciągając miecz.

– Nie! – Elizabeth skoczyła na równe nogi i stanęła pomiędzy nimi, osłaniając Milesa własnym ciałem. – Rogerze, zrozum wreszcie. Miles to mój mąż! Zamierzam wrócić z nim do jego domu. O ile zgodzi się mnie przyjąć po tym, jak nas oboje upokorzyłeś.

– Jaki tam z niego mąż! – syknął Roger. – Nie daje znaku życia, gardzi tobą i nawet nie próbował zobaczyć własnego syna. Czy tego właśnie chcesz, Elizabeth? Porzucisz dom, który dla ciebie stworzyłem, dla człowieka, któremu jesteś obojętna? Ile kobiet zapłodniłeś, odkąd odeszła, Montgomery?

– Więcej, niż ty zdołasz przez całe życie – odciął się Miles.

Elizabeth cofnęła się o krok w stronę Milesa. Roger zacisnął zęby.

– Gdybym miała choć trochę rozumu, kazałabym wam obydwu iść do diabła.

– Pozwól, że cię od niego uwolnię – oświadczył Roger, lecz gdy jego miecz musnął pelerynę Elizabeth, zastygł. – Nie masz za grosz wstydu? Czekając tu na niego jak... w takim stroju?

– Rogerze, przykro mi to stwierdzić, ale jesteś takim idiotą, że dociera do ciebie tylko to, co wtłoczy ci się do głowy na siłę. – Odwróciła się do Milesa i przywarła wargami do jego ust. Miles najwyraźniej zrozumiał, że tym razem Elizabeth wybiera jego. Chwycił ją w ramiona i pocałował z żarem.

Roger trząsał się z wściekłości. Był tak zaślepiiony, że nie zauważył skradającego się za nim człowieka ani nie słyszał świstu opadającej pałki. Bez dźwięku osunął się na ziemię. Zatopieni w pocałunku Elizabeth i Miles nie słyszeli uderzenia, jednak niejasne przeczucie kazało Elizabeth otworzyć oczy. Na głowę Milesa właśnie spadała pałka. Elizabeth zdołała go odepchnąć i sama dostała w głowę. Straciła przytomność. W pierwszej chwili Miles nie rozumiał, dlaczego nagle zwiotczała w jego ramionach. Podtrzymując ją, odwrócił się, ale za późno. Celny cios w skroń powalił go na ziemię.

Trzech brudnych, obdartych mężczyzn stało na polanie.

– Który to Montgomery? – zapytał jeden.

– Skąd mam wiedzieć?

– To którego bierzemy?

– Obydwóch – zdecydował trzeci.

– A dziewczka? – zapytał pierwszy, rozchylając pałką poły peleryny Elizabeth.

– Ją też zabieramy. Kobieta Chatworthów mówiła, że może tu być jedna dziewczka i że mamy ją zabić. Ale ja wolę, żeby mi za nią najpierw zapłaciła. Ściągnijcie z nich ubrania – rozkazał, odcinając jasne pasmo włosów Elizabeth i chowając je do kieszeni. – Pośpieszcie się. Wóz nie będzie czekał wiecznie.

\* \* \*

Gdy Elizabeth się ocknęła, pożałowała, że odzyskała przytomność. W jej głowie tętnił oślepiający ból. Miała wrażenie, że ziemia się pod nią trzęsie. Gdy próbowała usiąść, upadła, uderzając głową o drewno.

– Ciiicho, ukochana – szepnął Miles.

Odwróciła się i napotkała jego czujny wzrok. Miał na sobie tylko bieliznę, nogi miał związane w kostkach, ręce wykręcone do tyłu. Obok Milesa na drewnianej podłodze chrapał związany Roger. Elizabeth potrząsnęła głową. Jej nadgarstki i kostki także były związane.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała szeptem, starając się nie okazywać strachu.

Głos Milesa był mocny, pewny i niósł ukojenie.

– Pod pokładem statku. Domyślam się, że w drodze do Francji.  
– Ale kto nas porwał? Dlaczego? – zdumiała się Elizabeth.  
– Może twój brat będzie wiedział – odparł obojętnie Miles. – Teraz musimy się jakoś uwolnić. Obróć się i zębami spróbuję rozwiązać węzeł na twoich rękach. Wtedy ty będziesz mogła mnie uwolnić z więzów.

Elizabeth kiwnęła głową. Była spokojna. Gdyby to Roger stał za ich porwaniem, nie byłoby go tu. Kiedy już miała wolne ręce, westchnęła z ulgą, rozcierając nadgarstki. Odwróciła się do Milesa, rozchyliła pelerynę i wtuliła się w niego nagim ciałem.

– Myślałeś o mnie? – zapytała, muskając wargami jego usta.

– W każdej chwili – odszepnął, całując ją z czułością. Pochylił się ku niej i chwycił wargami jej sutek.

Roześmiała się.

– Nie powinnam cię najpierw rozwiązać?

– Tam mnie nie związali – odrzekł, napierając na nią biodrami.

Elizabeth chwyciła go za ramiona i wpiła się w jego usta.

Głośne stęknienie budzącego się Rogera przywróciło ich do rzeczywistości.

– Szkoda, że nie mogę jeszcze raz znienawidzić twojego brata – westchnął teatralnie Miles.

Elizabeth podniosła się i zaczęła rozwiązywać linę na jego nadgarstkach.

– Co to ma być? – stęknął Roger. Usiadł, upadł znowu i po chwili usiadł jeszcze raz. – Co tym razem wymyśliłeś, Montgomery?

Miles zignorował zaczepkę. Roztarł nadgarstki i zajął się więzami na kostkach. Elizabeth poszła w jego ślady.

– Zamierzacie się uwolnić i zostawić mnie tutaj? – wybuchnął Roger. – Elizabeth, jak możesz puszczać w niepamięć...

– Och, zamknij się, Rogerze – przerwała mu Elizabeth. – Dość już narobiłeś kłopotów. Masz może pojęcie, dokąd płyniemy?

– Zapytaj swego kochasia. Jestem pewny, że on to zaplanował.

Miles tylko wzruszył ramionami. Położył dłonie na ramionach Elizabeth.

– Muszę wiedzieć, czy mogę na ciebie liczyć. Kiedy ktoś wejdzie do nas przez ten właz, ogłuszę go, a ty go zwiążesz. Mogę na tobie polegać?

– Zawsze mogłeś na mnie polegać, czy temu wierzysz czy nie – odparła chłodno.

– Próbowaliście zażądać uwolnienia? – wtrącił Roger. – Może zaproponować im okup?

– A masz coś w mieszk? – zadrwił Miles, patrząc znacząco na poszarpaną bieliznę Rogera.

Nikt nie powiedział nic więcej, bo właz otworzył się nagle z głośnym skrzypnięciem. Na drabinie pojawiła się czyjaś stopa.

– Na ziemię! – syknął Miles. Elizabeth natychmiast padła na podłogę obok Rogera i oboje zamknęli oczy. Miles bezszelestnie usunął się w głęboki cień obok drabiny. Marynarz schylił się, żeby zajrzeć do środka, i uśmiechnął się na widok dwójki nieprzytomnych jeńców. Zszedł kilka stopni, zanim zorientował się, że brakuje trzeciego. Miles nie dał mu czasu na zastanowienie. Chwycił go za obie kostki, zamachnął się i rzucił marynarzem pod ścianę. Odgłos głuchego tąpnięcia utonął wśród trzeszczenia desek i lin.

Miles złapał mężczyznę za włosy i podniósł bezwładną głowę.

– Mamy trochę czasu. – Zaczął rozpinać ubranie marynarza.

– Spodziewasz się, że tu zostanę, gdy ty zabierzesz ubranie tego nieboraka i zwiejesz, gdzie cię oczy poniosą? – zdenerwował się Roger, którego Elizabeth zdążyła uwolnić z więzów. – Nie oddam życia w zdradzieckie ręce Montgomery’ego!

– Owszem, oddasz! – syknęła Elizabeth. – Mam już dość twoich obsesji, Rogerze. Sam doprowadziłeś do tej wojny. Jeśli mamy się stąd wydostać, musisz zacząć współpracować. Co mamy robić, Milesie?

Miles z trudem wciskał się w za małe ubranie.

– Wrócę, gdy tylko zdołam cokolwiek ustalić – oznajmił, i już go nie było.

Elizabeth i Roger związali i zakneblowali nieprzytomnego marynarza i zaciągnęli go do ciemnego kąta.

– Zawsze już będziesz po jego stronie? – zapytał z goryczą Roger.

Elizabeth oparła się ciężko o ścianę. Bolała ją głowa, a pusty żołądek zaczynał się buntować.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pogodzić się z mężem. Miles ma rację. Mogłam coś zrobić, gdy zaatakowałeś nas w leśnej chacie. Nigdy nie byłam skłonny do wysłuchiwania moich racji, ale mogłam przynajmniej spróbować.

– Ublizas mi, Elizabeth! Zawsze byłem dla ciebie dobry.

– Nie, zawsze korzystałeś na tym, że byłeś dla mnie dobry. I zawsze oczekiwałeś, że będę ci odpłacała zawiązką. A teraz słuchaj. Jakkolwiek wpadliśmy w tę kabałę, musimy się z niej wyplątać. Musisz z nami współdziałać.

– Z Montgomerym?

– Z dwójką Montgomerych – ucięła Elizabeth.

Przez kilka chwil Roger milczał.

– To Alice – stwierdził w końcu. – Przyniosła mi list od żony Gavina. Wiedziała, gdzie zamierzasz się spotkać ze swoim...

– ...mężem – dokończyła Elizabeth. – Och, Rogerze! – jęknęła. – Nicholas! Jest sam z Alice. Musimy go ratować.

Roger położył dłoń na jej ramieniu.

– Nicholas ma strażników. Rozkazałem im jasno, że mają nie dopuszczać Alice w pobliże chłopca. Nie złamią rozkazów.

- Ale co się z nim stanie, kiedy nie wrócimy?
- Z pewnością Montgomery'owie się nim zaopiekują.

Spojrzała mu w oczy. Roger dopiero po chwili zrozumiał, co powiedział. Wprawdzie nie wprost, ale w zasadzie przyznał, że się mylił i niesłusznie oskarżał Montgomerych o wszelkie zło. Być może tysiące słów wypowiedzianych przez Elizabeth zaczęły przynosić skutek.

Skrzypnął właz. Oboje wstrzymali oddech i wypuścili głośno powietrze, kiedy po drabinie zsunął się Miles. Elizabeth rzuciła mu się na szyję, niemal wytrącając z rąk pakunki.

– Sądźmy, że Alice zaplanowała to wszystko. Och, Milesie, nic ci się nie stało?

Miles spojrzał na nią podejrzliwie.

– Ależ masz zmienne nastroje. Nic mi się nie stało. Przyniosłem jedzenie i ubrania. – Rzucił Rogerowi bochen chleba, a Elizabeth wręczył tłumok zwiniętych ubrań. Rzucił okiem na zakneblowanego marynarza, który ocknął się i patrzył na nich z przerażeniem.

Miles usiadł. Oprócz chleba przyniósł trochę suszonego mięsa i piekielnie mocny grog.

– Co widziałeś? – zapytał Roger.

Miles wiedział, jak wielką ujmą dla honoru Rogera było to proste pytanie.

– Ta krypa rozpada się ze starości. Załoga pijana w sztok snuje się po pokładzie, niektórzy są zbyt starzy, żeby w ogóle wstać. Nawet jeśli wiedzą, że jesteśmy więźniami, nic ich to nie obchodzi.

– Alice świetnie by się z nimi dogadała – stwierdziła z niesmakiem Elizabeth. – Zmierzamy do Francji?

– Zgadza się. Rozpoznaję już wybrzeże. Kiedy się ściemni, wymkniemy się i zabierzemy jedną z szalup. Powiosłujemy cicho do brzegu. Nie chcę ryzykować spotkania z komitetem powitalnym, który pewnie czeka na nas w porcie. – Spojrzał na Rogera. Chatworth pokiwał po chwili głową.

– A jak wrócimy do Anglii? – zapytała Elizabeth z pełnymi ustami.

– Mam krewnych jakieś cztery dni jazdy stąd. Jeśli nam się uda do nich dotrzeć, będziemy bezpieczni.

– Rzecz jasna, nie mamy koni ani żywności – wtrącił Roger, pijąc duszkiem wstrętny grog.

– Może uda nam się to zdobyć – zaryzykował Miles, podkreślając delikatnie słowo: „Nam”, i wziął od Rogera butelkę.

– Owszem. Może nam się udać – odparł równie cicho Roger.

Zjedli w milczeniu, a potem Elizabeth i Roger przebrali się w marynarskie stroje. Pod bluzą Elizabeth rysowały się piersi i Miles co chwilę zerkał w jej stronę. Wiedziała już, że nawet jeśli wciąż jest na nią wściekły, nie może się jej oprzeć.



Czyż nie powiedział, że myślał o niej przez cały czas?

Gdy w śmierzdzącej kajucie zrobiło się całkiem ciemno, Miles wysliznął się na pokład na przerażająco długi czas. Wreszcie wrócił.

– Upchnąłem jedzenie w szalupie – oznajmił i spojrzał na Rogera. – Muszę wierzyć, że będziesz nas osłaniał. Ruszę przodem, a Elizabeth pomiędzy nami.

Miles strzepnął brudne ubranie. Ze swymi czarnymi włosami z dzikim wzrokiem i cieniem nieogolonej brody na policzkach mógł od biedy zostać niezauważony. Roger, nawet w przebraniu, nie mógł ukryć umięśnionej, smukłej sylwetki ani arystokratycznych złotych włosów. O Elizabeth nawet nie warto wspominać. Jej anielskie rysy w żaden sposób nie mogłyby uchodzić za męskie. Pod czujnym okiem zakneblowanego marynarza, który starał się wtopić w mroczną kajutę, trójka więźniów wspięła się ostrożnie na drabinę. Miles trzymał się z przodu z niewielkim nożem w dłoni. Była to jedyna broń, jaką udało mu się zdobyć.

Chłodne nocne powietrze uderzyło Elizabeth w twarz. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, w jakiej zatęchłej dziurze ich trzymano. Wciągnęła głęboko rześkie powietrze, czując, jak rozjaśnia jej się w głowie. Miles niecierpliwie pociągnął ją za rękę.

Na pokładzie stało trzech marynarzy. Miles przykucnął za zwojem lin i przywołał ich gestem. Powolutku skradali się przy burcie, starając się nie robić najmniejszego szmeru.

W pewnej chwili Miles zatrzymał się i skinął na Rogera. Chatworth podpełzł do niego i błyskawicznie przeskoczył nad burtą. Elizabeth wstrzymała oddech, spodziewając się głośnego plusku, jednak nic nie usłyszała. Miles pokiwał jej dłonią. Bez zastanowienia przełożyła nogę nad burtą i przeleciała na drugą stronę. Roger chwycił ją w locie i posadził na ławce w szalupie.

Z głośno bijącym sercem patrzyła, jak Roger i Miles powolutku opuszczają szalupę na wodę, żeby nie plusnęła. Mięśnie na ich ramionach napięły się jak postronki. Elizabeth podniosła się, żeby pomóc Rogerowi z linami, ale odsunął ją niecierpliwym gestem. Siadając na ławce, zahaczyła o coś stopą i ledwie zdołała zdusić okrzyk grozy. Na dnie szalupy leżał martwy marynarz.

Nagle szarpnęło nimi i Roger wciągnął głośno powietrze, usiłując utrzymać szalupę nad wodą. Miles z jakiegoś powodu puścił liny. Roger z wysiłkiem posadził szalupę na falach, mamrocząc przekleństwa, i spojrzał w górę.

Milesa nie było widać. Elizabeth wpadła w panikę. Jak głęboko w serce Rogera wrosła nienawiść? Czy zdoła go powstrzymać, jeśli postanowi zostawić Milesa samego?

Roger jednak stał nieruchomo, wpatrując się w burtę. Szeroko rozstawił nogi i z całych sił ścisnął linę, która łączyła ich ze starą krypą.

Elizabeth czuła już łzy pod powiekami, gdy nad burtą pojawiła się głowa

Milesa. Montgomery spojrział na Rogera porozumiewawczo, po czym rzucił mu w ramiona kolejne ciało. Roger był na to przygotowany. Chwycił ciało i ułożył je na dnie szalupy. W następnej chwili Miles zsuwał się po linie. Ledwie dotknął stopą ławki, Roger odepchnął się od statku i zaczął wiosłować. Miles odepchnął ciało na boki, usiadł i chwycił drugą parę wioseł.

Elizabeth patrzyła, jak wspólnymi siłami kierują szalupę do brzegu, i nie mogła wykrztusić słowa.

*Rozdział  
szesnasty*

Pozbądźmy się ich – zaproponował Roger po godzinie wiosłowania.

Miles pokiwał głową, nie przestając wiosłować. Roger wrzucił bezwładne ciała do wody i wrócił do wiosł.

– Musimy zdobyć inne ubrania. Coś nieprzykuwającego uwagi i niebudzącego skojarzeń.

– Skojarzeń? – zdziwiła się Elizabeth. – Myślisz, że marynarze będą próbowali nas znaleźć?

Roger i Miles wymienili znaczące spojrzenia i poczuła się jak dziecko błądzące we mgle.

– Jeśli ktokolwiek dowie się o tym, że jesteśmy z rodów Montgomerych czy Chatworthów – tłumaczył Roger – natychmiast schwytają nas dla okupu. Skoro podróżujemy bez eskorty, musimy pozostać incognito.

– Może jako muzycy? – podsunęła Elizabeth. – Szkoda, że nie ma z nami Alyx.

Roger drgnął na dźwięk imienia żony Raine'a i opowiedział im, jak Alyx ocalała mu życie. Opowieść ciągnęła się do zmroku, aż dotarli do brzegu.

– Owiń się peleryną i trzymaj się blisko mnie – szepnął Miles. – Zaraz zaczną rozstawiać stragany na targu. Może uda nam się zdobyć jakieś ubrania.

Mimo że słońce dopiero zaczęło wstawać, targ roił się od handlarzy znoszących towary na sprzedaż. A oni ściągali na siebie wiele ukradkowych spojrzeń. Roger w łachmanach wyglądał jak księżę przebrany za żebraka, Elizabeth nie była w stanie ukryć długich złotych włosów, teraz splątanych i brudnych. I niemal wszystkie kobiety gapiły się beczelnie na Milesa.

Śliczna dziewczyna rozkładająca towar podniosła oczy na Montgomery'ego i oblizła wargi. Elizabeth zacisnęła zęby i ruszyła na nią, świerbiły ją dłonie, by tej małej przyłożyć. Miles zachichotał, łapiąc ją za ramię.

– Jak bardzo chcesz mieć suknię godną damy? – zapytał.

– Bardziej chciałabym przybić skalp tej jędzy nad drzwiami!

Miles spojrzał na nią tak pożądliwie, że poczuła falę gorąca między nogami.

– Bądź grzeczna – rozkazał przyciszonym tonem. – Bo dostaniesz lanie – dodał z uśmiechem i podszedł do ślicznej straganiarki.

– Co mogę dla pana zrobić? – zaczęła z francuskim akcentem.

– Może mogłabyś się rozebrać? – zamruczał Miles po francusku, pieszcząc palcami wyłożoną na straganie kapustę.

Elizabeth równie dobrze mogła być przydrożnym kamieniem. Kobieta w ogóle jej nie zauważała.

– Mogłabym – odmruknęła, kładąc dłoń na jego dłoni. – Co mi dasz w zamian?

Miles się wyprostował. Jego oczy lśniły rozbawieniem, na ustach miał zuchwały uśmiešek.

– Chciałbym wymienić piękną jedwabną pelerynę obszytą futrem na trzy komplety zwykłych ubrań i trochę jedzenia.

Dziewczyna obrzuciła Elizabeth niechętnym spojrzeniem.

– Jej pelerynę? – wycodziła.

Do straganu podeszło dwóch młodzieńców. Sądząc po obliczach, byli braćmi straganiarki. Elizabeth była wściekła, że Miles tak bezczelnie flirtuje na jej oczach. Spojrzała na młodzieńców spod rzęs.

– Przytrafił nam się okropny wypadek – zaświergotała ponętnie po francusku. – Mieliśmy nadzieję, że uda nam się wymienić tę cenną pelerynę na jakieś fatalaszki, choć suknia waszej siostry może się okazać nieco za... ciasna – oświadczyła, rozchylając pelerynę i pokazując opiętą na piersiach bluzę.

Miles ze złością naciągnął pelerynę Elizabeth, lecz młodzieńcy zdążyli już westchnąć z zachwytu.

– Wymieniacie się czy nie? – syknął Miles, nie patrząc na Elizabeth.

Bracia ochoczo pokiwali głowami i wypchnęli straganiarkę na zaplecze. Elizabeth ruszyła za nią i przebrała się pod peleryną w burą, luźną, bezkształtną suknię.

Miles i Roger też znaleźli dla siebie stroje, nieco przyciasne na rozbudowanych udach. Napelnili worki jedzeniem i wszyscy ruszyli na południe.

Byli już daleko za miasteczkiem, gdy Miles wreszcie na nią spojrział.

– Nauczyłaś się tych sztuczek w domu swego brata? Najwyraźniej skutecznie wyleczyłaś się z lęku przed mężczyznami.

– A co niby miałam zrobić? Stać i pozwolić tej dziwce cię uwodzić? Jeszcze chwila i zadarłbyś jej kieckę na oczach wszystkich.

– Być może – warknął Miles i zacisnął wargi.

– Dlaczego zawsze mnie oskarżasz o wszystko? Nigdy nie zawiodłam twojego zaufania. Zostałam z tobą w Szkocji i...

– Uciekłaś i prawie zabiłaś MacGregora. A potem wyjechałaś z bratem – odparł obojętnym tonem Miles.

– Nie miałam wyboru! – wykrzyknęła Elizabeth.

Roger westchnął.

– Gdyby ze mną nie wyjechała, zabiłbym cię, Montgomery. I nie uwierzyłbym w żadne słowa. Nie pozwoliłbym jej zostać.

– Czemu mi to mówisz? – zapytał po chwili Miles.

– Bo Elizabeth wciąż przekonywała mnie, jak bardzo... się myliłem. Myślę, że miała wiele racji.

Przez długi czas wędrowali w milczeniu, nie zdradzając swoich myśli. W południe usiedli przy strumieniu, by ugasić pragnienie i coś zjeść. Elizabeth zauważyła, że Miles ukradkiem jej się przygląda. Ciekawa była, o czym myśli.

Mijali na trakcie wielu podróżników. Bogatego kupca z osłem obciążonym skrzynkami. Wieśniaków i muzykantów. Kowali i szlachcica w eskorcie dwudziestu uzbrojonych rycerzy. Roger i Miles od razu wdali się w dyskusję na temat starodawnych zbroi i dziwnych kolorów chorągwi.

Gdy słońce zaczęło zachodzić, rozejrzeli się za miejscem na spoczynek. Choć ryzykowali oskarżeniem o kłusownictwo, postanowili zanocować w lesie, z dala od obozowisk. W czasie kolacji mężczyźni rozmawiali z ożywieniem o różnych metodach ćwiczeń i o wspólnych znajomych. Zachowywali się jak starzy przyjaciele po długiej rozłące. Elizabeth nie mogła tego znieść. Odeszła między drzewa, a oni nawet nie zauważyli. Przelykając łzy, wsłuchiwała się w szum wiatru. Kiedy Miles dotknął jej ramienia, odskoczyła.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– W porządku? – syknęła głośno z oczami pełnymi łez. – Ależ oczywiście, że w porządku! Miesiącami trzymałeś mnie w niewoli. Rozkochałeś mnie w sobie, a kiedy poświęciłam dla ciebie wszystko, co miałam, odepchnąłeś mnie. Urodziłam ci syna, spiskowałam z twoimi krewnymi i twoim rycerzem, żeby cię odzyskać, a ty jesteś zimny jak kamień. Kiedy cię całuję, oddajesz mi pocałunki, ale sam nie wychodzisz z żadną inicjatywą. Co mam zrobić, żebyś wreszcie zrozumiał, że cię nie zdradziłam? Że nie wolałam brata? Słyszałeś, że Roger przyznał się, że zabiłby cię bez wahania, gdybym z nim nie poszła. – Rozplakała się bezradnie.

Miles oparł się o drzewo. Blask księżycy posrebrzył jego oczy i włosy.

– Byłem przekonany, że tylko moich braci opętał demon pychy. Mówiłem, że Raine jest głupcem, kiedy nie chciał wybaczyć żonie wizyty u króla i błagania o wybaczenie. Króla bym ci wybaczył, ale ty wybrałaś innego mężczyznę, inny dom, nie mój. A kiedy słyszałem historie o wszystkich mężczyznach, z którymi spałaś, chciałem cię zabić.

Elizabeth chciała zaprotestować, ale Miles uciszył ją gestem.

– Być może to dlatego że miałem do czynienia z taką chmarą niewiernych żon? Kobiet, które wstawały rankiem z mojego łóżka i zakładały ślubną suknię? Może to skrzywiło mi obraz wszystkich kobiet. Masz rację, byłaś moim więźniem, ale oswoiłem cię tak łatwo.

– Walczyłam z tobą! – zachnęła się Elizabeth.

Miles tylko się uśmiechnął.

– Raine kładł mi do głowy, że jestem zwyczajnie zazdrosny, a najśmieszniejsze było to, że sam był zazdrosny o tego samego człowieka. Wierzył, że Alyx zakochała się w Rogerze.

– Jestem pewna, że Roger nie miał o tym zielonego pojęcia.

– Też tak sędzę, zwłaszcza po wysłuchaniu jego opowieści. Alyx musiała uratować Rogerowi życie, żeby ratować Raine’a. Mój brat jest tak uparty i gwałtowny, a w dodatku nigdy nie słucha głosu rozsądku.

– Czyżby? – zadrwiła Elizabeth. – Czy wpadł w taką wściekłość, że porozrywał sobie szwy? Czy musiałeś go faszerować narkotykami, żeby dał się położyć do łóżka?

Miles błysnął zębami w uśmiechu.

– Kiedy Raine się wścieka, wyciąga lancę. Ja mam własne sposoby.

Milczał przez długą chwilę.

– Jaki jest nasz syn? – zapytał cicho.

– Ma wysokie kości policzkowe jak Gavin. Na pierwszy rzut oka widać, że to Montgomery.

– Nigdy w to nie wątpiłem. – Elizabeth...?

– Tak? – szepnęła.

– Dlaczego odeszłaś? Dlaczego nie wróciłaś do mnie po tygodniu, po dwóch? Czekałem każdego dnia, modliłem się o twój powrót. Kit płakał tak strasznie. Kolejna matka go opuściła.

Łzy popłynęły po policzkach Elizabeth.

– Bałam się Rogera. Był oszalały z gniewu. Brian obiecał, że go zabije. Bałam się, że jeśli mnie tam nie będzie, wszystko potoczy się jak w złym śnie i Roger zaprzysięgnie wojnę rodowi Montgomerych. Miałam nadzieję, że uda mi się otworzyć jego oczy na prawdę. Sama także chciałam się dowiedzieć, skąd wzięła się ta waśń.

– A zalotnicy? – zapytał Miles. – Pagnell opowiedział wszystkim, jak złożył cię w ofierze. A wszyscy zalotnicy, którzy cię odwiedzali, jechali od razu do mnie i opowiadali... ze szczegółami.

Elizabeth uniosła dłoń.

– Jesteś nie tylko pierwszym mężczyzną, który mnie dotykał. Jesteś także pierwszym i jedynym, który rozmawiał ze mną bez lubieżnych komentarzy. Który mnie rozśmieszał i okazywał życzliwość. Przecież sam mi powiedziałaś, że nic nie wiem o mężczyznach.

– Ale sam wszystko ci pokazałem – stwierdził z goryczą.

– Tak, pokazałeś. Kiedy zdołałam myśleć o tym bez emocji, doszłam do wniosku, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli pokocham kogokolwiek innego. Gdybym wyszła za męża za innego, może Roger zdołałby zapomnieć, że noszę pod sercem syna Montgomery’ego, a wtedy część nienawiści zniknęłaby z jego serca i nie paliłby się tak do wojny. Postanowiłam więc spotkać się z jego znajomymi i przekonać, czy kochałam cię tylko dlatego, że byłeś pierwszy.

Miles w milczeniu przeszywał ją pałającym wzrokiem.

– Niektórzy z nich potrafili mnie rozśmieszyć, inni byli mili, jeszcze inni

sprawiali, że czułam się piękna. Jednak żaden nie potrafił dokonać tego wszystkiego naraz. Mijały tygodnie i nasza bliskość, zamiast się zacierać, stawała się coraz bardziej wyraźna. Przypominałam sobie każdy twój gest i wciąż porównywałam ich do ciebie.

– Nawet rozmiar...

– Niech cię piekło pochłonie! – nie wytrzymała Elizabeth. – Nie spałam z nikim innym. Jestem pewna, że doskonale o tym wiesz, ale wciąż chcesz, żebym to powtarzała.

– Dlaczego nie chciałaś wziąć ich do łóżka? Niektórzy są bardzo znanymi uwodzicielami.

– Jak ty? – prychnęła. – Jak możesz żądać ode mnie wierności? Jeśli obiecuję, że nikt inny mnie nie dotknie, wpuścisz mnie do swego nieskalanego łóżka? Dziś rano musiałam cię odciągać od jakiejś francuskiej dziewczyny! Jak sądzisz, jak się czułam, trzymając w ramionach naszego syna i myśląc, że być może w tej samej chwili tarzasz się w łóżku z jedną, dwiema czy wieloma innymi kobietami?

– Wieloma? – powtórzył z czułością. – Odkąd cię poznałem, inne kobiety dla mnie nie istnieją.

Elizabeth nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Nie... – zaczęła, lecz Miles wszedł jej w słowo.

– Ukryliśmy się z Raine'em w jednej z jego kryjówek i z wściekłości odprawiliśmy wszystkie kobiety, nawet praczkę. Ćwiczyliśmy walkę całymi dniami, piliśmy całymi nocami i przez cały czas przeklinaliśmy wszystkie kobiety. Raine pierwszy odzyskał rozum, kiedy żona przysłała mu córkę. Bawiąc się z maleńką Catherine, zatęskniłem za własnymi dziećmi, więc wróciłem na święta do Judith i Gavina. – Przeczesał włosy palcami.

– Zawsze uważałem, że Gavin jest trochę za szorstki dla swojej kochanej, drobnej żony. Ale nigdy wcześniej nie byłem obiektem jej intryg. Tymczasem teraz ta czarownica nawet na chwilę nie zostawiała mnie w spokoju. Była nie do wytrzymania. Całymi dniami rozpływała się nad naszym synem. Wiecznie wzdychała, że jej syn nigdy nie pozna swego kuzyna. Wzięła moją tarczę do naprawy i kazała na niej wymalować jasnowłosego anioła z niemowlęciem w objęciach. Na mojej tarczy, pojmujesz? Powiedziałem Gavinowi, żeby ją trzymał ode mnie z daleka albo skręć jej kark, ale tylko mnie wyśmiał. Kiedy dostała list, w którym pisałaś, że mogłabyś mi wybaczyć, rzuciła się na mnie ze zdwojoną siłą.

Miles zamknął oczy i westchnął.

– Sprowadziła do zamku Alyx i Raine'a. Alyx całymi dniami wyśpiewywała pieśni o wzgardzonej miłości i podłym, głupim, pyszałkowatym kochanku, który zupełnie przypadkowo wyglądał jak ja. Pewnego wieczoru przy kolacji przygrywało jej dwudziestu dwóch grajków, a Alyx śpiewała zabawną piosnkę o czarnowłosym durniu, który na własne życzenie zostaje sam. Wymalowała

wszystkie moje cechy tak celnie, że cała sala ryczała ze śmiechu, a jeden z rycerzy Gavina nawet spadł pod stół i złamał sobie dwa żebra. To było najlepsze wystąpienie Alyx, jakie widziałem.

Elizabeth była tak zdumiona jego opowieścią, że nie wiedziała, co powiedzieć.

– A ty? Co zrobiłeś?

Miles skrzywił się boleśnie.

– Z całym spokojem obszedłem stół i chwyciłem ją za gardło.

– Nie! – sapnęła Elizabeth ze zgrozą. – Alyx jest tak drobna, na pewno...

– Raine i Gavin wyciągnęli na mnie miecze. Stojąc pośrodku wielkiej sali, miażdżąc delikatną szyję Alyx w dłoniach i czując na karku ostrza mieczy własnych braci, zdałem sobie sprawę, że nie jestem sobą. Następnego dnia Judith umówiła nas w lesie. – Oczy zalśniły mu rozbawieniem. – Na spotkanie, na które zamierzałaś dotrzeć owinięta w derkę.

Elizabeth się odwróciła. Myślała, że sir Guy jest po jej stronie, tymczasem stary rycerz donosił o wszystkim Milesowi! Jakże musieli się z niej śmiać, że próbuje uwieść własnego męża. Co się stało z dumną kobietą, która pewnego dnia stała na skraju urwiska i przysięgała, że nigdy nie ugnie się przed żadnym mężczyzną?

– Przepraszam na chwilę – szepnęła, ruszając w stronę Rogera.

Miles chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie z uśmiechem. Elizabeth spojrzała mu w oczy i z całej siły dźgnęła łokciem w żebra. Miles jęknął głucho.

– Nienawidzę cię, Milesie Montgomery! – krzyknęła mu prosto w twarz. – Kazałeś mi błagać i płakać. Odebrałeś mi resztkę dumy i godności! – Chciała go znowu uderzyć, lecz Miles objął ją mocno i nie mogła się ruszyć.

– Nie wierzę ci, Elizabeth Montgomery – szepnął z ustami przy jej ustach. – Kochasz mnie. Kochasz mnie tak bardzo, że nie wahałaś się błagać i płakać. To właśnie przy mnie jęczałaś z rozkoszy i płakałaś z miłości.

– Upokorzyłeś mnie na tysiąc sposobów.

– A ty mnie – odparł ze spokojem. – Wszystkie kobiety Ignęły do mnie z ochotą, a ciebie musiałem zdobywać z trudem i w udręce. Dopiero przy tobie byłem zazdrosny, wściekły, zaborczy. Dostałem cię od losu i jesteś moja, Elizabeth. I nigdy, nigdy więcej nie pozwolę ci o tym zapomnieć.

– Nigdy nie zapomniałam – zaczęła, lecz Miles zgniótł jej wargi pocałunkiem. Gdy tylko jej dotknął, była zgubiona. Nie mogła już się z nim sprzeczać, nie mogła odejść.

Poluzował chwyt tylko po to, by mogła go objąć za szyję.

– Nigdy, nigdy więcej o tym nie zapominaj, Elizabeth Montgomery – szepnął Miles. – Należysz do mnie już na zawsze. Na całe życie.

Elizabeth ledwie słyszała jego słowa. Stała na palcach, szukając ust



Milesa.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej ciało za nim tęskni. Za jedynym mężczyzną na ziemi, z którym mogła być bez lęku. Tylko jemu mogła zaufać. Wszystkie lata życia w trwodze i ukryciu umykały z niej teraz w pośpiechu, podsycając żar. Elizabeth wsunęła palce we włosy Milesa i przyciągnęła do siebie jego głowę. Roześmiał się gardłowo.

– Mam cię wziąć przy drzewie? – mruknął. – Co z ciebie za dama?

Doskonale wiedział, czego Elizabeth potrzebuje. Nie delikatnych, czułych pieszczot, lecz miłości pełnej ognia i furii. Kilkoma szarpnięciami porozpinał jej ubranie i rozsypał sznurki od swoich spodni. Elizabeth nie przestawała go całować.

Kiedy przyparł ją do drzewa, nawet nie jęknęła. Ugryzła go w ucho, a potem w szyję.

Miles podniósł ją z ziemi. Oplotła go nogami, podciągając spódnicę. Chwycił ją za pośladki i wbił się w nią z całej siły. Elizabeth jęknęła cicho i wtuliła twarz w zagłębienie szyi Milesa, kiedy bez litości poruszał nią w górę i w dół. Czując narastający w piersiach krzyk i zacisnęła zęby na koszuli męża. Pot zaczął mu kapać z twarzy. Wytarł ją w suknię Elizabeth. Ostatnim potężnym pchnięciem posłał Elizabeth na szczyt ekstazy. Jęknął głucho, eksplodując raz po raz w jej ciele.

Elizabeth dygotała z rozkoszy, ocierając łzy. Nogi jej drżały z wysiłku, włosy oblepiły całą twarz. Miles spojrzał na nią czule, pogłaskał wilgotne kosmyki.

– Kocham cię – wyznał otwarcie. – I wcale nie dlatego, że jesteś najlepsza w...

– Dobrze, już dobrze – roześmiała się Elizabeth. – Postawisz mnie na ziemi czy planujesz mnie zabić przy tym drzewie?

Miles pocałował ją jeszcze raz i postawił na ziemi, wybuchając rubasznym śmiechem, gdy ugięły się pod nią nogi i musiała się przytrzymać jego ramienia, żeby nie upaść.

– Drań! – syknęła z uśmiechem i pocałowała go w ramię. – Naprawdę jestem najlepsza? – zapytała od niechcienia. – Wciąż uważasz mnie za atrakcyjną, choć urodziłam dziecko?

– Da się wytrzymać – odparł poważnie.

Elizabeth roześmiała się, wygładziła suknię i uporządkowała włosy, po czym bez słowa ruszyła na polanę, na której cierpliwie czekał Roger.

*Rozdział  
siedemnasty*

Wędrowali przez dwa cudowne, pełne miłości dni. Miles poświęcał jej całą uwagę we dnie i w nocy. Trzymali się za ręce, flirtowali i śmiali się bez przerwy. Kochali się przy strumieniu, a potem kapali w lodowatej wodzie.

Roger przyglądał się im z rezerwą i niekiedy Elizabeth czuła wyrzuty sumienia. Wiedziała, że sprawia bratu ból. Kilka razy Roger zwrócił Milesowi uwagę, że nie zachowuje się jak prawdziwy rycerz, jednak Montgomery stwierdził, że będzie rycerzem, kiedy dotrze do krewnych, a do tej pory jest beztróskim wieśniakiem.

Choć wędrowali szybko, wiedzieli, że droga, którą konno pokonaliby w cztery dni, piechotą musiała potrwać znacznie dłużej.

Czwartego dnia w południe zeszli z gościńca, żeby coś zjeść i odpocząć. Roger posłał Elizabeth i Milesowi pełne urazy ukradkowe spojrzenie i wszedł głębiej w las. Miłość do Montgomery'ego zniszczyła więź, którą siostra była z nim połączona. Czuł, że Elizabeth jest stracona już na zawsze.

Rozmyślając o swoim położeniu, zwinnie przeszedł szczytem niewielkiego wąwozu. Dopiero po chwili dotarło do niego, że w zamyśleniu zignorował ślady. Cofnął się, idąc powoli i uważnie badając ślady. Na dnie wąwozu pienił się strumień, urwisko było strome, porośnięte krzakami. Widać było, że ktoś niedawno spadł na dno. Po każdej bitwie Roger szukał swoich rannych i zaginionych rycerzy, potrafił odczytać znaki. Natychmiast obudził się w nim instynkt łowcy. W pośpiechu niemal zeskoczył z urwiska.

Nie spodziewał się tego, co znalazł na dnie wąwozu. Na strzaskanym pniu siedziała śliczna dziewczyna w kosztownej aksamitnej sukni w kolorze wina, obszytej wielkimi ametystami. Dziewczyna patrzyła bezradnie na stopy uwięzione pod zwaliskiem kamieni, ale słysząc zbliżające się kroki, podniosła na Rogera ogromne roześmiane oczy. Oczy zdawały się niemal za duże w jej drobnej twarzy.

– Wiedziałam, że przyjdiesz – stwierdziła po angielsku z delikatnym francuskim akcentem.

Roger zamrugał ze zdumienia, postanowił jednak zignorować jej uwagę.

– Spadłaś z urwiska? Jesteś ranna?

Uśmiechnęła się słodko. Zdawała się młodziutka. Wyglądała jak dziecko przebrane w dorosłą suknię. Ciemne loki wysuwały się spod haftowanego perłami czepeczka. Perły miała też naszyte na gorsecie sukni.

– Stopy mi utknęły. Nie mogę się ruszyć.

Kobiety! – pomyślał Roger. Uklęknął u jej stóp.

– Musiałaś mnie słyszeć, kiedy przechodziłem. Dlaczego nie wołałaś

o pomoc?

– Bo wiedziałam, że po mnie przyjdiesz.

Szalona – pomyślał Roger. Biedaczka jest pewnie opętana.

– Kiedy podniosę ten kamień, zabierzesz nogę. Rozumiesz, co mówię? – zapytał jak osobę niezbyt mądrą.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Gdy Roger odchylił kamień, natychmiast zabrała lewą stopę. Druga stopa była przygwożdżona znacznie większym głazem. Roger przyglądał się przez chwilę i doszedł do wniosku, że jeśli nawet uda mu się go unieść, z drugiej strony osunie się kolejny kamień i zmiążdży jej kostkę. Dziewczyna była drobniutka. Jej kości na pewno nie wytrzymają takiego uderzenia.

– Powiedz mi prawdę – szepnęła. – Nie boję się bólu, jestem do niego przyzwyczajona.

Roger spojrział jej w oczy. Patrzyła na niego z bezbrzeżnym zaufaniem. Wzdrygnął się. Nie wiedział, czy czuje się mile polectany, czy raczej przerażony.

– Jak masz na imię? – zapytał, spoglądając na rumowisko wokół jej nogi.

– Christiana, mój panie.

Roger podniósł głowę. Strój wieśniaka nie zmylił jej, więc może nie była taka głupia. Uśmiechnął się.

– Niech będzie Chris. Mogę pożyczyć twój nożyk? Spróbuję jakoś podeprzeć te głązy, żebym mógł zabrać ten jeden kamień.

Natychmiast oddała mu sztylet. Z trudem powstrzymał się od cierpkiej uwagi, że nie powinna oddawać sztyletu nieznanym. Klejnoty z jej sukni były warte fortunę, a perłowy naszyjnik kolejną.

Roger wstał i znalazł kilka gałęzi. Zdjął kamizelę i lnianą koszulę, z której wyciął kilka długich, wąskich pasków. Związał solidnie przycięte patyki, tworząc zgrabny krzyżak.

– Dlaczego nikt cię nie szuka? – zapytał.

– Być może szukają, nie wiem nawet. Śniłeś mi się tej nocy.

Spojrzał na nią ostro, ale nic nie powiedział. Najwyraźniej wszystkie dziewczęta chcą być wybawione z opresji przez przystojnego rycerza. Romantyczne banialuki.

– Śnił mi się ten las – ciągnęła Christiana – i ten wawóz. Widziałam cię w moich snach i wiedziałam, że po mnie przyjdiesz.

– Śnił ci się jasnowłosy wybawca. W każdej bajce taki jest – prychnął Roger.

– Śniłeś mi się ze szczegółami. Widziałam tę bliznę na skroni. Zranił cię twój własny brat, kiedy byłeś jeszcze dzieckiem.

Roger bezwiednie potarł bliznę na lewej skroni. Tamtego dnia niemal stracił oko. Wszyscy, którzy wiedzieli o wypadku, już nie żyją. Wątpił, by Elizabeth słyszała cokolwiek na ten temat. Christiana patrzyła na niego z uśmiechem.

– Czekałam na ciebie przez całe życie.

Roger potrząsnął głową.

– Łatwo było to odgadnąć – oznajmił. – Historię tej blizny. Siedź spokojnie. Podeprę kamienie.

Właściwie nie musiał jej mówić, żeby się nie ruszała. Odkąd ją zobaczył, niemal nie drgnęła.

Kamienie były spore i Roger się napocił, zanim odciągnął na bok największy. Lawina mniejszych kamieni ruszyła na wąty krzyżak, i Roger rzucił się błyskawicznie na Christine. Obalił ją na bok i przeturlał, niestety, kilka kamieni drasnęło jej nogę.

Rozległ się donośny huk sunącego w dół rumowiska. Roger osłonił Christianę własnym ciałem przed kurzem i odłamkami. Kiedy się uciszyło, chciał się podnieść, lecz dziewczyna ujęła jego twarz w obie dłonie i przyciągnęła go do ust.

Przez ostatnie miesiące Roger zajmował się tylko sprowadzeniem do domu brata i siostry, nie miał czasu na kobiety. Nie zdawał sobie sprawy z siły tłumionego pożądania. Wiele lat temu zdarzało mu się dobrze bawić w towarzystwie dziewcząt, ale cień starszego brata, a potem waśń z Montgomerymi zniszczyły beztroskę i zmieniły go na zawsze.

Gdy jej wargi dotknęły jego ust, poczuł, że to coś poważnego. Może i wyglądała jak dziewczynka, lecz była kobietą i miała obrany jasny cel. Całowała go tak zachłannie, że odsunął się z trwogą.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Kocham cię. Całe życie na ciebie czekałam.

Roger spojrzał jej w oczy. Były ciemne, ogromne, zdawały się wciągać go w bezdenną toń. Poderwał się z ziemi.

– Zaprowadzę cię do rodziców.

– Nie mam rodziców – odparła, siadając powoli i patrząc na niego z wyrzutem.

Roger odwrócił wzrok. Miał ochotę jednocześnie uciekać jak najdalej od tej dziwaczki i walczyć o nią do ostatniego tchu.

– Pokaż kostkę – zażądał.

Posłusznie wyciągnęła ku niemu posiniaczoną i zakrwawioną nogę. Zmarszczył brwi.

– Dlaczego wcześniej nie pokazałaś? – burknął i oddał jej sztylet. – Odetnij kawałek halki. Nie mogę dalej cię koszuli, bo w tej chwili nie mam żadnej innej.

Uśmiechnęła się i odcięła pasek z pięknej jedwabnej halki.

– Skąd się wzięłaś we Francji i dlaczego jesteś przebrany? Gdzie twoi ludzie? – zapytała.

– Może ty mi powiesz? – odpowiedział ze złością, biorąc od niej

prowizoryczne bandażę. – Może dziś wyśnisz resztę mojego życia?

Ruszył do strumienia, czując ukłucie wyrzutów sumienia. Do licha, dziewczyna przyprawiała go o dreszcze! Wciąż czuł smak jej pocałunku – przedziwną mieszankę żaru kobiety, która chce wskoczyć mu do łóżka, i wyrachowania więdźmy, która chce ukraść mu duszę. Uśmiechnął się bezwiednie. Chyba stał się lękliwy. Przecież to tylko zraniona dziewczyna, która potrzebuje jego pomocy, nic więcej. Najlepiej będzie, jak opatrzy jej nogę i odda opiekunom.

Gdy wrócił z mokrymi bandażami, zobaczył łzy drżące na jej rzęsach.

– Przepraszam, Chris – powiedział, jakby znali się od zawsze. – Pokaż tę kostkę.

Nieśmiały uśmiech rozchylił jej wargi. Roger nie był w stanie się powstrzymać i odpowiedział uśmiechem. Chris rozpromieniła się i wyciągnęła ku niemu nogę.

– Proszę, oddaj mi sztylet, muszę ci rozciąć pończochę – powiedział, delikatnie zdejmując haftowany pantofelek.

Christiana bez słowa podciągnęła spódnicę do biodra i patrząc mu w oczy, odpięła podwiązki, a potem zsunęła powoli pończochę ze szczupłej, zgrabnej nogi aż do łydki.

– Zdejmij – poprosiła, podnosząc nogę.

Pot wystąpił mu na czoło i poczuł falę żądzy tak palącej, jakby w żyłach popłynął mu ogień. Drżącymi dłońmi zdjął pończochę, trzymając nagie kolano Christiany. Widok krwi na jej kostce trochę go ostudził.

– Bawisz się w zabawy, których nie rozumiesz – oświadczył chłodno, obmywając krew.

– Nie bawię się z tobą – odparła z czułością.

Roger skupił się na obmywaniu i bandażowaniu rany.

– Odprowadzę cię – oznajmił sucho, lecz palcami wciąż muskał jej kostkę, przesuwając dłoń coraz wyżej. Wsunął sztylet za pasek dziewczyny.

Spojrzała mu w oczy. Nie odsunęła się, raczej bez słowa starała się go zachęcić do dalszych pieszczot.

Roger się otrząsnął. Choć wizja była bardzo kusząca, nie była warta jego życia. Ktoś niebawem zacznie jej szukać. Jeśli znajdą go w przebraniu wieśniaka ze szlachcianką, nikt nie będzie zadawał pytań, zabiją go od razu. Poza tym nie był do końca pewny, czy rzeczywiście chciałby się z nią spoufalać. A jeśli jednak jest wiedźmą?

– Dlaczego przestałeś, mój panie? – zapytała chrapliwie.

Bezceremonialnym szarpnięciem opuścił jej spódnicę.

– Bo ty jesteś dzieckiem, a ja... Zawsze oddajesz się nieznanym?

Nie odpowiedziała. Spojrzała na niego wymownie.

– Od zawsze cię kochałam i nigdy nie przestanę. Jestem na twoje usługi.

Roger zacisnął pięści.

– Dość tego, młoda damo! Nie wiem, za kogo mnie uważasz, ani kim sama jesteś, ale uważam, że najlepiej będzie, jeśli wrócisz do swoich ludzi, a ja do swoich. Mam też nadzieję, że w pokornej modlitwie, o ile wierzysz w Boga, poprosisz go o wybaczenie tego bezwstydnego zachowania.

Sapnął ze złości, zarzucił Christianę na ramię i zaczął się wspinać po stromej ścianie wąwozu.

Zanim z trudem wdrapał się na górę, wyparował z niego gniew, a wraz z nim żądza. Był już za stary i zbyt mądry, by dać się oszołomić nawiedzonej pannie. Postawił ją na ziemi, przytrzymał za ramiona i się uśmiechnął.

– Dokąd cię odprowadzić? Pamiętasz, skąd przyszłaś?

Przez chwilę rozglądała się zdezorientowana.

– Oczywiście, że to pamiętam – uznała wreszcie. – Dlaczego chcesz mnie odesłać? Pocałujesz mnie? Pocałuj, jakbyś mnie naprawdę kochał.

Roger trzymał ją na wyciągnięcie ramienia.

– Jesteś zbyt narwana i nie, nie pocałuję cię. Powiedz, gdzie jest twój dom.

– Mój dom jest przy tobie, ale... – Urwała, słysząc odległy dźwięk rogu. Spojrzała na Rogera z przerażeniem. – Muszę iść, mąż mnie wzywa. Nie może cię znaleźć! Weź to.

Zanim Roger zdążył zaprotestować, odcięła sztyletem największy ametyst z sukni, zostawiając w kosztownym stroju brzydką dziurę.

– Weź! – ponagliła z czułością.

Roger wyprostował się dumnie.

– Nie przyjmuję podarków od kobiet.

Rozbrzmiał róg myśliwski i Christiana zadygotała jak w febrze.

– Muszę już iść! – Stała na palcach i pocałowała zaciśnięte wargi Rogera.

– Mam piękne ciało – szepnęła. – I długie, miękkie włosy. Kiedyś ci pokażę.

Gdy po raz trzeci odezwał się róg, zebrała spódnicę i ruszyła przed siebie pędem, utykając na zranionej nodze. Po chwili zatrzymała się i rzuciła ametyst w jego kierunku. Roger nawet nie drgnął.

– Daj go towarzyszce podróży – zawołała. – To twoja siostra? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, pierzchnęła w las.

Przez długą chwilę Roger stał jak wmurowany, wpatrując się w drzewa, pomiędzy którymi zniknęła Christiana. Czuł się dziwnie zamroczony, jakby właśnie przeżył coś, co nie należało do tego świata. Czy naprawdę ją spotkał, czy zasnął i śnił szalony sen?

– Rogerze! – zawołała za nim Elizabeth. – Szukamy cię od godziny! Możemy ruszać? Za kilka godzin zapadnie zmrok.

Odwrócił się powoli w jej stronę.

– Rogerze... Dobrze się czujesz?

Miles puścił dłoń Elizabeth i prędko rozejrzał się po lesie. Rycerze, którzy zostali śmiertelnie zranieni, często wyglądali właśnie tak jak Roger. Moment przed tym, nim padli na ziemię w konwulsjach. Dostrzegł leżący na ziemi ametyst, ale zanim zdążył się po niego schylić, Roger zwinnie chwycił klejnot i zacisnął na nim palce.

– Możemy ruszać – wychrypiał.

Rozejrzał się jeszcze po lesie, głaszcząc palcami gładki kamień.

– Mąż! – burknął pod nosem. – I to tyle, jeśli chodzi o sen o wielkiej miłości.

Kusiło go, by rzucić ametyst w krzaki, ale z jakiegoś powodu nie był w stanie tego zrobić.

\* \* \*

Tego wieczoru Miles z uwagą obserwował Rogera. Dostrzegał u Chatwortha zadumę i potrzebę samotności. Spuścił go z oka tylko na chwilę, gdy zaszył się w lesie i jak rasowy kłusownik upolował na kolację królika. Upiekli go prędko i zjedli, nie rozmawiając zbyt wiele. Miles wciąż powtarzał Elizabeth, że są bezpieczni i nie ma się czego obawiać. Rzeczywiście życie w przebraniu wieśniaczki było dla niej beztruską sielanką w porównaniu z dzieciństwem w domu Edmunda, jednak Miles wciąż zachowywał czujność, gotowy do walki i obrony. Nocą spał lekkim snem, za dnia z rozważą podejmował decyzje. Nabrał szacunku do Rogera, widząc, że Chatworth także nie daje się ponieść złudnej beztrusce.

Tej nocy Elizabeth zasnęła spokojnie z głową na kolanach męża. Roger usiadł z dala od ognia, obracając w palcach lśniący klejnot. Miles nigdy nie zadawał krępujących pytań, lecz Roger czuł na sobie jego zaciekawione spojrzenie.

– Kobiety! – stwierdził w końcu z wyrzutem i schował ametyst do kieszeni, jednak gdy tylko się położył, jego dłoń bezwiednie powędrowała do kamienia.

Gdy słońce rozświetliło las, Elizabeth obudziła się radosna i pełna nadziei. Jeszcze tylko jeden dzień dzielił ich od krewnych Milesa. Niebawem będą mogli wrócić do Anglii, do swojego syna, i jak w bajce żyć długo i szczęśliwie.

– Wydajesz się niebywale szczęśliwa, mój aniele – uśmiechnął się Miles. – Życie wieśniaczki bardzo ci służy.

– W tej chwili tak – odparła radośnie. – Nie miej jednak nadziei, że do końca życia będę chodzić w łachmanach. Jestem kobietą przyzwyczajoną do luksusów – wyznała, mrugając zalotnie.

– Będiesz musiała na nie zasłużyć – odparł wyniośle, mierząc ją wzrokiem od stóp do głowy.

– Nieźle sobie z tym radzę i... – Urwała, słysząc harmider wędrującej drogą gromady. Wielu rycerzy na bogato okrytych rumakach zepchnęło ich z gościńca.

Był to wykwintny orszak, lśniący polerowanymi zbrojami i jaskrawymi jedwabiami. Elizabeth doliczyła się stu konnych i tuzina podróżnych wozów.

Pośrodku gromady jechała dziewczyna. Ręce miała związane na plecach, twarz posiniaczoną, lecz głowę trzymała wysoko.

Elizabeth zadrżała. Dobrze pamiętała, jak się czuje więzień, a dziewczyna dodatkowo była bita.

– Christiana – szepnął Roger.

Miles chwycił go za ramię i osadził w miejscu.

– Nie teraz – powiedział ściszym głosem.

Elizabeth wpatrywała się w konwój. Tak wielu rycerzy do jednej drobnej dziewczyny, pomyślała ze smutkiem. Otworzyła szeroko oczy.

– Nie! – syknęła, patrząc na Milesa. – Chyba nie zamierzacie ratować tej dziewczyny?

Miles spojrział na rycerzy, udając, że nie słyszy pytania. Kiedy szarpnęła go za rękaw, spojrział na nią z takim żarem, że zamilkła.

Kiedy konwój ich minął, stali jeszcze przez chwilę, czekając, aż opadnie kurz. Elizabeth dygotała i zaciskała pięści w bezgłośnie walce. Nie! Miles nie może ryzykować życia dla dziewczyny, której nawet nie zna.

Gdy wreszcie ruszyli, odezwała się najspokojniej, jak mogła:

– Niedługo dotrzemy do twoich krewnych. Może znają dziewczynę i wiedzą, dlaczego i kto ją przetrzymuje. Może zabiła sto osób. Może jest czarownicą i zasłużyła na karę.

Miles i Roger udawali, że jej nie słyszą.

Elizabeth chwyciła męża za ramię.

– Swego czasu ja także byłam więźniem i wcale nie skończyło się to tak źle, być może...

– Zamilknij, Elizabeth! – warknął Miles. – Nie mogę spokojnie pomyśleć.

Elizabeth zacisnęła zęby. Jak miałoby w przebraniu wieśniaków uratować dziewczynę, której strzeże stu rycerzy?

Miles spojrział na Rogera.

– Może zgłosimy się do ich obozu i zaoferujemy zbieranie chrustu? Przynajmniej moglibyśmy się rozejrzeć.

Roger obrzucił go sceptycznym spojrzeniem.

– To nie twoja walka, Montgomery. Dziewczyna dostała lanie przeze mnie i ja sam ją uratuję.

Miles wpatrywał się w niego natarczywie i po chwili Roger musiał się poddać. Kiwnął głową i odwrócił wzrok.

– Wiem tylko, że ma na imię Christiana. Odcięła dla mnie klejnot z sukni i pewnie dlatego dostała lanie. Ma męża, którego panicznie się boi.

– Męża! – wykrzyknęła Elizabeth. – Rogerze, błagam! Posłuchajcie głosu rozsądku. Nie możecie ryzykować życia dla mężatki. Jak długo ją znasz? Co dla ciebie znaczy ta kobieta?



– Poznałem ją za ledwie wczoraj – szepnął Roger. – I nic dla mnie nie znaczy. A może znaczy? Jeszcze nie wiem. Wiem jednak, że nie mogę jej tak zostawić. To przeze mnie cierpi.

Elizabeth zdała sobie sprawę, że nie ma sensu się z nimi kłócić. Nigdy wcześniej nie widziała, by Roger angażował się w straceńczą misję, była jednak pewna, że Miles ryzykowałby życiem nawet dla pomywaczki. Odetchnęła.

– Przed laty w czasie podróży jakaś wieśniaczka chciała mnie obdarować bukietem kwiatów i strażnicy ją do mnie przepuścili. Mogę spróbować.

– Nie idziesz z nami – uciął Miles.

Nie odpowiedziała, ale zacisnęła z uporem zęby. Dwóch uparciuchów ma mniejsze szanse w starciu z setką rycerzy niż troje wędrowców w przebraniu.

*Rozdział  
osiemnasty*

Podążali za konwojem aż do zmroku. Gdy rycerze rozbili obóz na nocny postój, Miles i Roger, uginając się pod naręczami chrustu, wmieszali się między nich. Ukryta w cieniu drzew Elizabeth obserwowała uważnie obóz. Oferowana wcześniej pomoc wydała jej się nagle pusta i śmieszna. Wpatrując się w krzątających się między namiotami rycerzy, czuła się, jakby nigdy nie opuściła domu Edmunda. Choć kryła się w oddali, w półmroku gęstego lasu, wciąż zerkała wkoło, jakby się spodziewała, że któryś z nich ją napadnie.

Roger i Miles – razem i każdy z osobna – nakazali jej pod żadnym pozorem nie opuszczać schronienia. Twierdzili, że będą mieli wystarczająco wiele zmartwień, więc nie chcą jeszcze niepokoić się o jej bezpieczeństwo. Roger dał jej na przechowanie ametyst od dziewczyny, a Miles udzielił szczegółowych instrukcji, jak dotrzeć do jego krewnych. Na wszelki wypadek.

Elizabeth przełknęła łyżę trwogi. Miles i Roger chcieli ją zostawić daleko w lesie, lecz ona upierała się, by zająć miejsce, z którego będzie mogła obserwować obozowisko. Za nic nie chcieli zdradzić jej planu i doszła w końcu do wniosku, że nie mają żadnego. Podejrzewała, że Miles wda się w bójkę ze strażnikami, a w tym czasie Roger ucieknie z dziewczyną.

Elizabeth wypatrywała przygarbionego wieśniaka, w którym z trudem rozpoznawała własnego brata. Powoli człapał w stronę dziewczyny. Biedaczka siedziała wyprężona przy pniu. Ręce miała wykręcone do tyłu, kostki związane.

Gdy Roger niezdarnie upuścił naręcz chrustu na skępowane stopy dziewczyny, Elizabeth wstrzymała oddech. Nie wiedziała, jak dobrze Roger tę dziewczynę zna. Zdawała się zbyt młoda, by mieć odrobinę zdrowego rozsądku. Czy wyda Rogera?

Przez twarz dziewczyny przebiegł grymas – być może bólu – ale natychmiast się uspokoiła. Elizabeth uśmiechnęła się pod nosem. Więc jednak nie jest głupia. Dziewczyna siedziała w bezruchu, z kamienną twarzą, gdy Roger z udawanym wysiłkiem zbierał chrust. Jakiś rycerz podszedł, przeklinając głośno, i kopnął Rogera w udo, a potem w żebra. Roger, klęcząc pokornie, przyjmował ciosy, lecz Elizabeth widziała błysk noża, którym rozcinał ukradkiem więzy.

Elizabeth dostrzegła jeszcze coś, czego nie mógł widzieć Roger. Stojący za nim stary, bogato odziany mężczyzna, ani na chwilę nie spuszczał z dziewczyny wzroku. Był dumnie wyprostowany, okryty płaszczem przetykanym złotą nicią i obwieszony kosztownościami.

W dalekim krańcu polany Miles sprawnym kopniakiem wyrzucił z ogniska płonąca gałąź i posłał ją pod ścianę jednego z namiotów. Prędkim ruchem sypnął

garść suchej trawy i umknął, zanim go ktoś zauważył. Po chwili namiot stanął w płomieniach i grupa rycerzy rzuciła się do gaszenia pożaru.

Niewiele to jednak dało. Strażnicy dziewczyny nawet nie zaszczylicili płomieni spojrzeniem, a bogato odziany mężczyzna wciąż wpatrywał się w nią z nienawiścią.

Ściemniało się. Elizabeth ledwie dojrzała, jak Miles wyciąga z jakichś juków miecz. A więc jednak planował walczyć! Chciał wywołać zamieszanie, żeby Roger mógł uciec z dziewczyną. Skoro ogień zawiódł, musiał użyć miecza.

Elizabeth wychynęła z ukrycia, odmówiła pośpieszną modlitwę o wybaczenie i z westchnieniem rozpięła gorset sukni aż do pasa. Może uda jej się odwrócić uwagę mężczyzn. Zwłaszcza starego.

Wpadła do obozowiska jak błyskawica, ledwo omijając płonący namiot. Ujęła się pod boki i pochyliła bezwstydnie, prezentując nagie ciało i niemal dotykając starego mężczyznę piersiami. Wyciągnęła do niego ramiona i zaczęła się kołysać lubieżnie z boku na bok, cofając się powoli w stronę płomieni. Zerwała z głowy czepek. Złote włosy opadły kaskadą aż do kolan. Podświetlone blaskiem płomieni, wyglądały, jakby same utkane były z ognia. Wyrzuciła ramiona w górę i roześmiała się gardłowo, prowokacyjnie. Wszyscy wpatrywali się jak skamieniali. Mężczyzna oderwał wzrok od skrępowanej dziewczyny i zerknął na Elizabeth z wyczekiwaniem.

Elizabeth nigdy wcześniej nie tańczyła, ale podglądała aż nazbyt wiele orgii w domu brata. Wiedziała, co robić. Jeden z rycerzy zagrał na lutni, drugi wtórował mu na bębenku. Elizabeth kołysała się nie tylko w biodrach. Każdy fragment jej ciała był w ruchu. Potrząsała głową i wirując w tańcu, muskała włosami twarz rycerzy. Gdy jeden z nich podszedł za blisko, schyliła się, chwyciła kamień i z mocą uderzyła go w żołądek.

Rycerze ryknęli gromkim śmiechem, widząc, jak zgiął się z bólu. Od tej chwili taniec zamienił się w polowanie. Koszmary Elizabeth stały się rzeczywistością. Miała wrażenie, że znów jest dziewczynką w domu Edmunda. W mgnieniu oka zapomniała o ostatnich miesiącach spokoju i cofnęła się do czasów, w których walczyła każdego dnia, by przetrwać.

Wspięła się na palce, zawirowała miękko i niespodzianie wyciągnęła miecz zza pasa jednego z rycerzy. Furkocząc suknią i splątanymi włosami, mierzyła celnie w mężczyzn, którzy usiłowali ją chwycić. Żadnego z nich nie raniła, ale zdołała skaleczyć niemal wszystkich. Zmuszając się do głośnego śmiechu i robiąc kolejne uniki w tańcu, wskoczyła na stół zastawiony jedzeniem i winem. Jeden z rycerzy złapał ją za kostkę. Odwróciła się błyskawicznie, niby przypadkiem miażdżąc mu obcasem palce. Uciekł, jęcząc z bólu.

W głowie jej szumiało ze zgrozy. Rycerze zaczęli klaskać. Kołysała się do rytmu, potrząsając włosami. Miała tylko nadzieję, że Roger i Miles zdążyli uwolnić

dziewczyinę. Podrzuciła do góry suknię i gdy rycerze ryknęli z entuzjazmem na widok jej nóg, zeskoczyła ze stołu prosto pod nogi starego mężczyzny.

Dygnęła pokornie aż do ziemi, dysząc ciężko. Włosy otoczyły ją jak złota peleryna. Starzec chrząknął, uklonił się ceremonialnie i podniósł jej brodę kościstym palcem. Kątem oka Elizabeth dostrzegła, że dziewczyna zniknęła, i wiedziała, że za chwilę ktoś się zorientuje. Podniosła się z kolan, modląc się w duchu o jeszcze trochę czasu. Zręcznym ruchem zrzuciła z rąk górę sukni. Rycerze zaszemrali z podziwu. Oczy starego chciwie wpatrywały się w jej pełne piersi. Uśmiechnął się, ukazując ohydne poczerńiałe pieńki zębów i zarzucił własną pelerynę na ramiona Elizabeth.

Szarpnął niecierpliwie za poły peleryny i zaczął ciągnąć Elizabeth w las. Gdy się odwrócił, dostrzegł, że związana dziewczyna zniknęła, zanim jednak mógł wszcząć alarm, Elizabeth objęła go za szyję i przystawiła do gardła sztylet, który chwyciła ze stołu.

– Idź! – warknęła.

Zdążyli zanurzyć się w gęstej ciemności lasu, gdy z obozowiska dobiegły krzyk i zgiełk.

– Biegnij! – rzuciła Elizabeth, popychając starucha czubkiem sztyletu.

Odwrócił się błyskawicznie i uderzył ją w twarz. Zanim jednak zdążył uciec, z mroku wyłonił się Roger i chwycił go za gardło. Być może starzec był już nazbyt podekscytowany tańcem Elizabeth, a może aż tak się wystraszył, bo ledwie Roger dotknął jego gardła, stary runął martwy u jego stóp. Roger nie tracił czasu. Błyskawicznie podsadził Elizabeth na drzewo i wspiał się zwinnie po gałęziach.

Rycerze rozproszyli się po lesie, błyskając mieczami w świetle księżyca. Roger chwycił Elizabeth w ramiona i kołysał lekko jak małą dziewczynkę. Ukryła twarz w jego koszuli. Drżała na całym ciele, wciąż czując na sobie męskie spojrzenia i dłonie.

– Miles... – szepnęła.

– Bezpieczny – odszepnął Roger, tuląc ją jeszcze mocniej.

Czekali długo i cierpliwie. Całą wieczność trwały lamenty i okrzyki nad ciałem starego mężczyzny. Wreszcie rycerze zwołali się, kończąc bezowocne poszukiwania dziewczyny, po czym zwinęli obóz, a zwłoki pana spowili kosztownym złotogłowiem. Kiedy ruszyli w drogę, Elizabeth i Roger zsunęli się bezszelestnie z drzewa.

– Chodźmy – popędził Roger. – Montgomery na nas czeka.

Powiewając peleryną, pobiegła za bratem przez las.

Dopiero gdy zobaczyła Milesa całego i zdrowego, zdała sobie sprawę, jak bardzo się o niego niepokoiła. Wynurzył się z pokrytego rzesą bajorka, ciągnąc dziewczynę za rękę. Oboje byli mokrzy, pokryci wodorostami i przemarznięci. Dziewczyna szczykała zębami.

Elizabeth spojrzała na Milesa z czułością i rzuciła dziewczynie pelerynę.

– To jego! – wzdrygnęła się Christiana, odskakując ze wstrętem od peleryny.

Roger owinał dziewczynę we własny surdut. Osunęła się w jego ramiona i wtuliła się żarliwie.

– Musimy iść. – Miles wziął Elizabeth za rękę. – Wkrótce po nią wrócą.

Maszerowali całą noc. Elizabeth była wykończona, lecz szła bez słowa skargi, rzucając co jakiś czas podejrzliwe spojrzenia na dziewczynę. Zdawała się jeszcze młodsza i drobniejsza niż wcześniej. Nie odstępowała brata Elizabeth na krok, nawet kiedy gałęzie na wąskich ścieżkach chłostały ją po twarzy.

Roger ani myślał ją odtrącać.

Na Milesa Elizabeth bała się spojrzeć. Jego oczy płonęły gniewem, a kilka razy niemal zmiądzzył jej dłoń w gwałtownym uścisku. Raz odważyła się odezwać i próbowała wyjaśnić, dlaczego musiała się sprzeciwić jego poleceniom i włączyć w akcję ratowania dziewczyny, lecz spojrzał na nią z taką wściekłością, że niemal schowała się cała w pelerynie.

Przed świtem Miles oznajmił:

– Dołączymy do innych wędrowców. Musimy zdobyć dla niej jakieś ubranie.

Christiana wciąż miała na sobie obszytą klejnotami suknię i sznury pereł na szyi. Wyglądała jak upadły anioł. Piękna suknia była podarta, włosy w nieładzie. Na policzku miała siniaka i cała była pokryta wodorostami.

Kiedy wreszcie dotarli do drogi i zatrzymali się nieopodal dużej grupy wędrowców, właśnie wstających i zwijających obozowisko, Elizabeth prawie przewróciła się z wyczerpania. Miles chwycił ją w ramiona.

– Jeśli kiedykolwiek zrobisz coś podobnego, moja żono... – zaczął i zgniótł jej wargi gwałtownym pocałunkiem.

Po policzkach Elizabeth popłynęły łzy radości. Miles żyje i jest bezpieczny! Kiedy dobył miecza w obozowisku rycerzy, przez chwilę była pewna, że nigdy więcej go nie zobaczy.

– Zrobię dla ciebie wszystko – szepnęła i zasnęła w jego ramionach.

Zdawało jej się, że spała zaledwie chwilę. Miles obudził ją pocałunkiem i zaraz ruszyli za karawaną. Christiana miała teraz na sobie wełnianą sukienkę i pelerynę z dużym kapturem.

W południe zatrzymali się na skraju drogi. Miles i Roger poszli do wędrowców, żeby wymienić pelerynę starego na chleb i ser.

Elizabeth oparła się o drzewo i usiłowała odpocząć, jednak obecność Christiany drażniła ją i nie pozwalała się uspokoić. Nie mogła się przekonać do dziewczyny, która niemal stała się przyczyną ich śmierci.

– Czy długo będziesz mnie jeszcze nienawidzić, Elizabeth? – zapytała miękko Christiana.

Elizabeth spojrzała na nią ze zdumieniem i odwróciła wzrok.

– Wcale cię nie... nienawidzę.

– Nie jesteś mistrzynią kłamstwa – stwierdziła dziewczyna.

Elizabeth spojrzała na nią z gniewem.

– Mój mąż mógł przez ciebie zginąć! – syknęła. – A także brat! Jak zawiadnęłaś Rogerem? Rzuciłaś na niego czar?

Christiana nie uśmiechnęła się ani nie skrzywiła. Patrzyła na Elizabeth wielkimi oczami.

– Od zawsze śniłam o Rogerze. Wiedziałam, że po mnie przyjdzie. Zeszłego roku wujek wydał mnie za starego okrutnika, wciąż jednak wiedziałam, że pewnego dnia Roger przyjdzie. Trzy noce temu zobaczyłam we śnie jego twarz. Podróżował w przebraniu w towarzystwie krewnej. Czułam, że się zbliża.

Elizabeth skrzyżowała palce dla ochrony przed demonami. Dziewczyna najwyraźniej jest czarownicą.

– Przeklinasz mnie, bo przeze mnie twój mąż znalazł się w niebezpieczeństwie – ciągnęła Chris. – Zastanów się jednak, co byś zrobiła, żeby być ze swoim ukochanym? Być może gdybym była odważna, poszłabym na tortury i śmierć, jakie zaplanował dla mnie mąż. A jednak siedziałam związana pośrodku obozu i z całej siły modliłam się, by Roger zdążył mnie uratować.

Spojrzała na Rogera, który wracał drogą u boku Milesa. Jej oczy zaślniły nagłym blaskiem.

– Bóg zesłał mi Rogera, żeby mi wynagrodzić wszystko, przez co przeszłam. Dziś w nocy oddam mu się, a jutro rano będę gotowa umrzeć. Położyłam na szali życie Rogera, twoje i twojego męża dla tej jednej nocy. Dla nocy w ramionach ukochanego.

Położyła drobną dłoń na rękę Elizabeth.

– Wybacz mi, jeśli żądałam zbyt wiele.

Gniew Elizabeth stopniał w okamgnieniu. Wzięła Christianę za rękę.

– Nie rozmawiajmy o śmierci. Roger potrzebuje miłości może nawet bardziej niż ty. Bądź przy nim.

Christiana uśmiechnęła się lekko. W lewym policzku robił jej się uroczy dołeczek.

– Żadna siła mnie od niego nie oddzieli.

Roger stanął nad nimi i z zakłopotaniem przyglądał się sielankowej scenie. Elizabeth doszła do wniosku, że brat czuje się zbity z tropu ostatnimi wydarzeniami. Christiana prawdopodobnie bardziej go przeraża, niż pociąga.

Odpoczywali kilka minut, zjedli w pośpiechu i ruszyli w drogę. Gdy po zmroku zatrzymali się na niewielkiej polance, Elizabeth ufnie wtuliła się w ramiona Milesa.

– Co myślisz o Christianie? – zapytała.

– To niebezpieczna kobieta – odparł bez zastanowienia. – Była żoną księcia

Lorillarda. Już jako dziecko nasłuchałem się opowieści o jego okrucieństwie. Ożenił się z siedmioma, a może ośmioma młodymi, niebywale majątynymi szlachciankami. Wszystkie umierały kilka lat po ślubie.

– Christiana jest szlachcianką?

Miles prychnął.

– Pochodzi w prostej linii z rodu królewskiego.

– Skąd wiesz?

– Od krewnych. Znali rodzinę Lorillardów. – Elizabeth – powiedział żarliwie – schowaj to. – Wsunął jej w rękę długi sznur pereł, które nosiła Christiana. – Jutro po południu powinniśmy dotrzeć do moich krewnych, ale jeśli nam się nie uda... Nie! – Położył palec na jej wargach. – Muszę ci to powiedzieć. Musisz być gotowa na najgorsze. Lorillardowie to potężna, bogata rodzina. Zabiliśmy jednego z nich i udzieliliśmy schronienia uciekinierce. Rozedrą ten kraj na strzępy, żeby nas odnaleźć. Jeśli coś nam się stanie, weź te perły i natychmiast wracaj do Anglii. Moi bracia się tobą opiekują.

– A co z tobą?

– Pewnego dnia opowiem ci tę historię, teraz powinnaś wiedzieć tylko to, że Lorillardowie mnie znają. Jeśli mnie złapią, odetną ci drogę do mojej rodziny. Wracaj do Anglii. Przysięgnij! Żadnych prób ratowania mnie!

Milczała z uporem.

– Elizabeth!

– Przysięgam, że wrócę do Anglii pod opiekę twoich braci.

– A reszta?

– Nie będę składała tylu obietnic! – syknęła i uniosła twarz do pocałunku.

Kochali się powoli i cierpliwie, jakby jutro miało już nie nadejść. Elizabeth obawiała się, że to ostatnie godziny ich życia. Ostrzeżenie Milesa nie brzmiało jak czcze pogrożki. Chwilami łzy napływały jej do oczu. Już byli tak blisko! O krok od bezpiecznej przystani, o krok od spokojnego powrotu do domu. Żądza młodej dziewczki sprowadziła na nich to nieszczęście.

Miles scałował łzy z jej policzków, szepcząc słowa ukojenia. Zasnęła w jego ramionach, a przez sen wsunęła się na jego tors i mocno przylgnęła. Obudził się z uśmiechem, pocałował czubek jej głowy, odsunął jej włosy z twarzy i zasnął.

Roger zbudził ich przed świtem. Widać było, że nie zmrużył oka. Spomiędzy drzew wychynęła Christiana. Oczy jej lśniły. Usta miała czerwone i nabrzmiałe. W drodze Roger co chwila obrzucał ją wygłodniałym spojrzeniem. W południe otoczył ją ramieniem, a w pewnej chwili, ku zdumieniu Elizabeth, chwycił w ramiona i namiętnie pocałował.

Roger zawsze przykładał ogromną wagę do manier i zasad. Znał swoje miejsce w kręgu towarzyskim, przestrzegał rycerskich ślubów i nigdy publicznie nie okazywał uczuć.

Miles złapał Elizabeth za rękę i ruszyli dalej.

Godzinę przed zmierzchem pomiędzy drzew wypadła gromada rycerzy z obnażonymi mieczami. W okamgnieniu otoczyli wędrowców.

Zza uzbrojonych jeźdźców wysunął się odrażający staruch.

– A jednak spotykamy się znowu, Montgomery. Brać ich!



*Rozdział  
dziewiętnasty*

Na widok potężnej twierdzy Montgomerych Elizabeth na chwilę wstrzymała konia. W ciągu ostatnich tygodni wydarzyło się tak wiele, że nie miała pewności, czy Anglia wciąż będzie na swoim miejscu, a co dopiero jakiś zamek.

Jeden z ogromnych wierzchowców stłoczonych za nią jeźdźców zatupał niecierpliwie, przywracając ją do rzeczywistości. Z płaczem ściągnęła wodze i ruszyła galopem do zamku. Choć nigdy wcześniej nie była w rodowej twierdzy Montgomerych, dobrze знаła jej plan. Miles naszkicował go dla niej jeszcze w Szkocji i szczegółowo opowiedział o budowlu, jej historii i otoczeniu.

Gnała prosto na wąską bramę zabezpieczoną podwójną kratą, ledwie zwalniając. Zanim jednak dopadła kraty, otoczyli ją uzbrojeni strażnicy i zatrzymali zziąjanego konia.

– Żona Milesa Montgomery’ego! – gromko zapowiedział jeden z jej towarzyszy.

Pod nogi jej konia ze świstem wbiło się sześć strzał wypuszczonych z wieży. Zwierzę spłoszyło się, rżąc dziko. Elizabeth ledwie utrzymała się w siodle. Przed kratą stało trzech uzbrojonych rycerzy.

– Nazywam się Elizabeth Montgomery. To moi strażnicy – oświadczyła niecierpliwie, z szacunkiem patrząc na celnie wbite strzały. Niewiele zamków mogło się poszczycić tak doskonałą ochroną.

Rycerze stali niewzruszenie, jakby byli posągami. Z bocznego wejścia wysypali się najemnicy. Dopiero gdy dwudziestu zbrojnych wycelowało miecze w ludzi Elizabeth, dowódca straży przemówił:

– Możesz wjechać sama, moja pani. Oni zostają na zewnątrz.

– Oczywiście. Zabierz mnie do Gavina. Zna mnie.

Rzuciła wodze najemnikowi i weszła na przestronny dziedziniec. Pośrodku wznosił się zamek. Na tyłach gospodarcze budynki tuliły się do grubych murów.

Strażnik wszedł do zamku i po chwili wybiegła z niego śliczna kobieta obsypana mąką. We włosach miała ziarenka sezamu.

– Zaprowadź mnie szybko do pana – rozkazała Elizabeth. – Mam wieści, które go zaniepokoją.

– Jesteś Elizabeth? – zapytała wprost drobna kobieta. – Masz wieści o Milesie? Mówiono nam, że oboje zostaliście zabici! Henry! Pomóż pani zsiąść z konia, wprowadź jej ludzi i daj im jeść.

W drzwiach zamku stanęła Bronwyn, a tuż za nią Alyx.

– Elizabeth! – krzyknęła Bronwyn, rzucając jej się na szyję.

Elizabeth, na wpół zduszona w ramionach szwagierki, ledwie powstrzymała

ły.

– Mój Boże, jak dobrze cię widzieć! Ledwie stoję na nogach. Gdzie Stephen? Musimy natychmiast wracać. Odbić Milesa i Rogera. Pojmał ich francuski książę. Musimy ich wykupić albo odebrać zbrojnie, albo...

– Powoli! – Bronwyn potrząsnęła ramionami Elizabeth. – Wchodź prędko, zjedz coś i przygotujemy wspólnie jakiś plan.

– Henry! – zawołała władczo drobna niewiasta. – Przyrowadź mego ojczyma i sir Guya. Osiodłaj siedem koni. Wyślij zaraz kogoś, żeby przygotował statek na podróż do Francji. Żadnego ociągania się, jasne?

Elizabeth stanęła jak wryta, gapiąc się ze zdumieniem na kobietę, którą z początku wzięła za służącą.

– Pozwól, że ci przedstawię lady Judith – wtrąciła Bronwyn z rozbawieniem.

Judith strzepnęła mękę z dłoni i potrząsnęła głową. Sezamowe ziarenka poleciały na wszystkie strony.

– Wiesz, gdzie trzymają Milesa?

– Wiem. Właśnie stamtąd przyjechałam.

– Widzę, że gnałeś bez odpoczynku – stwierdziła Bronwyn.

– Witaj, Alyx. – Elizabeth wyciągnęła dłoń do śpiewaczki.

Alyx uścisnęła jej dłoń z nieśmiałym uśmiechem. Nigdy wcześniej nie czuła się tak mała i nic nieznacząca jak w otoczeniu swych pięknych, władczych szwagierek.

Na dziedziniec wbiegł sir Guy. Elizabeth zauważyła, że schudł i zmarniał od ostatniego spotkania w lesie. Tuż za nim pędził Tam. Pod jego potężnym ciałem drżała ziemia.

– Masz wieści od lorda Milesa? – wysapał sir Guy, wpatrując się intensywnie w jej twarz. – Dotarła do nas wieść, że zostaliście zamordowani.

– Kto wam to powiedział? – zapytała zdenerwowana Elizabeth. – Nie szukaliście nas?

– Wejdz do domu – odparła łagodnie Judith, ujmując ją pod ramię. – Opowiedz nam wszystko.

Chwilę później Elizabeth siedziała za wielkim stołem, czyniąc spustoszenie w stosach jedzenia, które ustawiła przed nią Judith. Opowiadała całą historię szwagierkom i siedzącym z boku mężczyznom. Obok sir Guya i Tama przysiadł nieznany jej mąż matki Judith – John Bassett.

Z pełnymi ustami opowiedziała, jak wrzucono ich pod pokład statku, jak uciekli i jak Roger postawił na szali życie ich wszystkich, by uratować dziewczynę, która okazała się żoną francuskiego księcia.

Bronwyn wybuchnęła, miotając przekleństwa, ale Tam kazał jej siedzieć cicho. Ku zdumieniu Elizabeth Bronwyn natychmiast zamilkła.

Kontynuując opowieść, krótko wspomniała o uwolnieniu Christiany. Judith

wciąż zadawała wiele pytań. Zarówno o udział Elizabeth w akcji ratunkowej, jak i o samą Christianę.

– Słyszałam o niej – stwierdziła Judith. – A także o jej mężu i jego rodzinie. Brat księcia nienawidzi Milesa.

– Dlaczego? – zapytała Elizabeth.

– Pewna młoda kobieta...

Elizabeth uniosła obie dłonie.

– Nie chcę więcej wiedzieć! Miles jest w jego szponach. I Roger także. To on zabił księcia.

– Jakże on kocha zabijać – szepnęła Bronwyn ze zgrozą.

Elizabeth nie traciła czasu na obronę brata. Opowiedziała pobieżnie o śmierci księcia i pojmaniu ich przez jego brata. Miles ściągnął z konia pierwszego lepszego rycerza, wrzucił Elizabeth na siodło i tak zaciął konia, że ledwie zdołała się utrzymać. Za karę brat księcia dźgnął go czubkiem miecza. Elizabeth odzyskała władzę nad koniem i obejrzała się tylko na chwilę. Ścigał ją tuzin rycerzy. Gnała jak wiatr, żeby ich zgubić.

O zdarzeniach ostatnich dziesięciu dni opowiedziała z narastającym pośpiechem. Bojąc się o własne bezpieczeństwo, wynajęła trzech żołnierzy. We czwórkę pędzili dzień i noc, często zmieniając konie i pozwalając sobie jedynie na krótkie drzemki. Gdy dotarli do portu, wykorzystwała perły Christiany, żeby opłacić powrót do Anglii, i spała na statku przez całe trzy dni. Wysiedli na angielskim brzegu, najęli konie, kupili trochę jedzenia i ruszyli w drogę, nie zatrzymując się na postój, dopóki nie dotarli do zamku Montgomerych.

– Tak oto jestem – westchnęła. – Przyjechałam po braci Milesa. Musimy natychmiast ruszać do Francji.

Do kuchni wszedł rycerz, szepnął coś na ucho Judith i wyszedł.

– Lady Elizabeth – odezwała się Judith. – Jeszcze nie wiesz wszystkiego. Niedługo po tym, jak wrzucono was pod pokład statku, Alice Chatworth – Judith prawie się zadławiła imieniem bratowej Elizabeth – nie wytrzymała z radości. Przesłała do nas posłańca z listem, w którym wszystko opisała.

Alyx odezwała się po raz pierwszy. Głos miała cichy, lecz dźwięczny.

– Raine, Stephen i Gavin natychmiast ruszyli do Francji, a my – powiodła spojrzeniem po Judith i Bronwyn – zgromadziłyśmy się tutaj i czekałyśmy na wieści.

– Wszyscy trzej są już we Francji? – Elizabeth wstała. – Wobec tego muszę jechać! Gdybyś łaskawie użyczyła mi kilku rycerzy, odnajdę braci Milesa i pokażę im, gdzie jest przetrzymywany.

– Wiesz, gdzie jest zamek księcia Lorillarda? Wiesz, gdzie mieszka jego brat? – zapytała Judith, pochylając się ku Elizabeth.

– Nie, ale z pewnością...

– Nie ma mowy. Księżę był przyjacielem mojego ojca – prychnęła. – Wiem, gdzie znajdują się wszystkie posiadłości Lorillardów. Na pewno nie wie tego żaden Montgomery. Być może Raine, bo walczył już we Francji, ale jeśli się już rozdzielili... Jedziemy. – Judith wstała raptownie.

– Chyba do diabła! – ryknął John Bassett i poderwał się z miejsca.

Judith nawet nie mrugnęła.

– Konie czekają, niebawem ruszamy. Bronwyn, masz może kilka zapasowych szkockich sukien? Będą znacznie lepsze do podróży.

John chwycił ją za ramię.

– Nie pozwolę ci znowu bezmyślnie narażać życia – oznajmił. – Prawie umarliśmy ze zmartwienia, kiedy ruszyłeś za Gavinem. Tym razem zostaniesz tutaj, młoda damo, i pozwolisz mężczyznom załatwić tę sprawę.

Judith spojrzała na niego z wyższością.

– I gdzie niby zamierzasz szukać mojego męża? – syknęła. – Byłeś kiedykolwiek we Francji? A nawet jeśli byś go jakimś cudem odnalazł, jak go zaprowadzisz do Milesa? Myśl rozsądnie, Johnie. Zatrzymaj sobie resztę kobiet, jeśli musisz się kimś opiekować, ale lady Elizabeth i ja ruszamy w drogę.

– Nie!!! – krzyknęła przenikliwie Alyx. Z sufitu cicho posypał się kurz. Alyx splonęła pąsem i zaczęła skubać koronkowy rękaw sukni. – Chciałam powiedzieć, że Bronwyn i ja wołałybyśmy jechać z wami. Może się do czegoś przydamy – szepnęła.

– Bronwyn – zaczął Tam, podczas gdy sir Guy spoglądał na Elizabeth w wysoce irytujący sposób.

W jednej chwili w kuchni wybuchnęła awantura. Nie mając mężczyzny, który czułby się jej osobistym opiekunem i nie musząc się wyklócać, Alyx wymknęła się bezszelestnie. Pobiegnęła do komnaty Bronwyn i Stephena. Szybko wyjęła z kufra kilka kiltów i kraciastych narzut. Nawet na piętrze słyszała wrzaski.

Instynktownie chwyciła ze ściany dudy i zaczęła przenikliwie na nich grać, idąc powoli w stronę kuchni. Zanim dotarła do wielkiej sali, wrzaski ucichły. Weszła do kuchni. Wszyscy stali w milczeniu, patrząc się na nią. Przestała grać.

– Jeśli pojedziecie bez nas – zwróciła się do mężczyzn – ruszymy godzinę po waszym wyjeździe. Jedźcie z nami czy przed nami?

Mężczyźni w milczeniu zaciskali pięści i zęby.

– Podczas gdy my tu tracimy czas na bezzasadne kłótnie, Miles jest więziony, a być może torturowany. W tej właśnie chwili! – ciągnęła Alyx. – Proponuję, byśmy natychmiast ruszali w drogę.

Judith ujęła w dłonie twarz szwagierki i ucałowała ją w policzki.

– Jedziemy! – oświadczyła. Wzięła od Alyx kilty i rzuciła jeden Elizabeth. – Johnie, zajmij się zapasami. Guy, idź do skarbnika, będziemy potrzebowali złota. Tam, sprawdź wszystkie luki i weź dużo strzał. Bronwyn, zajmij się końmi. Alyx,

weź instrumenty. Możemy ich potrzebować.

Elizabeth się uśmiechnęła.

– A ja? – zapytała, gdy wszyscy rozbiegli się po domu.

– Chodź ze mną – skinęła na nią Judith, ruszając ku schodom.

W połowie drogi zatrzymała się i spojrzała Elizabeth głęboko w oczy.

– Alice Chatworth zaraziła się ospą. Przeżyła, ale choroba strasznie naznaczyła nietkniętą dotąd stronę jej twarzy. – Judith ciężko westchnęła. – Rzuciła się z murów obronnych swojego zamku. – Odwróciła wzrok. – Z tego samego, z którego spadła stara Ela.

Elizabeth nie zrozumiała ostatniego zdania, lecz w duchu cieszyła się, że Alice nie żyje. Przynajmniej mogła przestać się zamartwiać o bezpieczeństwo syna.

\* \* \*

Elizabeth słyszała, że Judith jest bezwzględna, lecz niebawem przekonała się, że szwagierka jest prawdziwym demonem. Nie pozwalała nikomu na okazywanie słabości, nie zgadzała się ani na chwilę odpoczynku.

W dwa dni dotarli do wybrzeża. W czasie drogi nie zamienili ani słowa. Po prostu gnali przed siebie najszybciej, jak potrafili. Gdy natrafiali na rozmokłe drogi, cwałowali przez pola, ignorując krzyki wieśniaków. Kilka razy Tam i Guy rozbijali toporami ogrodzenia i gromada błyskawicznie przemykała wśród beczących w zagrodach owiec.

– Pasterz pozwie Judith do sądu – stwierdziła Elizabeth.

– Te ziemie należą do niej! – krzyknęła przez ramię Bronwyn.

Alyx i Elizabeth wymieniły znaczące spojrzenia i pognały za resztą.

Kiedy przed świtem dotarli do portu, już czekał na nich prom, gotowy do drogi. Miał ich zawieźć na wyspę, gdzie Montgomery'owie mieli zamek.

– W porównaniu z tą rodziną mój klan jest naprawdę malutki – westchnęła ze zmęczeniem Bronwyn i klapnęła na mokre dno promu. Okryła się narzutą i od razu zasnęła.

Godzinę później obudzono ich bezceremonialnie. Jak lunatycy wyszli z promu, dosiedli nowych koni i ruszyli do posiadłości Montgomerych. Przez mgłę wyczerpania Elizabeth czuła ciężką atmosferę wiekowej fortecy. Fundament zamku położył rycerz znany jako Czarny Lampart.

Na dziedzińcu Judith szturchnęła Elizabeth w ramię, wskazując dziewczynkę wyglądającą zza dębowych drzwi. Miała około półtora roku, brudne włosy, poszarpane ubranie i wzrok wygłodniałego wilka.

– Jedna z córek Milesa – oświadczyła Judith, wpatrując się w twarz Elizabeth.

Elizabeth zadygotała z gniewu.

– W drodze powrotnej zabiorę ją ze sobą. – Jeszcze raz spojrzała na

dziewczynkę i poszła za innymi do domu.

Zatrzymali się tylko na posiłek. Statek czekał już na nich w małym porcie.

Wsiadli pośpiesznie i natychmiast cała siódemka ułożyła się na pokładzie do snu. Po wielu godzinach odpoczynku kobiety usadowiły się w ciasnym kręgu i zaczęły snuć plany.

– Będziemy musiały jakoś dostać się na zamek Lorillardów – westchnęła Judith. – Muzyka Alyx otworzy nam wszystkie drzwi. Czy któraś z was potrafi też śpiewać albo tańczyć?

Bronwyn ze wstydem wyznała, że jej śpiew toleruje wyłącznie syn. Judith oświadczyła, że słoń jej nadepnał na ucho. Elizabeth wyszeptwała przez ściśnięte gardło, że może tańczyć.

– Świetnie – ucięła Judith. – Gdy już będziemy w środku...

– Gadacie po próżnicy – zacietrzewił się John Bassett, podnosząc głowę z posłania. – Pokażecie nam tylko zamek księcia, a my już odszukamy waszych mężów i przyprowadzimy ich tam. Oni uratują lorda Milesa – prychnął i ruszył pod pokład.

Judith uśmiechnęła się pod nosem.

– Dawno temu wpadłam w drobne kłopoty, ratując Gavina. John nigdy mi nie wybaczył i czuje się odpowiedzialny za moje bezpieczeństwo. – Pochyliła się ku szwagierkom. – Będziemy musiały trochę ciszej snuć nasze plany.

Elizabeth z trudem stłumiła śmiech. Patrzyła na Judith, tak śliczną i drobną, z rączkami w małych buziach. Wyglądała jak dziecko. Wprost trudno było uwierzyć, że kryje się w niej tak hardy, niezłomny duch. Bronwyn oparła się o liny. Zachodzące słońce barwiło czerwienią jej piękną twarz. Elizabeth wiedziała, że Bronwyn jest odważna, porywcza i lojalna. I Alyx. Cicha, nieśmiała Alyx, która udowodniła nieraz, jakie cuda potrafi zdziałać pięknym głosem.

A ona sama? Czy pasowała do tych kobiet? Elizabeth umilkła, zastanawiając się, czy zdała egzamin, któremu poddała ją Judith.

\* \* \*

W kilka chwil wynajęli konie i Judith poprowadziła ich na południowy zachód. Na statku potulnie zgadzała się ze wszystkim, co mówili mężczyźni. Elizabeth zaś nie mogła znieść ich tonu i raz nawet zarobiła szturchańca od Bronwyn za pełne gniewu spojrzenia, jakimi obrzucała Johna Bassetta. Tam zresztą również zwracał się do Bronwyn w krótkich, żołnierskich słowach. Sir Guy tylko raz odezwał się do Elizabeth.

Spoglądając na niego spod rzęs z anielskim uśmiechem, zapytała go z czułością, jak się miewa jego stopa. Twarz olbrzyma pobieleła. Odwrócił się ostentacyjnie i odmaszerował sztywno na drugi koniec statku. Bronwyn trzymała

się za boki ze śmiechu. Kiedy opowiedziała Judith historię zmiążdżenia stopy sir Guya, szwagierka obrzuciła Elizabeth wzrokiem pełnym uwielbienia. I lęku.

John Basset wynajął dla nich pokoje w gospodzie na ziemiach Lorillardów. Gospodarz twierdził, że nowy książę przebywa w swym zamku nieopodal gospody. Upewniwszy się, że żony Montgomerych mają wszelkie wygody, mężczyźni udali się na poszukiwania ich mężów. John był bliski płaczu z wściekłości, gdy bezskutecznie próbował wydobyć z Judith świętą przysięgę, że zaczeka grzecznie na powrót męża.

– Czy naprawdę muszę zostawiać z tobą strażę? – jęczał zrozpaczony.

Judith nie zaszczyliła go spojrzeniem.

– Najchętniej zabrałbym cię ze sobą, ale będziemy musieli się rozdzielić, a potrzeba znacznie więcej niż jednego mężczyzny, żeby upilnować takiego szatana jak ty. Mężowie takich żon powinni mieć dodatkowych Aniołów Stróżów na usługi.

– Tracisz czas, Johnie – cierpliwie stwierdziła Judith.

– Lady Judith ma rację – zgodził się sir Guy, nie patrząc na żadną z nich.

John chwycił pasierbicę w ramiona i pocałował ją w czoło.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece – westchnął i wyszedł.

Judith oparła się o drzwi i odetchnęła z ulgą.

– John chce dla mnie jak najlepiej. To co? Zabieramy się do pracy?

Elizabeth prędko się przekonała, że Judith jest niezrównanym strategiem. I potrafi korzystać ze złota. Wynajęła dwudziestu pięciu posłańców, którzy rozbiegli się po okolicy, by rozesać wiadomość o najsłynniejszej śpiewaczce świata i najpiękniejszej tancerce, goszczących w gospodzie. Wiedziała, że zanim Elizabeth i Alyx zjawią się w zamku, mieszkańcy będą już na nie czekali. Chciała, by wszystkie oczy były zwrócone na artystki, podczas gdy ona i Bronwyn przeszukają zamek.

Wczesnym popołudniem Judith ubrała się w łachmany, uczerniła jeden ząb i udała się na zamek z koszykiem świeżego pieczywa. Po godzinie przyniosła wspaniałe nowiny.

– Miles żyje! – wykrzyknęła, zdejmując poszarpane łachy. – Książę ma wiecznie jakichś więźniów i trzyma ich w celi na szczycie wieży. Och, co za obrzydliwość! – splunęła z niesmakiem, zeskrobując czernidło z zęba. – Wygląda mi na to, że cała rodzina Lorillardów to fanatycy tortur i zajmują się właśnie tą dziewczyną. – Rzuciła strwożone spojrzenie na Elizabeth. – Wybacz, kochana. Nie wiem, czy Christiana jeszcze żyje, ale Miles i Roger na pewno tak.

– A co z ranami Milesa?

Judith podniosła ręce w obronnym geście.

– Nie mogłam zadawać tak szczegółowych pytań! Na szczęście wiemy już, że są na szczycie wieży.

– Łatwizna – parsknęła Bronwyn. – Wynajmiemy kilka pegazów i polecimy tam.

– To zamek. Ma schody – odparła z naciskiem Judith.

– Niestrzeżone? – zapytała lekko Bronwyn.

– Drzwi do celi są pod strażą. Ale schody wiodą dalej w górę, na dach. – Judith wśliznęła się w czystą koszulę. – W celi są okna, jeśli udałoby nam się jakoś opuścić się z dachu...

Tylko Bronwyn zauważyła kropelkę potu na skroni Judith. Żona Gavina sprawiała wrażenie nieustraszonej, ale panicznie bała się wysokości. Bronwyn dotknęła delikatnie jej ramienia.

– Może lepiej zatańcz. Elizabeth i ja pójdziemy na dach.

Judith klasnęła z uciechy.

– Z równym powodzeniem mogę nauczyć konie latać. Nie umiem dobrze tańczyć, pogubię rytm i będę odruchowo patrzeć, co mają na stołach. Pewnie w ostateczności w ogóle przestanę się ruszać i zacznę dyrygować służbą.

Wszystkie wybuchnęły śmiechem. Judith wzruszyła ramionami.

– Jestem silna, drobna i najłatwiej mi będzie opuścić się na linie i wejść przez okno.

Żadne słowa nie były w stanie jej przekonać do zmiany zdania, więc usiadły wszystkie i pogrążyły się w rozmyślaniach o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Elizabeth nie wspomniała o panice, jaką budziła w niej obecność obcych mężczyzn. Judith nawet nie napomknęła, że ma lęk wysokości.

O zmroku Judith opadła na kolana i złożyła ręce. Wkrótce wszystkie dołączyły do niej i pogrążyły się w modlitwie.



*Rozdział  
dwudziesty*

Alyx promieniała. W ciągu ostatnich dni prawie się nie odzywała, zgadzając się ze wszystkimi pomysłami szwagierek. Kiedy jednak wzięła w dłonie lutnię i zaczęła grać, zmieniła się nie do poznania.

Judith i Bronwyn, szczerze otulone łachmanami, wtopiły się w tłum. Elizabeth płasała za plecami Alyx ubrana w ekstrawaganckie szarawary.

Gdy w otoczeniu mieszkańców zamku weszły do wielkiej sali, Alyx tak donośnie zaintonowała pieśń, że wszyscy umilkli. Bronwyn i Judith nie słyszały dotąd pełnych możliwości głosu Alyx. Stały pod ścianą i wpatrywały się w nią z zaskoczeniem.

– Podam ci rytm – szepnęła Alyx, nachylając się do Elizabeth. – Tańcz.

Wszyscy wpatrywali się w Alyx i piękną tancerkę. Alyx gwizdnęła i zaczęła grać żywą melodię. Ludzie zaklaskali w dłonie i ruszyli w tany.

– Teraz! – syknęła Judith.

Ukradkiem wśliznęły się w mroczny korytarz i z trudem dźwigając bure peleryny, zaczęły się wspinać na stare kamienne schody, mijając ciemne wykusze okien. Były już niemal na szczycie wieży, gdy usłyszały głośny trzask i odruchowo schowały się w wykuszu, czekając, aż minie je strażnik. Po chwili ruszyły w górę, przemieszczając się od wykuszu do wykuszu bez najmniejszego szelestu.

Na szczycie schodów ujrzały ogromne dębowe drzwi. Zamknięte na klucz.

– Cholera jasna! – zaklęła Judith. – Gdzie klucz?

Zanim zdążyła się rozejrzeć, Bronwyn podeszła do ukrytego z boku wyjścia na dach i zaczęła przesuwając palcami pod drewnianą opaską. Po chwili odwróciła się do Judith, błyskając w uśmiechu białymi zębami. Podważyła ołowiany bolec i kłapa otworzyła się z upiornym skrzypieniem. Zamarły ze zgrozy, jednak nie słyszały żadnych kroków ani głosów. Przecisnęły się przez kłapę i już były na dachu.

Przez chwilę stały w bezruchu, oszołomione świeżym nocnym powietrzem. Bronwyn dostrzegła, że Judith patrzy w dół z przerażeniem.

– Ja pójdę – szepnęła.

– Nie. – Judith pokręciła głową. – Jeśli coś się wydarzy, to nie będę w stanie cię podnieść. Ty dasz radę podnieść mnie.

Bronwyn skinęła głową. Nie mogła się z tym nie zgodzić. Bez dalszych dyskusji zdjęły poszarpane peleryny i zaczęły odwijać liny owinięte wokół talii. Judith zapłaciła pół sztuki złota, by cztery kobiety uszyły im zgrabne, wąskie suknie z pledów Bronwyn. Księżyc kładł się srebrnym blaskiem na błękitno-zielonej sukni Bronwyn i złoto-brązowej kreacji Judith.

Gdy Bronwyn zwinęła linę w zgrabny krąg, obeszła dookoła dach wieży.

– Wokół wieży są cztery okna. Nie wiem, do którego powinnyśmy się dostać.

– Daj pomyśleć – ucięła Judith, nawijając linę na ramię. – To pod nami jest przy schodach, naprzeciwko też na korytarzu. W takim razie to będzie jedno z tych dwóch – uznała, wskazując na lewo i prawo.

Żadna z nich nie wspomniała nawet, że jeśli Judith pojawi się nagle w niewłaściwym oknie, prawdopodobnie będzie to oznaczało jej śmierć.

– Do roboty – westchnęła Judith, jakby szła na ścięcie.

Bronwyn od dziecka używała lin do wiązania koni. Za pomocą kilku węzłów uplotła siodelko dla Judith, przeciągnęła jej całą spódnicę między nogami i umocowała do paska. Judith przełożyła nogę przez węzeł i dodatkowo owinęła się liną wokół talii.

– Skup się na zadaniu i nie myśl o tym, gdzie teraz jesteś – szepnęła Bronwyn.

Judith pokiwała głową. Nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

Bronwyn owinęła linę wokół komina i zaczęła powoli opuszczać szwagierkę.

Nieustraszona żona Gavina mamrotała pod nosem psalmy, wzywała na pomoc anioły i szukała oparcia dla stóp, nieubłaganie zjeżdżając z dachu. Trzykrotnie strącała odłamki cegieł ze ściany wieży i za każdym razem jej serce na moment przestawało bić. Spodziewała się, że lada chwila strażnik ją zauważy i przetnie linę.

Po chwili, która zdawała się wiecznością, dotarła do okna. Gdy stanęła lekko na parapecie, ktoś chwycił ją za kostkę. Judith pisnęła ze zgrozy.

– Cicho! – uciszył ją głos z komnaty. Silne ręce chwyciły ją w pól i wciągnęły do środka. Judith chwyciła ramę okienną tak mocno, że palce jej pobielaly, i odetchnęła z ulgą.

– Nie masz przypadkiem lęku wysokości?

Judith spojrzała w spokojną twarz Rogera Chatwortha. Koszula wisiała w strzępach na jego muskularnym ciele.

– Gdzie Miles? – zaskrzeczała Judith, nie panując nad głosem.

Za drzwiami celi rozległ się rumor. Roger zasłonił Judith własnym ciałem.

– Gadasz ze sobą, Chatworth? – zapytał zza drzwi strażnik.

– Z kimś trzeba pogadać – odciął się Roger, trzymając w ramionach drżącą Judith. – Kto jest jeszcze na górze? – szepnął jej do ucha.

– Bronwyn.

Roger zaklął bezgłośnie. Miała szczerą ochotę wyswobodzić się z jego ramion, ale potrzebowała wsparcia. Jakiegokolwiek. Roger zaciągnął ją w najdalszy kąt celi.

– Miles jest w komnacie naprzeciwko – szepnął. – Jest ranny i nie wiem, czy

da radę się wspiąć. Strażnik niebawem zaśnie i wtedy wyjdziemy. Wejdę pierwszy i wciągnę cię na górę. Ale nie możesz tu zostać sama. Usiądziesz na parapecie, a jeśli strażnik wejdzie do komnaty, będziesz musiała się szybko wspiąć ponad okno. Rozumiesz? Kiedy tylko dostanę się na dach, wciągnę cię – powtórzył.

Judith w milczeniu wysłuchiwała jego słów. Roger był wrogiem jej rodziny, to przez niego zginęła Mary Montgomery. Może zamierza zabić Bronwyn i przeciąć linę?

– Nie... – zaczęła.

– Musisz mi zaufać, lady Montgomery! Bronwyn cię nie wciągnie, a ty nie wespiesz się sama aż na dach. Przekłete kobiety! Dlaczego nie przysłałyście jakichś mężczyzn?

To przelało czarę goryczy.

– Ty niewdzięczny...

Roger zasłonił jej usta dłonią.

– Bądź grzeczną dziewczynką. Mogę nienawidzić Montgomerych, ale doceniam i podziwiam ich kobiety. Nie traćmy czasu! – Zaciągnął opierającą się Judith do okna i posadził ją na zewnętrznym parapecie. – Oprzyj się tutaj. – Położył jej dłonie na krawędzi parapetu. – I trzymaj się mocno. Kiedy zacznę cię wciągać, odpychaj się dłońmi i stopami od ściany, żebyś się nie potłukła. – Potrząsnął ją za ramiona. Judith wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w majaczącą daleko w dole ziemię. – Pomyśl, jak się wścieknie twój mąż, gdy się dowie, że uratowałaś Chatwortha przed jego bratem.

Judith niemal się uśmiechnęła. Podniosła głowę i wyobraziła sobie szerokie, ciepłe ramiona Gavina. Przysięgła w duchu, że już nigdy, przenigdy nie rzuci się na pomoc żadnemu mężczyźnie. Oczywiście, nie licząc Gavina. Albo któregoś z jego braci. Albo któregoś z braci jej szwagierek. Albo krewnych jej matki. I oczywiście własnego syna. I ewentualnie...

Kiedy Roger chwycił linę nad jej głową, prawie że spadła z parapetu.

– Skup się, niewiasto! – syknął.

Zaparła się dłońmi na parapecie i patrzyła z trwogą, jak Roger wspina się po linie. Gdy był tuż pod dachem, Bronwyn przystawiła mu sztylet do gardła. Roger wisiał na linie, bez żadnych możliwości obrony.

– Co zrobiłeś Judith? – warknęła Bronwyn.

– Siedzi na parapecie i czeka, aż ją wciągnę. Każda sekunda, którą tracisz, naraża jej życie.

Bronwyn nie zdążyła odpowiedzieć, bo w tej chwili Judith zeskoczyła z parapetu, co wywołało szarpnięcie liny, które niemal strąciło Rogera z dachu.

– Strażnik! – zawołała, dyndając na linie.

– Kłapa! – krzyknął Roger, trzymając się kurczowo roztrzęsionej liny. – Zamykaj kłapę!

Bronwyn zareagowała błyskawicznie, ale strażnik już przechodził przez otwór. Bez wahania wbiła mu sztylet między żebra, wciągnęła na dach i zatrzasnęła klapę.

Roger już wciągał Judith na dach.

– Co się stało? – zapytała Bronwyn.

– Strażnik wrzucił Alyx i Elizabeth do celi Milesa. Stałam na parapecie i podsłuchiwałam najdłużej, jak mogłam, ale potem wszedł, żeby sprawdzić, co u Chatwortha, i wybiegł z krzykiem. Co się z nim stało?

Bronwyn wskazała ręką ciało strażnika.

– Tam leży.

– Ktoś go słyszał? – zapytał Roger.

– Wydaje mi się, że nie – stwierdziła Judith. – Prędko! Musimy ich wydostać.

– Nie mamy czasu. Gdzie wasi mężowie? – zapytał Roger.

– We Francji, ale... – Umilkła, gdy Roger wziął drugą linę i przywiązał ją do komina. – Cela jest po drugiej stronie wieży.

– Mówię przecież, że nie zdążymy. Staruch będzie tu za chwilę. Musimy uciec i wrócić z pomocą.

– Ty obmierzły tchórze! – prychnęła Bronwyn. – Sam sobie uciekaj. My uratujemy resztę rodziny.

Roger chwycił ją za ramię.

– Zamknij się, niewiasto! Zapomniałaś, że Elizabeth jest moją siostrą? Nie mamy czasu na kłótnie! Jeśli nas złapią, nikt im już nie pomoże! Umiesz sama zejść po linie?

– Tak, ale...

– To złaż! – Roger prawie zrzucił ją za mur, lecz wciąż mocno trzymał jej dłonie. – Już, Bronwyn. – Uśmiechnął się. – Pokaż nam, co potrafi Szkotka.

Gdy Bronwyn zniknęła za murkiem, Roger chwycił Judith pod pachy i podniósł, potrząsając nią bezceremonialnie.

– Doskonale. Nie ważysz więcej niż moja zbroja. Włóż mi na plecy i trzymaj się z całych sił.

Judith tylko kiwnęła głową. Złapała go za ramiona, ukryła twarz i zamknęła oczy. Czuła krople potu spływające Rogerowi po szyi i wiedziała, jak bardzo musi się wysilać, by utrzymać ich oboje na linie.

– Dasz się dogonić Anglikowi?! – zawołał Roger do zsuwającej się ostrożnie Bronwyn.

Judith otworzyła jedno oko i z podziwem spojrzała na szwagierkę. Bronwyn owinęła linę wokół kostki i przytrzymała ją drugą stopą, opuszczając się sprawnie. Po okrzyku Rogera przyspieszyła nagle.

Judith nie zamierzała puszczać bezpiecznych, szerokich ramion Rogera tylko

dlatego, że udało im się stanąć na ziemi. Roger wyplątał się z jej ramion i ud, jakby robił to na co dzień. Podbiegł do drugiej liny, na której wciąż dyndała Bronwyn.

– Skacz, szkocki pomioście! – warknął.

Zawahała się tylko przez ułamek chwili. Puściła linę i spadła prosto w ramiona Rogera.

– Ważysz chyba tyle co mój koń – stęknął, stawiając ją na ziemi. – Czy oczekiwanie, że kobiety pomyślą o transporcie, jest nieuzasadnione?

– Chodź, wrogu – prychnęła Bronwyn, wskazując kierunek.

Roger chwycił rękę Judith. Żona Gavina wciąż stała jak wmurowana, patrząc z grozą na wieżę, z której właśnie zjechała na plecach Chatwortha.

– W nogi! – syknął i aby ją popędzić, klepnął mocno w pośladek. – Musimy ratować moją siostrę i Christianę.

\* \* \*

Gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i strażnik wepchnął do środka Elizabeth i Alyx, Miles stał na środku celi, jakby na nie czekał.

– Masz gości, Montgomery – roześmiał się złośliwie strażnik. – Ciesz się wieczorem, bo to pewnie twój ostatni.

Miles chwycił Elizabeth, zanim się przewróciła, i objął drugim ramieniem Alyx.

Bez słowa usiadł na podłodze, tuląc je do siebie. Elizabeth w uniesieniu całowała jego twarz.

– Wciąż mi powtarzali, że już nie żyjesz! – szeptała. – Och, Milesie! Nie wiedziałam, czy cię jeszcze zobaczę.

Miles z uśmiechem ucałował obie w czoło.

– Teraz mogę umrzeć w spokoju.

– Jak możesz z tego żartować? – wybuchnęła Elizabeth, lecz Miles zamknął jej usta pocałunkiem.

Poderwali głowy, usłyszawszy krzyk strażnika i tupot kroków na dachu; po chwili nastąpiło tąpnięcie czegoś ciężkiego i zapadła cisza.

– Bronwyn? – zapytał Miles.

Pokiwały głowami.

Miles odetchnął głęboko.

– Powiedzcie, co się tu dzieje.

Alyx zacisnęła wargi. Elizabeth opowiedziała o planie uwolnienia i o tym, jak Judith miała się opuścić z dachu do celi Milesa. Wtulona w jego ramiona Alyx w milczeniu obserwowała, jak oczy Milesa ciemnieją z gniewu. Raine skręci mi kark, kiedy się o tym dowie, pomyślała i łzy pociekły jej po policzkach.

– Alyx? – Miles przerwał opowieść Elizabeth. – Nie płacz. Wydostaniemy się stąd. Moi bracia...

– Wiem – ucięła, ocierając łzy. – Raine mnie uwolni, a potem zabije.

Miles roześmiał się wesoło.

– Bez wątpienia.

– Jesteś ranny! – ocknęła się Elizabeth, obmacując brudne bandaże wokół jego żeber i rozchylając strzępy koszuli.

Odepchnęła go. W bladym świetle księżyca oglądała poznaczone bliznami ciało.

– Kiedy się poznaliśmy, nie miałeś żadnych blizn – powiedziała z goryczą. – Wszystkie masz przeze mnie.

Pocałował ją w rękę.

– Nie martw się. Będziesz nosić pod sercem jeszcze z dwadzieścioro moich dzieci, zdobędziesz własne blizny. A teraz obie musicie odpocząć. Spodziewam się, że poranek przyniesie nowe... niespodzianki.

Głównym zmartwieniem Elizabeth przez ostatnie tygodnie było, czy Miles żyje i jest cały. Teraz, gdy leżała bezpiecznie w jego ramionach, czuła, że jest silny i dobrej myśli. Zamknęła oczy i natychmiast zasnęła.

Alyx nie podróżowała tak dużo ani nie była tak zmęczona. Zamknęła oczy i leżała spokojnie, lecz jej myśli krążyły jak oszalałe. Po kilku godzinach, gdy w celi zaczęło się rozjaśniać, Miles delikatnie zsunął z siebie obie kobiety i podszedł do okna. Alyx obserwowała go spod wpół przymkniętych powiek.

– Chodź do mnie, Alyx – szepnął.

A więc wiedział doskonale, że żona Raine'a nie śpi. Podeszła nieśmiało. Miles przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

– Wiele ryzykowałeś, by mnie ocalić, Alyx. Dziękuję ci za to.

Uśmiechnęła się.

– To przeze mnie nas złapali. Książę widział mnie wcześniej w Anglii i pamiętał mój głos. I to, że wyszłam za Montgomery'ego. Jak myślisz, co zrobiła Bronwyn, gdy zobaczyła na dachu Rogera zamiast ciebie? Naprawdę wierzysz, że uciekli, prawda? Nie wpadli w ręce strażników? Raine już nadciąga?

Pokazał jej okno z uśmiechem.

– Wiem, że uciekli. Popatrz na zachód.

– Nic nie widzę.

– We mgle. Widzisz małe iskierki?

– Tak! – szepnęła z ożywieniem. – Co to?

– Mogę się mylić, ale ufam, że to zbrojni. Teraz popatrz na północ.

– Iskierki! Och, Milesie! – Uściskała go z całych sił i nagle go puściła. – Jesteś ranny o wiele poważniej, niż przyznałeś Elizabeth – stwierdziła oskarżycielskim tonem.

Próbował się uśmiechnąć, ale w oczach miał ból.

– Nie mów jej, będzie się jeszcze bardziej martwiła. Była dzielna, prawda?

Tańczyła pięknie dla wszystkich tych mężczyzn? – zapytał z dumą.

– Tak. – Alyx kiwnęła głową i odwróciła się do okna. Stali, wpatrując się w światelka zbliżające się powoli do zamku Lorillarda, aż nadszedł świt.

– Kto to? – zapytała Alyx. – Wiem, że we Francji także żyją Montgomery'owie, ale tych rycerzy jest cała masa! Kim są pozostali?

– Wątpię, by byli jacyś inni. Nasza rodzina jest ogromna. Montgomery'owie mieszkają we Francji, w Hiszpanii i we Włoszech. Kiedy pasowali mnie na rycerza, strasznie się irytowałem, że nie ma na świecie miejsca, gdzie mógłbym pojechać i nie czuć oddechu rodziny na karku. Teraz jednak doceniam wsparcie rodzinne.

– Trudno się z tym nie zgodzić.

– Nareszcie! – westchnął Miles. – Widziałaś to?

– Nie.

Miles uśmiechnął się radośnie.

– Na ten widok właśnie czekałem. O, znowu!

Alyx wyteżyła wzrok i dostrzegła odmienny blask. Zalśnił przez ułamek sekundy i znikł.

– To chorągiew wuja Etienne'a. Zawsze wyśmiewaliśmy się z jego ogromnych chorągwi. Herbowa jest wielka jak dom, ale Etienne z uporem powtarza, że sam widok ogromnych złotych lampartów skłania wrogów do ucieczki.

– Widziałam! – sapnęła Alyx na widok trzech złotych rozbłysków na horyzoncie. – Lamparty! – Wstrzymała oddech. – Jak myślisz, kto...? – zaczęła i urwała z niepokojem.

– Raine prowadzi armię wuja Etienne'a. Stephen przybędzie z północy, a Gavin z południa.

– Skąd wiesz?

– Znam moich braci. Gavin zaczeka kilka mil stąd na Stephena i Raine'a. I trzy armie uderzą jednocześnie.

– Uderzą? – zaniepokoiła się Alyx.

– Nie martw się. – Miles pogłaskał bratową po włosach. – Myślę, że nawet książę Lorillard nie będzie miał odwagi wystąpić przeciwko zjednoczonym siłom Montgomerych. Dostanie szansę pokojowego zakończenia tej waśni. Przecież chodzi tu o Christianę, a nie kłótnię z naszą rodziną.

– Christiana. Dziewczyna, którą uratował Roger Chatworth? Co się z nią stało?

– Nie wiem, ale niedługo się dowiem – odparł Miles z naciskiem.

Alyx umilkła. Wiedziała, że nie należy się spierać z Montgomerym, kiedy wbił sobie coś do głowy.

Wpatrywali się w ciszy w nadciągające oddziały. Kiedy Elizabeth się obudziła, Miles wziął ją w ramiona. Żeby rozbawić kobiety, co chwilę robił

rubaszne uwagi na temat orientalnych fatalasek Elizabeth.

– Zakładając, że Judith i Bronwyn uwolniły Rogera i ruszyli w trójkę po pomoc, jak myślisz, do kogo dotarli najprędzej? – zapytała z drżeniem Alyx.

Miles nie potrafił jej odpowiedzieć.

– Mam nadzieję, że to nie był Raine – szepnęła cicho. – Obawiam się, że nie będzie się bawił w ustalanie warunków poddania. Zetrze ten zamek w pył, razem z nami.



*Rozdział  
dwudziesty pierwszy*

U boku Raine'a i Etienne'a Montgomerych jechał ponury Roger Chatworth. Prawą rękę miał owiniętą bandażami, lecz wciąż krwawiła. Jadąca obok Bronwyn co chwilę dotykała podbitego oka.

Raine, widząc wroga, nie myślał wiele i rzucił się na niego z mieczem. Bronwyn chciała ochronić Rogera własnym ciałem, ale nie zdążyła. Nie zdążyła się też uchylić. Judith rzuciłaby się w środek bijatyki, gdyby nie John Bassett. Dosłownie sfrunął z siodła, obalił ją na ziemię i przygniótł, żeby nie mogła się ruszyć.

Czterech rycerzy musiało chwycić Raine'a, żeby nie rozdarł Rogera na strzępy. Dopiero po godzinie się uspokoił i pozwolił Judith i Bronwyn opowiedzieć, co się wydarzyło. W połowie opowieści zbrojni siedzieli z powrotem w siodłach. Słyszając, że Alyx i Elizabeth zostały uwięzione z Milesem, Raine znów rzucił się na Rogera. Roger odparł atak, dzierżąc miecz w lewej ręce i brocząc krwią z prawej.

Zbliżając się do zamku Lorillarda, wszyscy milczeli uparcie.

\* \* \*

Gavin Montgomery siedział nieruchomo w siodle na czele trzystu zbrojnych. U jego boku sir Guy pocierał naznaczoną blizną twarz. Wciąż nie mógł się otrząsnąć po wybuchu Gavina. Najstarszy Montgomery prawie pękł z wściekłości, gdy dowiedział się, że Judith przyjechała z nimi do Francji.

– Wariatka! – wrzeszczał bez opamiętania. – Wciąż jej się zdaje, że wojna niczym się nie różni od sprzątnania kuchni. Och, na litość boską! Jeśli do tej pory nikt jej nie udusił, przysięgam, że ja to zrobię!

\* \* \*

Stephen rozstawił armię po wschodniej stronie zamku i z Tamem ruszył do Gavina.

– Gdzie nasze żony? – ryknął do brata z oddali.

– Nie wiem! – odwrzasnął Gavin, płosząc konie.

Stephen i Tam zawrócili konie i pognali do Raine'a. Na widok Bronwyn Stephen prawie rozplakał się z ulgi, ale prędko zmarszczył brwi, widząc jej podbite oko.

– Co się stało? – wrzasnęła, przekrzykując tętent. Nie dotknął jej, ale pozerął żonę wzrokiem.

– Raine... – wyjąkała tylko, zanim Stephen wybuchnął sardonycznym

śmiechem. Omiótł potężną sylwetkę brata pełnym oddania spojrzeniem.

Bronwyn odwróciła wzrok i przejechała za plecy Tama.

– Stephen! – zawołała Judith. – Jest tam Gavin?

Stephen pokiwał głową. Judith poderwała konia do cwału. John zaklął i ruszył za nią, złorzecząc pod nosem.

\* \* \*

Nie było bitwy.

Nowy ksiązę Lorillard wstał z trudem. Oczy miał zaczerwienione, a cerę ziemistozieloną po nocnych ekscesach. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie po to dożył w zdrowiu do pięćdziesiątego ósmego roku życia, żeby wdawać się w z góry przegraną walkę z tysiącem rozwścieczonych rycerzy. Okazując niezłomną wiarę w rycerski honor Montgomerych, przyszedł sam do obozowiska wrogów i powiedział Gavinowi, że jeśli pozwolą mu odjechać, mogą sobie zabrać z zamku, kogokolwiek tylko zapragną.

Raine nie chciał przyjąć warunków Lorillarda. Ksiązę oddał im do dyspozycji nie tylko ziemię, zamek, służbę i cennych więźniów, ale także dwóch własnych synów. Raine uważał, że powinni go zabić na miejscu.

Bronwyn i Judith błagały o wybór najłatwiejszej drogi, która umożliwi im jak najszybsze uwolnienie Milesa.

W końcu Gavin, jako najstarszy z rodu, musiał podjąć decyzję. Ksiązę w otoczeniu pięciu zbrojnych opuścił w pośpiechu zamek i wszystkie bramy otwarto na oścież.

Judith i Bronwyn, głośno protestując, musiały zostać wśród rycerzy. Montgomery'owie, w otoczeniu dwunastu kuzynów i Rogera, wjechali na zamek.

Mieszkańcy zamku i goście księcia nie wiedzieli, że znaleźli się w rękach wrogów. Albo się tym w ogóle nie przejęli. Nawet nie podnieśli na przybyszów oczu, leżąc w pijanym stuporze na podłogach i ławach.

Drużyna Montgomerych dobyła mieczy i przestępując ostrożnie nad pijanymi kobietami i mężczyznami, udała się na schody prowadzące do wieży. U szczytu schodów obmacali dokładnie dębowe drzwi prowadzące do celi Milesa.

– Mam! – oznajmił Roger, wyjmując klucz zza obluźowanej cegły. Otworzył drzwi.

Miles stał na środku celi z uśmiechem na ustach, otaczając ramionami dwie kobiety.

Alyx rzuciła się w ramiona Raine'a. Chwycił ją na ręce i ukrył twarz w jej włosach.

– Za każdym razem, gdy spotykasz się ze szwagierkami, robisz coś szalonego! – oznajmił. – Od tej chwili... – zaczął, lecz roześmiana Alyx zamknęła mu usta pocałunkiem.

Elizabeth podeszła do Rogera. Pogłaskała go po policzku, dotknęła zakrwawionego ramienia.

– Dziękuję – wyszeptała.

Spojrzała na Gavina i lekko skinęła mu głową. Nie mogła zapomnieć, jak okropnie ją traktował.

Gavin uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

– Moglibyśmy zacząć od nowa, Elizabeth? – zapytał łagodnie.

Elizabeth uściśnęła go z radością, a słysząc głosy Bronwyn i Judith na schodach, wybiegła, by im podziękować za ratunek.

Miles odchrząknął i czar prysł. Spojrzał w oczy Rogera.

– Ruszamy?

Roger skinął głową. Miles odebrał miecz jednemu z kuzynów.

– To nie czas na bijatyki – oświadczył władczo Stephen, ale umilkł pod wzrokiem Milesa.

– Chatworth mi pomógł, a teraz ja pomogę jemu.

– Jemu? – zawył Raine. – Zapomniałeś już, że zamordował Mary?

Miles nie odpowiedział. Opuścił celę za Rogerem.

– Raine – szepnęła Alyx. – Miles jest ranny, Roger także. Poszli pewnie po tę kobietę.

– Christianę – wtrąciła Elizabeth i zadrżała. Nie miała pojęcia, dokąd idą jej mąż i brat. – Judith, Bronwyn!

Bez chwili wahania cztery kobiety ruszyły za Milesem i Rogerem. Równie odruchowo bracia Montgomery'owie chwycili swe żony – Raine także Elizabeth – wepchnęli je do celi i zamknęli drzwi na klucz. Przez chwilę stali pod celą, zdumiewając się płynnością i urozmaicheniem płynących z niej obelg. Judith cytowała najkrwawsze prorocтва z Biblii, Bronwyn klęła po szkocku, Elizabeth po żołniersku, a od głosu Alyx trzęsły się ściany.

Stephen, Gavin i Raine uśmiechnęli się do siebie triumfalnie i ruszyli schodami w dół.

– Nie sądziłem, że kiedykolwiek rzucę się na pomoc Chatworthowi – mruczał z niesmakiem Raine.

Słyszając szcęk stali, zatrzymał się raptownie.

W komnacie, w której trzymano Christianę, wokół ogromnego łoża z zaciągniętymi zasłonami, stało sześciu przytomnych, czujnych strażników. Na widok Rogera i Milesa błyskawicznie wyciągnęli miecze.

Miles ciął jednego i przeskoczył nad osuwającym się ciałem. Jego rana od razu się otworzyła, sączyła się z niej krew. Strażnik ciął Rogera w rękę, wytrącił mu miecz z dłoni. Chatworth potknął się o ciało martwego strażnika, upadł, chwycił jego miecz w drugą dłoń i nabił na niego napastnika, nie podnosząc się z podłogi.

Gdy kolejny strażnik ruszył na niego, Roger tylko podniósł bezradnie zranioną rękę. Strażnik zagulgotał nagle i runął bezwładnie do przodu. Roger przeturlał się i zobaczył, że Raine wyciąga miecz z pleców strażnika.

Trzej bracia napadli na strażników jak jastrzębie, otaczając Milesa i Rogera, by ich chronić. Prędko rozprawili się z wrogami i wytarli miecze w zasłony. Raine podał Rogerowi rękę. Chatworth przez chwilę wpatrywał się w nią, jakby była jadowitą zmiją, wreszcie jednak chwycił dłoń Raine'a i podniósł się powoli. Ich spojrzenia zwały się na moment. Roger bez słów ruszył do ogromnego łoża z baldachimem i odsłonił zasłony. Na środku leżała zwinięta w kłębek Christiana w poszarpanej koszuli. Ciało miała sinofioletowe, oczy podbite, wargi zmiażdżone.

Roger powoli uklęknął na brzegu łóżka i najdelikatniej, jak potrafił, dotknął jej skroni.

– Roger? – wyszeptała i próbowała się uśmiechnąć. Z popękanych warg popłynęła krew.

Roger zacisnął zęby z wściekłości i delikatnie wziął Christianę na rękę.

Raine położył mu dłoń na ramieniu.

– Zabierzmy ją na południe, do naszej rodziny.

Roger tylko pokiwał głową i wyszedł.

Gavin podał rękę Milesowi.

– Gdzie nasze żony? – zapytał Miles, postępując z bólu.

Jego bracia zamilkli nagle. W ich oczach widział narastającą trwogę.

– Cóż... my... – zająknął się Stephen.

– Chyba ruszę przodem – wypalił nagle Gavin. – Ktoś musi uformować szyk. Masz! – Rzucił Milesowi klucz. – Najlepiej będzie, jeśli ty się tym zajmiesz.

– Tak, tak! – potwierdził Raine, przepychając się w drzwiach ze Stephenem.

Miles ze zdumieniem spojrział na klucz, powoli zdając sobie sprawę, że to klucz do celi, w której go trzymano.

– Nie wierzę... Nie odważyliście się... – zaczął, lecz jego bracia zdążyli już opuścić zamek Lorillarda.

Miles stał przez chwilę jak zamroczony i wreszcie wybuchnął śmiechem. Śmiał się jak nigdy wcześniej przez całe życie. Nie tak dawno żył jeszcze z braćmi w małym, męskim świecie składającym się wyłącznie z wojen, treningów i pojedynków. Potem oni jeden po drugim ożenili się z pięknymi, czarującymi kobietami. I dopiero wtedy dowiedzieli się, czym naprawdę jest wojna.

Właśnie zdobyli zamek i zabili grupę stawiających opór strażników, swoją drogą, dzielnych rycerzy. Ani przez chwilę nie czuli lęku, nie bali się o swoje życie. Jednak w obliczu czterech rozwścieczonych kobiet zamkniętych w celi podkulili ogony i zwiali.

Miles ruszył ku schodom. Dzięki Bogu nie brał udziału w zamykaniu pań Montgomerych! Serdecznie współczuł braciom. Prędzej czy później będą musieli

stawić czoło własnym żonom.

Nie był w stanie powstrzymać chichotu. Przypomniawszy sobie dzieciństwo. Ciągłe figle, które mu płatali, i jak go nazywali małym braciszkiem. Zapłacą teraz za to.

Podrzucił klucz, chwycił go zręcznie i nucąc pod nosem, wspinał się ku celi pełnej pięknych kobiet. Najchętniej zamknąłby się z nimi na kilka dni.

\* \* \*

Christiana prędko wydobrzała i wyszła za Rogera Chatwortha. Po dziesięciu latach, gdy oboje stracili już nadzieję, przyszła na świat ich córka, która ku rozpaczy Rogera zakochała się bez pamięci w Montgomerym z południowego wybrzeża Anglii. Nazwisko Chatworthów zaginęło w pomroce dziejów.

Miles i Elizabeth wychowali dwadzieścioro troje dzieci – własnych i adoptowanych. Jeden z ich synów – Philip – został prawą ręką króla Henryka VIII. Dwóch wnuków Milesa odplłynęło na jednym z pierwszych okrętów do Ameryki.

Król Henryk VIII przywołał na dwór Raine'a, by szkolił rycerzy i królewską straż. Alyx została damą dworu. Królewski zamek był wesołym, bezpiecznym miejscem, a król wprowadził w życie kilka reform, które podsunął mu Raine. Alyx urodziła trzy córki, z których środkowa odziedziczyła jej muzyczny talent. Legenda głosi, że jedna ze współczesnych znanych piosenkarek wywodzi ród od Alyxandrii Montgomery.

Bronwyn i Stephen mieli sześcioro dzieci: pięciu chłopców i dziewczynkę. Bronwyn zasłynęła jako doskonały strateg, godząc zwaśnione klany w całej Szkocji. Do dziś klan MacArranów wspomina jej imię. Jej córka wyszła za Kirsty'ego MacGregora, który przyjął nazwisko MacArranów i został jednym z dziedziców klanu.

Lachlan MacGregor ożenił się z jedną z córek Tama. Chcąc w spokoju przeżyć z nią ostatnie lata, zostawił dziedzicom sprawy rodzinne i wyprowadził się z zamku. Na czele klanu stanął Davy MacArran, lecz rzeczywistą władzę sprawowała jego drobna żona, córka Lachlana.

Judith i Gavin dbali o posiadłości Montgomerych tak skrupulatnie, że główna siedziba rodu do dziś jest najbogatszym i największym majątkiem na świecie, należącym wciąż do ich rodziny. Cały majątek odziedziczyła drobna, śliczna kobieta o dziwnym kolorze oczu. Nie wyszła za męża, gdyż nie spotkała dotąd mężczyzny, który osiągnąłby w życiu choćby połowę tego, co ona sama. Niebawem spotka się z trzydziestoletnim Amerykaninem, przystojnym milionerem, który twierdzi, że jest potomkiem rycerza Milesa Montgomery'ego. Wróżę im wiele szczęścia.

<sup>1</sup> Maczuga z kolczastą głowicą.

Nikt nie mógł się oprzeć anielskim rysom Elizabeth Chatworth, nawet jej najgorszy wróg – Miles Montgomery. Rozchwytywany przez kobiety, rozpieszczony ich komplementami, musiał walczyć o każdy jej uśmiech, o zaufanie, o miłość. Nieufna wobec mężczyzn Elizabeth nie zaznała do tej pory w życiu zbyt wiele dobrego, a teraz musiała dokonać wyboru między budzącym się uczuciem a lojalnością wobec swej rodziny. Czy Elizabeth i Miles zdołają pogodzić zwaśnione rody i zapomnieć o historii pełnej zdrad, kłamstw i śmierci?

Polecamy także:



[www.wydawnictwobis.com.pl](http://www.wydawnictwobis.com.pl)

